

James P. Hogan

Gwiezdne dziedzictwo

Tom I Trylogii Gigantów

Przełożył J.W.-G

Wydanie oryginalne: 1977

Wydanie polskie: 1993

TMN

Prolog

Poczuł, że wraca mu świadomość.

Jego umysł instynktownie zaczął się przed tym bronić, łudząc się, że wysiłek woli może powstrzymać nieubłagany upływ sekund, dzielących brak przytomności od jej powrotu; jak gdyby wola była w stanie przywrócić mu wyjście poza czas, powrót do strefy zapomnienia, w której męka ostatecznego wyczerpania była nieznana i niepoznawalna.

Zamilkły uderzenia młota, grożącego jeszcze przed chwilą, że rozwali mu klatkę piersiową. Strumyki potu, płynące ze wszystkich zagłębień ciała i unoszące z sobą jego siły, teraz były zimne. Kończyny miał ołowiane. Płuca, gorączkowo chwytające łyki powietrza, znowu pracowały powolnym, równym rytmem, głośno rozbrzmiewającym w ciasnej przestrzeni hełmu.

Próbował sobie przypomnieć, ilu zginęło. Oni zostali już wyzwoleni; dla niego wyzwolenia nie było. Jak długo jeszcze zdoła iść przed siebie? I po co? Czy w Gordzie ktoś w ogóle pozostał jeszcze przy życiu?

Gorda...? Gorda...?

Umysł odmawiał mu dalszej obrony, nie potrafił już stwarzać zapory przed rzeczywistością.

Muszę przedostać się do Gordy!

Otworzył oczy. Miliard nieruchomych gwiazd patrzył na niego obojętnie. Spróbował się poruszyć, lecz jego ciało odmówiło wykonania rozkazu, próbując przedłużyć do krańca możliwości ostatnie, bezcenne chwile odpoczynku. Zaczerpnął głęboko powietrza. Ból szarpnął jego ciało aż po najdrobniejsze włókienko. Zaciśnął zęby, zmusił się, by usiąść, by nie opierać się dłużej o skałę. Wstrząsnęły nim nudności. Głowa opadła bezwładnie, a twarz uderzyła o wnętrze przezroczystej osłony. Nudności minęły.

Jęknął głośno.

– Czujesz się już lepiej, żołnierzu? – popłynęły wyraźne słowa z głośnika wewnątrz hełmu. – Słońce coraz niżej. Musimy ruszać w drogę.

Uniósł głowę i powoli rozejrzył się po koszmarnym krajobrazie. Przed nim roztaczała się pustynia osmalonych skał i szarego jak popiół pyłu.

– Gdzie... – Głos uwiązał mu w gardle. Przełknął ślinę, oblizał wargi i znów spróbował się odezwać: – Gdzie jesteś?

– Na prawo od ciebie, na wzniesieniu, tuż za tym małym, stromym urwiskiem; tym z wielkimi głazami u podnóża.

Zwrócił głowę w tamtą stronę i po paru sekundach dostrzegł plamę jaskrawego błękitu na tle atramentowoczarne nieba. Wydawała się daleka i zamazana. Zamrugał i wysilił wzrok, zmuszając mózg do rozpoznania tego, co widzą oczy. Niebieska plama wyostrzyła się i zmieniła w sylwetkę niezmordowanego Koriela w ciężkim skafandrze bojowym.

– Widzę cię. – A po chwili: – I co?

– Po drugiej stronie wzniesienia jest dość równo, przez jakiś czas łatwiej będzie iść. Dalej już bardziej kamieniste. Chodź, rozejrzyj się.

Podnosząc cal po calu ręce, aby znaleźć oparcie na skałę za sobą, w końcu odepchnął się, by przenieść ciężar ciała na nogi. Zadrżały mu kolana. Krzywiąc twarz w grymasie, z wysiłkiem próbował skupić resztkę sił w opornych udach. I znów waliło mu serce, ciężko pracowały płuca. Trud poszedł na marne; opadł z powrotem na skałę. Jego wysiłony oddech zachrypiał w radiu Koriela.

– Koniec... Nie dam rady się ruszyć...

Błękitna sylwetka na horyzoncie odwróciła się.

– Ej, a cóż to znów za gadanie? To już ostatni odcinek. Jesteśmy na miejscu, chłopie, jesteśmy na miejscu.

– Nic... nic z tego... Mam dość...

Koriel odczekał kilka chwil.

– Schodzę do ciebie.

– Nie... idź naprzód. Ktoś to musi zrobić.

Odpowiedzi nie było.

– Koriel...?

Popatrzył tam, gdzie przedtem znajdowała się błękitna postać, ale teraz znikła za zasłaniającymi ją głazami, była poza zasięgiem radia. W minutę, najwyżej dwie minuty później wynurzyła się zza pobliskich skał, posuwając się wielkimi, swobodnymi skokami. Gdy Koriel zbliżył się do skurczonej postaci, skoki zmieniły się w kroki.

– No, żołnierzu, powstań. Za nami zostali ludzie, którzy na nas liczą.

Poczuł na przedramieniu chwyt, a potem uniosło go do góry, jak gdyby przelało się w niego coś z bezgranicznych zasobów siły Koriela. Zakręciło mu się w głowie. Oparł się ciężko na ciele olbrzyma, dotykając przyłbicą odznaki na jego ramieniu.

– Okay – wykrztusił wreszcie. – Chodźmy.

Godzina po godzinie cienki łańcuszek śladów, z dwiema plamkami koloru, które je zostawiały, wił się przez pustkowia ku zachodowi, wśród nieustannie wydłużających się cieni. Maszerował jak w transie, niezdolny do odczuwania bólu, niezdolny do odczuwania wyczerpania, niezdolny do czucia czegokolwiek. Wydawało mu się, że horyzont zupełnie się nie zmienia; po chwili nie mógł nawet na niego patrzeć. Kierował wzrok na najbliższy wielki głaz lub na skałę i liczył kroki, póki do nich nie dotarli. – O dwieście trzysta mniej do przejścia. – A potem zaczynał wszystko na nowo... i na nowo... i na nowo. Skały maszerowały obok w powolnej, nie kończącej się, obojętnej procesji. Każdy kolejny krok stawał się kolejnym triumfem woli; przemyślanym, świadomym wysiłkiem, aby zrobić o jeden więcej niż poprzednio. Gdy się chwiały, Koriel był przy nim i chwycił go za ramię; gdy padał, Koriel był zawsze przy nim i podnosił go na nogi. Koriel nie męczył się nigdy.

Wreszcie zatrzymali się. Stali w wąwozie szerokim na jakieś ćwierć mili, u stóp jednego z niskich, potrzaskanych urwisk, tworzących zagłębienie. Padł na najbliższy głaz. Koriel stał o parę kroków przed nim, rozglądając się wokół. Łańcuch skał tuż nad nimi przerywała w jednym miejscu szczyrba, wyznaczając miejsce, gdzie stroma i wąska rozpadlina prowadziła w dół, prosto ku ścianie większego wąwozu. Na dnie rozpadliny pagórek rumoszu i szczątków skalnych wysoki na jakieś pięćdziesiąt stóp, sięgał aż po dno wąwozu, niedaleko od nich. Koriel wyciągnął rękę, wskazując punkt gdzieś za rozpadliną.

– Gorda będzie mniej więcej w tej stronie – powiedział, nie odwracając się. – Najlepsza droga dla nas to do góry, na to urwisko. Jeśli pozostaniemy na płaskim dnie wąwozu, oddalimy się od właściwego kierunku, a droga będzie zbyt długa. Co ty na to?

Jego towarzysz stał nieruchomo, pogrążony w rozpaczliwym milczeniu. Kamienne osuwisko, prowadzące ku wyjściu z rozpadliny, wydawało mu się wysokie jak góra. Za nim wznosiło się urwisko; potrzaskane, rozpalone do białości w świetle słońca. Nieosiągalne.

Koriel nie pozostawił mu czasu na poddanie się zwątpieniu. Jakimś sposobem, ślizgając się, zsuwając, potykając i padając, osiągnęli wylot rozpadliny. Za nim ściany zwężyły się i odchyłały w lewo, zasłaniając widok wąwozu, z którego się wydobyli. Wspięli się jeszcze wyżej. Wokół nich płaszczyzny ostrego, odbitego światła słonecznego i bezdenne studnie cieni, odgraniczone od siebie ostro, jak cięciami noża, kładły się na skałach potrzaskanych w tysiące szaleńczo pochyłonych płaszczyzn. Jego mózg nie był już w stanie odnaleźć jakiegokolwiek porządku kształtów i form w tej zwariowanej geometrii czerni i bieli, migającej jak w kalejdoskopie na jego siatkówce. Wszystko, co widział, to rosło, to kurczyło się, spletało i wirowało w szale wizualnej kakofonii.

Uderzył twarzą o wnętrze przyłbicy. Hełm huknął w zapyłone podłoże. Koriel dźwignął go na nogi.

– Potrafisz. Z urwiska zobaczymy Gordę. Stąd mamy już tylko z górki...

Ale postać w czerwieni powoli opadła na kolana i załamała się. Wewnątrz hełmu głowa słabo poruszyła się z boku na bok. Gdy Koriel to ujrzał, świadoma część jego umysłu przyjęła

wreszcie do wiadomości to, co już podświadomość wiedziała z nieodpartą logiką. Odetchnął głęboko i rozejrzał się.

Przed chwilą minęli wgłębienie, szerokości około pięciu stóp, u podstawy jednej ze skalnych ścian. Wyglądało, jak resztką jakiegoś porzuconego wyrobiska, może próbnego wykopu, zrobionego przez ekspedycję geologiczną. Olbrzym schylił się, chwycił rzemienie, mocujące tornister do pleców nieprzytomnej, leżącej u jego stóp postaci, i zaczął ciągnąć nieruchome ciało w dół zbocza, aż do zagłębienia. Było wcięte w głąb na prawie dziesięć stóp. Następnie wyjął z tornistra kolegi racje żywnościowe, ułożył ciało, wspierając je o tylną ścianę wykopu tak wygodnie, jak tylko się dało, i położył kontener z żywnością w zasięgu jego ręki. W chwili gdy kończył te czynności, oczy za przezroczystą przyłbicą zamrugały i otworzyły się.

– Posiedzisz tu sobie wygodnie przez chwilę – odezwał się Koriel bez swego zwykłego, burkliwego tonu. – Ani się obejrzysz, jak ci przyślę chłopaków z grupy ratunkowej z Gordy.

Postać w czerwieni uniosła z wysiłkiem ramię. Jej głos był słabym szeptem:

– Ty... ty próbowałeś... Nikt by nie potrafił...

Koriel chwycił oburącz rękawicę skafandra.

– Nie możesz się poddawać. Nic z tego. Po prostu musisz jeszcze chwilę wytrzymać. – Jego kamienna twarz, skryta w hełmie, była mokra. Cofnął się do wejścia wykopu i zasalutował na pożegnanie. – Do widzenia, żołnierzu. I odszedł.

Na zewnątrz ułożył kopczyk z kamieni, zaznaczając miejsce, gdzie znajdowało się wgłębienie. Takimi kopcami miał zamiar oznaczyć całą trasę aż do Gordy. Wreszcie wyprostował się i wyzywająco popatrzył na otaczające go Pustkowie. Zdawało się, że wyniosłe skały wrzeszczą na niego, wyśmiewając bezgłośnie. W górze obojętne gwiazdy trwały nieporuszone. Koriel obrzucił groźnym spojrzeniem rozpadlinę, wznoszącą się ku turniom i terasom, szereg za szeregiem stróżującym przed urwiskiem, wciąż widocznym w oddali. Wyszczrzył zęby jak złe zwierzę.

– A więc... teraz, to tylko ty i ja, prawda? – warknął pod adresem wszechświata. – Dobrze, skurwysynu, zobaczymy, kto wygra tę rundę!

Poruszając nogami powoli, z regularnością tłoków maszyny, zaatakował wznoszące się stromo zbocze.

Rozdział pierwszy

Przy wtórze cichego, ale pełnego mocy jęku maszyn gigantyczna srebrna torpeda powoli wzniosła się w górę, aż zawisła nad bezładną gromadą podobnych do kostek cukru budowli, stanowiących centrum Londynu. Torpeda miała ponad trzysta jardów długości, w tylnej części zaopatrzona była w smukłe skrzydła typu delta, uwieńczone dwoma, ostro zwężającymi się statecznikami. Przez chwilę statek unosił się nieruchomo, jakby smakował powietrze odzyskanej swobody, powolnym ruchem kierując dziób ku północy. Wreszcie, przy narastającym dźwięku, zaczął nabierać szybkości. Najpierw ledwie dostrzegalnie, potem coraz bardziej, aż pomknął do przodu i wzwyż. Na wysokości dziesięciu tysięcy stóp jego silniki wybuchły pełną mocą, wyrzucając suborbitalny liniowiec ku granicy przestrzeni kosmicznej.

W trzydziestym pierwszym rzędzie pokładu „C” siedział doktor Victor Hunt, szef Działu Badań Teoretycznych Towarzystwa Metadyne Nucleonic Instrument w Reading, Berkshire. Towarzystwo było firmą kontrolowaną przez gigantyczną Intercontinental Data and Control Corporation z centralą w Portlandzie, stan Oregon, USA. Doktor roztargnionym spojrzeniem obrzucił coraz to mniejszy widok Hendon na ściennym ekranie kabiny i ponownie próbował znaleźć jakiegokolwiek wytłumaczenie wydarzeń z ostatnich paru dni.

Jego eksperymenty z wzajemną anihilacją cząsteczek materii i antymaterii rozwijały się pomyślnie. Forsyth-Scott z wyraźnym zainteresowaniem czytał kolejne sprawozdania Hunta i wiedział, że wszystko idzie dobrze. Tym dziwniejszy był fakt, że pewnego ranka wezwał Hunta do swego biura, polecił mu rzucić wszystko i wyjechać do IDCC w Portlandzie tak szybko, jak tylko się da. Z tonu i zachowania dyrektora generalnego łatwo było wyczytać, że żądanie centrali tylko przez grzeczność przedstawiono jako prośbę. W rzeczywistości był to jeden z nielicznych wypadków, w których Hunt nie miał nic do gadania.

Na zapytanie Hunta Forsyth-Scott odpowiedział całkiem otwarcie, że nie ma pojęcia, z jakiego powodu natychmiastowe stawienie się doktora w IDCC jest tak nagłą sprawą. Poprzedniego wieczoru odbył wideorozmowę z prezesem IDCC Felixem Borlanem, który powiedział mu tylko, że domaga się, i daje temu żądaniu absolutny priorytet, aby jedyny

działający prototyp trimagniskopu został przygotowany do natychmiastowego przetransportowania do USA, a cały zespół obsługi ma być również gotów do wyjazdu. Nalegał także na przyjazd Hunta we własnej osobie, na czas nieokreślony, aby osobiście pokierował pewnym niecierpiącym zwłoki programem badawczym, w którym zostanie użyty aparat. Idąc na rękę Huntowi, Forsyth-Scott na ekranie biurkowym odtworzył mu zapis rozmowy z Borlanem, co pozwoliło doktorowi przekonać się, że wszystko, co robił Forsyth-Scott, było tylko wykonywaniem słabo zawołowanego rozkazu. Co dziwniejsze, nawet sam Borlan nie był w stanie dokładnie powiedzieć, do czego będzie potrzebny aparat wraz ze swym wynalazcą.

Trimagniskop został zbudowany w wyniku dwuletnich badań Hunta nad pewnymi aspektami fizyki neutrina. Wydawało się, że aparatura może okazać się najbardziej obiecującym wynalazkiem w całej historii Towarzystwa Metadyne. Hunt wykrył, że strumień neutrin, przechodząc przez ciało stałe, podlega pewnym wzajemnym oddziaływaniom w dużej bliskości jąder atomowych. Powodowało to możliwe do zmierzenia zmiany wielkości energii przenoszonej. Za pomocą skanowania rastrowego przez trzy wzajemnie przecinające się, zsynchronizowane strumienie neutrin Hunt opracował metodę uzyskiwania z ciała stałego informacji wystarczających do wygenerowania trójwymiarowego barwnego hologramu, wizualnie niemożliwego do odróżnienia od oryginału. Co więcej, ponieważ skanowano nie tylko powierzchnię, lecz całą objętość przedmiotu, równie łatwo było stworzyć obrazy jego wnętrza jak i jego powierzchni. Te właściwości, w połączeniu z zawartą w samej metodzie zdolnością dokonywania ogromnych powiększeń, otwierały możliwości znacznie wyprzedzające wszystko, co w tym zakresie oferowano na rynku. Od ilościowego badania metabolizmu komórek i bioniki, przez neurochirurgię, metalurgię, krystalografię i elektronikę molekularną, aż do defektoskopii i kontroli jakości. Możliwość zastosowań była nieskończona. Wstępne zamówienia płynęły strumieniem, akcje zaś Towarzystwa sięgnęły niebotycznego kursu. Przewiezienie prototypu i jego twórcy do USA, całkowicie łamiąc starannie wypracowane plany produkcji i sprzedaży, stwarzało sytuację na granicy katastrofy. Borlan wiedział o tym najlepiej ze wszystkich. Im bardziej Hunt nad tym się zastanawiał, tym mniej prawdopodobne wydawały mu się rozmaite przyczyny, które w pierwszej chwili przychodziły mu na myśl. I coraz wyraźniej dochodził do wniosku, że jakiegokolwiek będzie ostateczne wyjaśnienie, okaże się, że pierwsza przyczyna znajduje się daleko poza zasięgiem Felixa Borlana i IDCC. Rozmyślenia przerwał mu głos, który dochodził mniej więcej z sufitu kabiny.

– Dobry wieczór, panie i panowie. Mówi kapitan Mason. W imieniu British Airways miło mi powitać was na pokładzie Boeinga 1017. Przeszliśmy obecnie do lotu poziomego na wysokości pięćdziesięciu dwóch mil, z szybkością trzech tysięcy stu sześćdziesięciu węzłów. Lecimy kursem trzydzieści pięć stopni na zachód od północy, a wybrzeże oraz Liverpool znajdują się o pięć mil od naszej prawej burty. Pasażerowie mogą opuścić swe miejsca. Bary

zostały już otwarte, podawane są napoje i posiłki. Planowany czas przylotu do San Francisco o godzinie dziesiątej trzydzieści osiem czasu lokalnego, czyli za jedną godzinę i pięćdziesiąt minut. Pragnąłbym państwu przypomnieć, iż należy zająć miejsca siedzące w chwili, gdy za godzinę i trzydzieści pięć minut zaczniemy podchodzić do lądowania. Dziesięć minut wcześniej rozlegnie się pierwszy sygnał ostrzegawczy, a po upływie pięciu minut – drugi. Mam nadzieję, że odbędą państwo miłą podróż. Dziękuję.

Kapitan rozłączył się, rozlegające się trzaski w głośniku zagłuszył hałas stałych pasażerów, którzy jak zwykle zaczęli się tłoczyć przy kabinach wizjofonowych.

Miejsce obok Hunta zajmował szef Działu Inżynierii Doświadczalnej w Metadyne, Rob Gray. Siedział z otwartą walizką na kolanach. Studiował właśnie informacje, ukazujące się na ekranie wbudowanym w jej wieko.

– Rozkładowy lot do Portlandu zaczyna się piętnaście minut po naszym przylocie – oświadczył. – Trochę skąpo. Następny dopiero po czterech godzinach. Co o tym myślisz? – Pytanie podkreślił rzuconym z ukosa spojrzeniem i uniesieniem brwi.

Hunt się skrzywił.

– Nie mam zamiaru siedzieć na dupie we Frisco przez cztery godziny. Wynajmij dla nas taksówkę odrzutową Avis. Sami polecimy.

– Tak właśnie myślałem.

Gray nacisnął szereg przycisków na maleńkiej klawiaturze pod ekranem, wywołując menu. Przejrzał je pobieżnie, a następnie kolejnym przyciskiem wywołał katalog. Wybrawszy z jednej z kolumn numer, wprowadził go, równocześnie bezgłośnie powtarzając. Numer ukazał się u dołu ekranu wraz z żądaniem potwierdzenia. Nacisnął klawisz „Y”. Ekran na parę chwil opustoszał, a następnie wybuchnął kalejdoskopem barw, które prawie natychmiast zmieniły się w wizerunek platynowej blondynki, promieniejącej uśmiechem zwykle zarezerwowanym dla reklam pasty do zębów.

– Dzień dobry. Avis San Francisco, Terminal Miejski. Jestem Sue Parker. Czym mogę służyć?

Gray przemówił do siatki, umieszczonej obok maleńkiego obiektywu tuż nad ekranem.

– Cześć, Sue. Nazywam się Gray, R. J. Gray, lecę do SF. Przewidywany czas przylotu po dwóch godzinach od tej chwili. Czy mogę zarezerwować aerotaksówkę?

– Oczywiście. Zasięg lotu?

– Och... jakieś pięćset... – Rzucił okiem na Hunta.

– Niech lepiej będzie siedemset – doradził Hunt.

– No, siedemset mil minimum.

– Żaden problem, Mister Gray. Mogę zaproponować Skyrovery, Mercury Trzy, Honeybee oraz Yellow Birdy. Którą by pan wolał?

– Którąkolwiek... Każda będzie dobra.

– Wobec tego podstawię Mercury’ego. Czy orientuje się pan, na jak długo?

– Nie... eee... czas nieokreślony.

– Okay. Komputerowa nawigacja i sterowanie? Automatyczny pionowy start i lądowanie?

– To bym wolał, a owszem.

– Ma pan licencję na pełne sterowanie ręczne? – Blondynka nie przerywając rozmowy, operowała niewidzialną klawiaturą.

– Tak.

– Czy mogę prosić o dane personalne oraz dane dotyczące konta czekowego?

Już podczas tej rozmowy Gray wydobył z portfela plastikową kartę. Wsunął ją do szpary przy ekranie i nacisnął jeden z klawiszy.

Blondynka skonsultowała się z innymi niewidzialnymi wyroczniami.

– Okay – orzekła. – Będą jacyś inni piloci?

– Jeden. Niejaki doktor Victor Hunt.

– Jego dane personalne?

Gray wziął do ręki trzymaną w pogotowiu przez Hunta kartę i włożył na miejsce swojej. Powtórzył się cały rytuał. Następnie twarz kobiety znikła, a zamiast niej pojawił się sformatowany tekst z wypełnionymi rubrykami w odpowiednich miejscach.

– Czy zechce pan sprawdzić i potwierdzić? – zapytał bezcielesny głos zza siatki. – Należność jest uwidoczniła z prawej strony.

Gray szybko przeleciał wzrokiem cały ekran, coś mruknął i wgrał znaną na pamięć sekwencję znaków, które nie ukazały się na ekranie. Zamiast tego w rubryce z napisem „Potwierdzenie” ukazało się słowo DOKONANE. Następnie pojawiła się urzędniczka, wciąż uśmiechnięta.

– Kiedy zechce pan odebrać samolot, Mister Gray? – zapytała.

Gray zwrócił się do Hunta:

– Czy zjemy przedtem lunch na lotnisku?

Hunt zrobił niechętny grymas.

– Po przyjęciu zeszłej nocy, nie. Nie jestem w stanie stawić czoła jedzeniu. – Gdy próbował zwilżyć wnętrze końskiego odbytu, który niegdyś nazywał swymi ustami, jego twarz przybrała wyraz głębokiego niesmaku. – Zjemy coś wieczorem w jakimś miejscu.

– Proszę, żeby podkołował około wpół do dwunastej – polecił Gray.

– Będzie przygotowany.

– Dziękuję, Sue.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

– No to na razie.

Gray przerzucił wyłącznik, odłączył walizeczkę od gniazdka wbudowanego w podłokietnik fotela i zwinął przewód, wkładając go do zagłębienia w wieku. Zamknął walizeczkę i wepchnął ją sobie pod nogi.

– Załatwione – obwieścił.

Trimagniskop był najnowszym w długim szeregu triumfujących produktów technologicznych Metadyne. Spłodzony i doprowadzony aż do dojrzałości przez dwóch partnerów: Hunta i Graya. Hunt był twórcą pomysłów; wewnątrz Towarzystwa zapewniono mu status zbliżony do wolnego strzelca i pozwalano prowadzić wszelkie badania i eksperymenty, o jakich marzył lub jakie dyktowały mu poprzednie dociekania. Jego tytuł służbowy był nieco mylący; w rzeczywistości to on był Działem Badań Teoretycznych. Stanowisko to sam wymyślił, i to całkiem świadomie, tak aby nie pasowało do żadnego określonego miejsca w hierarchii kierowniczej Metadyne. Nie uznawał przełożonych z wyjątkiem dyrektora generalnego Sir Francisa Forsytha-Scotta, i przechwalał się też, że nie ma żadnych podwładnych. Na schemacie organizacyjnym Towarzystwa prostokącik z napisem: Badania Teoretyczne był samotny, z niczym nie połączony, choć znajdował się blisko szczytu odwróconego drzewa – grafu ilustrującego strukturę Badań Naukowych i Prac Rozwojowych. Wewnątrz prostokąta widniało tylko jedno nazwisko: Dr Victor Hunt. I to się właśnie Huntowi podobało: symbiotyczne współzycie, na mocy którego Metadyne dostarczało mu sprzętu, stwarzało warunki, zapewniało obsługę oraz fundusze niezbędne do jego pracy. On zaś gwarantował Towarzystwu po pierwsze prestiż, wynikający z samego faktu, że na jego liście płac znajdował się uznawany przez cały świat autorytet w dziedzinie teorii infrastruktury jądrowej; po drugie – choć bynajmniej nie po ostatnie – zapewniał Metadyne dopływ nieustającego, radioaktywnego opadu pomysłów.

Gray był inżynierem. Pełnił funkcję sita, na które ów opad był kierowany. Jego geniusz polegał na umiejętności wychwytywania w tym pyle klejnotów – nowych idei o wartości użytkowej – i przekształcania ich w przodujące, sprawdzone i nadające się do sprzedania nowe wyroby i ulepszenia. Tak jak Hunt, przeżył przejście przez pole minowe wieku nierozwagi i wynurzył się z niego, mając prawie trzydzieści pięć lat, cały i zdrowy. Dzielił z Huntem jego pasję pracy oraz zdrowe skłonności do równoważących ją wszystkich grzechów śmiertelnych, jak również notes z adresami. Biorąc to wszystko pod uwagę, stanowili dobry zespół.

Gray przygryzł dolną wargę i podrapał się w lewe ucho. Zawsze przygryzał dolną wargę i drapał się w lewe ucho, gdy miał zamiar mówić o sprawach zawodowych.

– Kapujesz już coś z tego? – zapytał.

– Z numeru z Borlanem?

– Aha.

Hunt potrząsnął głową, a następnie zapalił papierosa.

– Nie mam najbledszego pojęcia.

– Myślałem sobie... A może Felixowi trafiła się okazja natychmiastowej sprzedaży aparatów, może jednemu z jego wielkich jankeskich klientów? Możliwe, że montuje jakiś superpokaz albo coś podobnego.

Hunt znów potrząsnął głową.

– Nie. Z takiego powodu Felix nie ważyłby się spieprzyć całego harmonogramu Metadyne. Zresztą nie miałoby to sensu. Oczywistym rozwiązaniem byłoby pozwolić ludziom polecieć na miejsce, gdzie się znajduje trimagniskop, a nie odwrotnie.

– Mmmm... Zdaje się, że to samo można odnieść do drugiego pomysłu, jaki mi się nasunął: jakiegoś ekspresowego szkolenia ludzi z IDCC.

– Zgadza się, takie samo rozwiązanie.

– Mmmm... – Nim Gray odezwał się ponownie, zdążyli przelecieć kolejne sześć mil. – A co byś powiedział o przejęciu? Aparat to gruby interes, więc Felix chce, aby go robiono w Stanach.

Hunt zastanowił się nad tą możliwością.

– Za żadne kamyki. On za bardzo szanuje Francisa, by mu wyciąć taki numer. Doskonale wie, że Francis potrafi tym zahandlować. A poza tym to by było zbyt podstępne, a podstęp to nie jego metoda. – Hunt przerwał, by wypuścić wielką chmurę dymu. – Zresztą myślę, że sprawa jest grubsza, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Z tego, co zdołałem wywnioskować z zapisu, to nawet Felix nie wyglądał na takiego, który pewien jest, o co tu chodzi.

– Mmmm... Gray rozmyślał jeszcze chwilę, aż wreszcie zrezygnował z dalszych wycieczek do królestwa logiki dedukcyjnej. Wlepił spojrzenie w rosnący napływ ludzkich postaci w kierunku baru pokładu „C”.

– Moje flaki też się trochę buntują – wyznał wreszcie. – Czuję się, jakbym najostrejsze curry zalał transporterem Guinnessa. Chodź, napijmy się kawy.

Tysiąc mil nad nimi, na tle usianego gwiazdami czarnego aksamitu, satelita komunikacyjny Sirius Czternaście śledził zimnymi i wszechwidzącymi elektronicznymi oczami przesuwający się na tle wielobarwnego globu liniowiec stratosferyczny. Z nieustającego strumienia dwójkowo zakodowanych danych, spływających na jego anteny, wyróżnił wezwanie od głównego komputera Gamma Dziewięć na boeingu, żądającego szczegółów najnowszej prognozy pogody dla północnej Kalifornii. Sirius Czternaście przesłał tę wiadomość Siriusowi Dwanaście, zawieszonemu wysoko nad kanadyjskimi Górami Skalistymi, a Dwunasty ze swej strony skierował ją do naziemnej stacji w Edmonton. Stamtąd wiadomość przekazano światłowodem do Ośrodka Kontroli w Vancouverze, skąd wzmacniakiem mikrofalowym została przesłana do placówki Biura Meteorologicznego w Seattle. Po kilku milisekundach żądane odpowiedzi popłynęły tym samym łańcuchem w przeciwną stronę. Gamma Dziewięć przetrwał tę odpowiedź, wprowadził jedną, może dwie drobne poprawki do kursu i planu lotu boeinga oraz wysłał zapis rozmowy do Wieży Kontrolnej w Prestwicku.

Rozdział drugi

Padło już od przeszło dwóch dni.

Departament Badań Inżynierii Materiałowej w Ministerstwie Nauk Kosmicznych tkwił przemoczony w fałdzie gór Uralu. Z rzadka od okna laboratorium lub jednej z aluminiowych kopuł gmachu reaktora odbijał się promień słońca.

Waleria Pietrochow, siedząc w swym biurze w sekcji analiz, zwróciła się ku stercie sprawozdań oczekujących na biurku na rutynową aprobatę. Dwa pierwsze dotyczyły zwykłych testów na korozję wysokotemperaturową. Niedbale przerzuciła stronicę, zerknęła na dołączone wykresy i tabele, postawiła parafę na przeznaczonym do tego miejscu i wrzuciła je do koszyczka z napisem: Wychodzące. Trzecie sprawozdanie zaczęła przeglądać równie automatycznie. Nagle zatrzymała się z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Pochyliwszy się na krześle, zaczęła czytać od początku, tym razem starannie studiując każde zdanie. Gdy skończyła, wróciła do pierwszej stronicy i metodycznie przejrzała cały dokument, przerywając od czasu do czasu, by na ekranie komputera stojącego z boku jej biurka sprawdzić obliczenia.

– To niesłychane! – wykrzyknęła.

Przez długi czas siedziała nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w spływające po szybie krople, lecz umysł miała skupiony na czymś tak dalekim, że widok ten do niej zupełnie nie docierał. Wreszcie zmusiła się do poruszenia i zwracając się ponownie ku klawiaturze, szybko wgrała kod. Z ekranu znikły równania tensorowe, a na ich miejscu pojawił się profil jej asystenta, zgarbionego nad konsolą w pokoju sterowni piętro niżej. Gdy się odwrócił, profil zmienił się w *en face*.

– Gotów do uruchomienia za mniej więcej dwadzieścia minut – powiedział, wyprzedzając spodziewane pytanie. – Plazma już się stabilizuje.

– Nie... To nie ma z tym nic wspólnego – odrzekła odrobinę szybciej niż zwykle. – Chodzi o twoje sprawozdanie numer 2906. Właśnie przejrzałam mój egzemplarz.

– O... doprawdy? – Nagle zmieniony wyraz jego twarzy zdradzał lekki niepokój.

– A więc – kontynuowała, raczej stwierdzając fakt, niż stawiając pytanie – stop niobu z cyrkonem ma bezprzykładną odporność na utlenianie wysokotemperaturowe oraz temperaturę topnienia, w którą, szczerze mówiąc, nie uwierzę, póki sama nie powtórzę testów.

– W porównaniu z nim nasze butle na plazmę wyglądają jak masło – zgodził się Josef.

– I pomimo obecności niobu wykazuje niższe pochłanianie neutronów na przekroju czynnym niż czysty cyrkon?

– Makroskopowo tak, poniżej milibarna na centymetr kwadratowy.

– Interesujące... – Zadumała się, a potem dodała żywszym tonem: I do tego wszystkiego mamy do czynienia z alfa fazowym cyrkonem, ze śladowymi zanieczyszczeniami krzemem, węglem i azotem, a pomimo to ze wspaniałą odpornością na korozję.

– Na gorący dwutlenek węgla, fluorki, kwasy organiczne, podchloryny; przelecieliśmy całą listę. Ogólnie rzecz biorąc, reakcja zostaje zainicjowana, a potem gwałtownie zahamowana przez utworzenie warstw bariery chemicznie nieczynnej. Zapewne można by ją przełamać etapowo, obmyśliwszy serię odczynników we właściwej kolejności, ale do tego potrzeba by całej fabryki specjalnie w tym celu zbudowanej!

– I mikrostruktura – powiedziała Waleria, wskazując gestem papiery na swym biurku. – Opisałeś ją terminem włóknista.

– Tak. To chyba najodpowiedniejsze określenie. Główna masa stopu wydaje się uformowana wokół... no, czegoś w rodzaju siatki mikrokrystalicznej. Składa się głównie z krzemu i węgla, ale z lokalnymi zagęszczeniami związku tytanowo-magnezowego, którego jeszcze nie określiliśmy ilościowo. Nigdy nie natknąłem się na coś podobnego. Masz jakiś pomysł?

Twarz kobiety przez kilka chwil sprawiała wrażenie twarzy człowieka nie całkiem przytomnego.

– Uczciwie mówiąc, w tym momencie nie mam pojęcia, co myśleć – wyznała. – Lecz uważam, że tę informację należy niezwłocznie przekazać wyżej; może się okazać ważniejsza, niż wygląda na pierwszy rzut oka. Ale najpierw muszę upewnić się co do faktów. Nikolaј może chwilowo przejąć sprawy na dole. Przyjdź do mego biura i raz jeszcze przebadajmy szczegółowo całą rzecz.

Rozdział trzeci

Centrala Intercontinental Data and Control Corporation w Portlandzie znajdowała się jakieś czterdzieści mil od miasta, strzegąc przełęczy między górą Adams na północy i górą Hood na południu. Kiedyś, w odległej przeszłości, było w tym miejscu małe morze śródlądowe, które przedarło się przez Góry Kaskadowe i wyrzeźbiło sobie kanał do Pacyfiku, kanał, który z czasem zmienił się w potężną rzekę Columbia.

Przed piętnastoma laty była tu siedziba należącego do rządu Laboratorium Badawczego Broni Nukleonowej Bonneville. Tutaj naukowcy amerykańscy, współpracując z Federalnym Instytutem Badawczym Stanów Zjednoczonych Europy w Genewie, stworzyli teorię dynamiki mezonów. Doprowadziła ona do konstrukcji bomby nukleonowej. Teoria przewidywała „czystą” reakcję o wydajności energetycznej o szereg rzędów wielkości wyższej niż podczas reakcji termojądrowej. Udowadniały to dziury, które wybili na pustyni Sahara.

W tym okresie historii napięcia ideologiczne i rasowe, odziedziczone po wieku dwudziestym, zostały zmiecione przez przyływ powszechnej zamożności i spadający przyrost naturalny. Było to wynikiem rozpowszechnienia się życia w warunkach bardzo rozwiniętej techniki. Tradycyjne kamienie niezgody i wzajemnej podejrzliwości zostały zerodowane w procesie nieodwracalnego przemieszania się ras, narodów, sekt i przekonań w jedno ogromne, homogeniczne społeczeństwo globalne. Gdy przesady terytorialne, odziedziczone po dawno zmarłych politykach, znikły same przez się, a młodzińcze państwa narodowe zbliżyły się do dojrzałości, rok po roku stopniowo redukowano budżety wojskowe supermocarstw. Pojawienie się bomby nukleonowej tylko przyspieszyło to, co i tak by musiało nastąpić. Mając powszechną akceptację, demilitaryzacja świata stała się faktem.

Jednym z zakresów działalności ludzkiej, który skorzystał niebywale z dodatkowych funduszy i środków, uwolnionych dzięki demilitaryzacji, został błyskawicznie rozwijający się Program Badań Systemu Słonecznego Narodów Zjednoczonych. Spis spraw, za które odpowiadała ta organizacja, był długi. Obejmował sterowanie pracą wszystkich sztucznych satelitów na orbitach Ziemi, Księżyca, Marsa, Wenus oraz okołosłonecznej; budowę i

kierowanie wszystkimi bazami załogowymi na Księżycu i Marsie oraz załogowymi laboratoriami orbitalnymi nad Wenus; wystrzeliwanie automatycznych sond głębokiego kosmosu oraz planowanie i kierowanie ekspedycjami załogowymi do planet zewnętrznych. Program Badań Systemu Słonecznego Narodów Zjednoczonych rozrastał się więc dokładnie we właściwym tempie i we właściwym momencie, aby wchłaniać zasoby talentów technologicznych, uwalnianych w miarę likwidowania największych ziemskich programów zbrojeniowych. A wraz z upadkiem nacjonalizmów i demobilizacją większości sił zbrojnych, niespokojna młodzież nowej generacji znalazła ujście dla swej żądzy przygód w umundurowanych oddziałach Sił Kosmicznych Narodów Zjednoczonych. Była to epoka, w której żyło się w podnieceniu i oczekiwaniu ogarniającym pionierów nowych granic, posuwających się skokami od planety do planety przez cały system słoneczny.

I w ten sposób istnienie Laboratorium Badawczego Bonneville traciło swój sens. Nie omieszkali tego zauważyć dyrektorzy IDCC. Stwierdziwszy, że znaczna część sprzętu i instalacji stałych, poprzednio stanowiących własność Laboratorium Badawczego Broni Nukleonowej, może znaleźć zastosowanie w większości własnych programów badawczych korporacji, IDCC zaproponowała rządowi natychmiastowe kupno całej instytucji. Oferta została przyjęta i umowa zawarta. Z biegiem lat IDCC jeszcze rozbudowała obiekt, ulepszyła go i na koniec ulokowała tam swe centrum badań nukleonowych i światową centralę.

Teoria matematyczna, która była wynikiem badań nad dynamiką mezonów, zakładała istnienie trzech dotychczas nieznanymi pierwiastków transuranowych. Choć były one czysto hipotetyczne, nadano im nazwy: hyperium, bonnevillium oraz genevium. Teoria przewidywała również, że w związku ze stwierdzonym „felerem” krzywej zależności energii wiązania od masy pierwiastków transuranowych, te właśnie trzy pierwiastki, gdy już będą stworzone, pozostaną stabilne. Ale ich naturalne występowanie nie było prawdopodobne; w każdym razie nie na Ziemi. Zgodnie z wyliczeniami, tylko w dwóch znanych sytuacjach panowały warunki niezbędne do ich utworzenia: w centrum detonacji bomby nukleonowej oraz podczas kolapsu supernowej do gwiazdy neutronowej.

I rzeczywiście, analiza chmur pyłowych powstałych wskutek wybuchów na Saharze ujawniła śladową obecność hyperium i bonnevillium; obecności genevium nie stwierdzono. A jednak przewidywania teoretyczne uznano za całkowicie udowodnione. Czy zaś przyszłe pokolenia naukowców będą w stanie któregoś dnia zweryfikować przewidywaną drugą możliwość, to już była całkiem inna historia.

Hunt i Gray osiedli na przystosowanym do lądowania dachu budynku administracyjnego IDCC tuż po godzinie piętnastej. O piętnastej trzydzieści siedzieli w skórzanych fotelach klubowych naprzeciw biurka w luksusowym gabinecie Borlana na dziesiątym piętrze i obserwowali, jak dyrektor naczelny, stojąc przy tekowym barku wbudowanym w lewą ścianę

pokoju, nalewa trzy wielkie porcje szkockiej whisky. Borlan wrócił na środek gabinetu, podał Anglikom po szklance, obszedł dookoła biurko i zasiadł za nim.

– No to na zdrowie, chłopcy – powiedział. Odwzajemnili się stosownymi gestami. – A więc – zaczął rozmowę – miło jest ujrzeć was znowu. Podróż okay? Jak dotarliście tu tak szybko? Wynajęliście odrzutowiec? – Nie przestając mówić, otworzył pudełko z cygarami i popchnął je po blacie biurka w ich stronę. – Zapalicie?

– Tak, podróż była dobra. Dziękuję, Felix – odparł Hunt. – Avis. – Kiwnął głową w kierunku okna za plecami Borlana. Roztaczał się tam panoramiczny widok na zarośnięte sosnowym lasem góry, opadające w stronę odległej Columbii. – Ależ sceneria.

– Podoba ci się?

– W porównaniu z tym Berkshire przypomina nieco Syberię.

Borlan popatrzył na Graya.

– A co u ciebie, Rob? Kąciki ust Graya opuściły się.

– Zgaga.

– Przyjęcie zeszłej nocy u pewnego kociaka – wyjaśnił Hunt. – Rob ma za mało krwi w alkoholu.

– Dobra zabawa, he? – Borlan uśmiechnął się szeroko. – Zabraliście ze sobą Francisa?

– Chyba żartujesz!

– Weselić się w towarzystwie chłopstwa? – odrzekł Gray, bezbłędnie naśladowując wymowę angielskiej arystokracji. – Wielki Boże! Do czegoż to dochodzi!

Wybuchnęli śmiechem. Hunt, otoczony mgiełką błękitnego dymu, usadowił się wygodniej.

– A co u ciebie, Felix? – zapytał. – Życie ciągle cię głaszcze?

Borlan szeroko rozłożył ramiona.

– Życie jest cudowne.

– Angie wciąż tak piękna, jak wówczas, gdy widzieliśmy się ostatnim razem? Dzieciaki w porządku?

– Wszyscy w najlepszym. Tommy jest już w college’u, na ostatnich latach fizyki i inżynierii astronautycznej. Johnny większość weekendów spędza na pieszych wólczech ze swym klubem, a Susie wzbogaciła rodzinne zoo o parkę skoczków stepowych i małego misia.

– A więc jesteś tak szczęśliwy, jak zawsze. Odpowiedzialność wynikająca ze sprawowanej władzy nie męczy cię jeszcze?

Borlan wzruszył ramionami i pokazał rząd białych zębów.

– Czy wyglądam jak świrnięty wrzodowiec między jednym i drugim zawałem?

Hunt przyjrzał się błękitnookiej, mocno opalanej postaci, z krótko przystrzyżonymi blond włosami, wygodnie rozwalonej po drugiej stronie ogromnego mahoniowego biurka. Borlan wyglądał o dziesięć lat młodziej, niż miał do tego prawo prezes jakiegokolwiek międzykontynentalnej korporacji.

Przez chwilę jeszcze toczyli towarzyską rozmowę na temat wewnętrznych spraw Metadyne. Wreszcie zapadła nieuchronna chwila milczenia. Hunt pochylił się do przodu, oparłszy łokcie na kolanach, i kontemplował ostatnie krople bursztynowego płynu w szklance, wprawiając je w ruch wirowy z prawa na lewo, a potem znów z lewa na prawo. Wreszcie podniósł wzrok.

– Sprawa aparatu, Felix. O co tu chodzi?

Borlan spodziewał się tego pytania. Powoli wyprostował się w fotelu i zrobił taką minę, jakby się przez chwilę namyślał. Wreszcie powiedział:

– Oglądałeś zapis mojej rozmowy z Francisem?

– Tak.

– Wobec tego... – Zdawało się, że Borlan nie jest pewien, jak to sformułować. – ...Wiem niewiele więcej niż wy. – Opierając dłonie na biurku, przybrał postawę człowieka pełnego szczerości. Ale jego westchnienie wskazywało, że nie oczekuje, iż mu w to uwierzą. I miał rację.

– Daj spokój, Felix. Wykładaj. – Wyraz twarzy Hunta dopowiedział resztę.

– Musisz wiedzieć – upierał się Gray. – Przecież ty to wszystko nagrałeś.

– W porządku. – Borlan popatrzył na jednego, a potem na drugiego. – Słuchajcie, kto według was jest, z globalnego punktu widzenia, naszym największym klientem? To żadna tajemnica: Siły Kosmiczne Narodów Zjednoczonych. Załatwiamy dla nich wszystko, od kanałów przesyłu danych z Księżyca aż do... do laserowych końcówek klastrowych i automatycznych sond kosmicznych. Czy wiecie, jaki jest przewidywany przychód z SKNZ w następnym roku budżetowym? Dwieście milionów dolców... dwieście milionów!

– No i?

– No i... cóż, jeśli taki klient mówi, że potrzebuje pomocy, to mu się pomaga. Było to tak: SKNZ są ogromnym potencjalnym użytkownikiem trimagniskopów, wobec tego daliśmy im wszelkie informacje o tym, co ten aparat potrafi i jak postępuje jego udoskonalanie w ustroniu Francisca. Któregoś dnia, na dzień przed moją rozmową z Francisem, przyjeżdża do mnie pewien facet aż z Houston, gdzie jeden z wielkich wydziałów SKNZ ma swoją centralę. To mój stary kumpel i, ni mniej, ni więcej, tylko sam ich szef. Chce się dowiedzieć, czy aparat może zrobić to i czy może działać owo, a ja mu mówię, że z pewnością tak. Wtedy on mi daje kilka przykładów na temat tego, o czym myśli, i pyta, czy mam już czynny prototyp. Odpowiadam, że nie, ale mówię mu, iż czynny model mamy w Anglii i jeśli chce, możemy załatwić, żeby go sobie obejrzał. Lecz on właśnie tego nie chce. On pragnie mieć prototyp u siebie w Houston i chce ludzi, którzy potrafią się nim posługiwać. I powiada, że zapłaci, a my możemy sami określić ile, ale on chce mieć ów aparat. Wiąże się to z planem badań u nich, na miejscu, mającym absolutny priorytet, a całe SKNZ dostały kota na tym punkcie. Lecz gdy go pytam, o co idzie, zamyka się jak ostryga i oświadcza, że na razie jest to objęte „tajemnicą służbową ze względu na bezpieczeństwo”.

– To mi wygląda na jakiś podejrzany wygląd – skomentował Hunt, zmarszczywszy brwi.
– Stworzy cholerne problemy w Metadyne.

– Też mu to powiedziałem. – Borlan bezradnie uniósł dłonie wnętrzem do góry. – Przedstawiłem mu koszty związane z dotrzymaniem harmonogramu produkcji i terminów oddania do użytku, a on mi na to, że jest to wielka rzecz i że nie poszedłby na spowodowanie takich kłopotów, gdyby nie miał ku temu ważnych powodów. I powiedział prawdę, jak go znam – dodał szczerze Borlan. – Znam go od lat. Powiedział, że SKNZ zapłaci odszkodowanie, jakiego tylko zażądamy, za opóźnienie naszej produkcji. – Borlan znów zrobił gest bezradności. – No to co miałem zrobić? Czy miałem powiedzieć staremu kumpłowi, który przypadkiem jest też moim najlepszym klientem, żeby się wypchał?

Hunt podrapał się po podbródku, wlał do gardła ostatnie krople szkockiej i z namysłem wciągnął głęboko dym z cygara.

– I to wszystko? – zapytał wreszcie.

– Wszystko. A teraz już wiecie tyle, co ja. Z wyjątkiem tego, że zaraz po waszym odlocie z Anglii otrzymaliśmy z SKNZ instrukcję, by rozpocząć przesyłkę aparatu do jakiegoś instytutu biologii w pewnej miejscowości koło Houston. Części zaczną nadchodzić pojutrze; zespół obsługi już jest w drodze i ma tam zacząć przygotowywać stanowisko pracy.

– Houston... Czy to znaczy, że i my tam jedziemy? – zapytał Gray.

– Zgadza się, Bob. – Borlan zamilkł na chwilę i podrapał się po nosie. Skrzywił się kwaśno. – Ja, aaa... zastanawiałem się... By zainstalować aparat, obsługa będzie potrzebowała trochę czasu, więc wy dwaj jeszcze nie będziecie mieli wiele do roboty. Może moglibyście tu spędzić parę dni, hę? Żeby, aaa... spotkać się z niektórymi ludźmi z naszego pionu technicznego i podszeptać im co nieco na temat tego, jak ten aparat działa... coś w rodzaju kursu zapoznawczego. Co wy na to... hę?

Hunt roześmiał się w duchu. Już od miesięcy Borlan żalił się Forsythowi-Scottowi, że chociaż największy potencjalny rynek dla trimagniskopu znajduje się w USA, w praktyce całe know-how znajduje się wyłącznie w posiadaniu Metadyne; amerykańska gałąź koncernu potrzebuje więcej pomocy i informacji, niż dotąd otrzymywała.

– Nigdy nie przepuszczasz okazji, Felix – zauważył. – Okay, ty łobuzie, kupuję.

Twarz Borlana rozjaśnił szeroki uśmiech.

– A ten typek z SKNZ, o którym mówiłeś – odezwał się Gray, wracając do tematu. – Jakie on wymienił przykłady?

– Przykłady?

– Mówiłeś, że podał kilka przykładów, które wiążą się z możliwościami aparatu, a które chciałby poznać.

– A, owszem. No, niechże pomyślę... Interesowało go, czy posługując się aparatem, da się zajrzeć do wnętrza ciała: kości, tkanki, arterie; tego rodzaju rzeczy. Może chciał, żeby

wykonać autopsję czy coś takiego. Chciał też wiedzieć, czy potraficie uzyskać obrazy tego, co znajduje się na stronicach książki, bez jej otwierania.

To już przekraczało wszelkie granice. Hunt, pełen zdumienia, wodził wzrokiem od Borlana do Graya i z powrotem.

– Przecież do autopsji nie potrzeba czegoś takiego jak nasz aparat – zauważył głosem pełnym niedowierzania.

– Czemu nie otworzy sobie książki, jeśli chce wiedzieć, co jest w środku? – dodał Gray podobnym tonem.

Borlan pokazał im puste dłonie.

– Tak. Wiem. No, zabijcie mnie... wiem, że to brzmi jak kompletna bzdura.

– I SKNZ płacą za to tysiące dolarów?

– Setki tysięcy.

Hunt złapał się ręką za czoło i potrząsnął głową w zdenerwowaniu.

– Nalej mi jeszcze szkockiej, Felix – powiedział słabym głosem.

Rozdział czwarty

W tydzień później Mercury Trzy stał gotów do startu na dachu centrali IDCC. W odpowiedzi na pytania, które pojawiły się na ekranie pilota, Hunt podał jako cel ich lotu Hotel Ocean w centrum Houston. Minikomputer DEC w dziobie samolotu skontaktował się ze swym wielkim bratem IBM, urzędującym gdzieś pod ziemią w Centrum Kontroli Ruchu Obszaru w Portlandzie, i po krótkiej konsultacji obwieścił, że zaplanowany lot będzie przebiegał nad Salt Lake City, Santa Fe i Fort Worth. Hunt wgrał swą zgodę i po paru chwilach aerotaxi brzęczało w kierunku południowego wschodu, wspinając się równocześnie, aby stawić czoło wyrastającym przed nim Górą Błękitnym.

Podczas pierwszej części podróży Hunt połączył się z komputerami w Metadyne i wertował swoją dokumentację, aby uporządkować parę nie dokończonych spraw, które pozostawił odjeżdżając. Gdy w polu widzenia pojawiły się połyskujące wody Wielkiego Słonego Jeziora, właśnie kończył obliczenia dotyczące sprawozdania z ostatnich eksperymentów i wyprowadzał wnioski końcowe. Godzinę później, lecąc dwadzieścia tysięcy stóp nad rzeką Colorado, miał połączenie z Massachusetts Institute of Technology i zapoznawał się z niektórymi z ich najnowszych publikacji. Po uzupełnieniu paliwa w Santa Fe obaj podróżni poświęcili nieco czasu na krążenie nad miastem na ręcznym sterowaniu, nim znaleźli miejsce stosowne do zjedzenia lunchu. Później, unosząc się w powietrzu nad Nowym Meksykiem, przyjęli rozmowę z IDCC i następne dwie godziny spędzili na konferencji z paroma inżynierami Borlana, dyskutując o szczegółach technicznych trimagniskopu. Gdy mieli już za sobą Fort Worth, a słońce przesunęło się zdecydowanie ku zachodowi, Hunt odpoczywał, oglądając film kryminalny, Gray zaś spał snem sprawiedliwego na fotelu obok.

Hunt obojętnie przyglądał się, jak złoczyńca został zdemaskowany, bohater zażądał dla siebie pełnej podziwu bohaterki, którą właśnie ocalił przed losem gorszym od śmierci, aż wreszcie sunące po ekranie napisy przekazały morał przeznaczony dla ludzkości na ten dzień. Tłumiąc ziewnięcie, Hunt przerzucił przełącznik trybu pracy na MONITOR/CONTROL, co natychmiast oczyściło ekran i zdusiło muzykę w połowie taktu. Przeciągnął się, zgasił

niedopałek papierosa i wyprostował na siedzeniu, by popatrzeć, jak reszta świata daje sobie radę.

Daleko z prawej strony rzeka Brazos wiła się na południe w stronę Zatoki Meksykańskiej, jak wyszyta złotą nicią na jasnym, szarobłękitnym tle odległej mgiełki. Z przodu widać już było tęczowe wieże Houston stojące na horyzoncie na baczność w gęstym szyku obronnym. Pod samolotem zabudowa wyraźnie zagęściła się. W przerwach między domami zaczęły się pojawiać nierozpoznawalne, szeroko rozciągnięte konstrukcje. Wyglądało to jak przypadkowe nagromadzenie budynków, kopuł, sieci kratownic oraz zbiorników, luźno połączonych kłębówiskiem drózek i rurociągów. Dalej, z lewej strony, ze środka zbudowanego ze stali i betonu przedmieścia, wyrastało pół tuzina smukłych, srebrzystych wieżyc. Były to stojące na wyrzutniach gigantyczne promy satelitarne Vega. Wydały mu się właściwymi w tym miejscu wartownikami strzegącymi dostępu do miejsca, które stało się Mekką Ery Kosmicznej.

Victor Hunt, oglądając owe najświeższe dowody odwiecznego dążenia człowieka przed siebie, zajmujące już całą przestrzeń pod samolotem, poczuł gdzieś w głębi duszy niejasny niepokój.

Urodził się w New Cross, nędznym przedmieściu wschodniego Londynu, na południe od rzeki. Jego ojciec większą część życia spędzał albo na uczestniczeniu w strajkach, albo w pubie na rogu ulicy, debatując nad krzywdami, z powodu których warto by zastrajkować. Gdy nie starczało mu już ani pieniędzy, ani krzywd, zatrudniał się w dokach w Deptford. Matka Victora przez cały dzień pracowała w wytwórni butelek, aby zarobić pieniądze, które wieczorem przegrywała w bingo. On zaś spędzał czas na grze w piłkę nożną lub na wpadaniu do kanału Surrey. Przez jeden tydzień mieszkał u swego wuja w Worcester; człowieka, który ubrany w garnitur codziennie chodził do miejsca, w którym produkowano komputery. I właśnie wuj pokazał Victorowi, jak zbudować sumator dwójkowy.

Nie upłynęło wiele czasu i już wszyscy wrzeszczeli na wszystkich częściej niż zwykle, a Victor przeniósł się do swej ciotki i wujka w Worcester. Tutaj odkrył cały nowy świat, o którym mu się nawet nie marzyło, gdzie można dokonać wszystkiego, czego się chce, a zjawiska magiczne stają się rzeczywistością – zapisane dziwnymi symbolami i tajemniczymi schematami na kartach ksiąg w bibliotece jego wuja.

Mając lat szesnaście Victor wygrał konkurs na stypendium do Cambridge, by studiować matematykę, fizykę i elektronikę fizyczną. Zamieszkał tam z kolegą studentem imieniem Mike, który pływał żaglówkami, łąził po górach, a jego ojcem był dyrektor handlowy. Gdy wuj przeprowadził się do Afryki, rodzina Mike'a zaadoptowała Victora jako drugiego syna. Od tej pory spędzał wakacje albo w ich domu w Surrey, albo wspinając się w górach z Mike'em i jego przyjaciółmi, najpierw w Okręgu Jezior, w północnej Walii i w Szkocji, później w Alpach. Raz nawet próbowali wejść na Eiger, ale zła pogoda zmusiła ich do odwrotu.

Uzyskawszy doktorat, pozostał przez kilka lat na uniwersytecie, by prowadzić dalej swe badania nad zagadnieniami nukleoniki matematycznej. Jego artykuły z tej dziedziny wzbudzały wówczas ogólne zainteresowanie. Na koniec jednak musiał przyznać, iż jego rosnąca skłonność do pewnych bardziej podniecających i pociągających aspektów życia nie da się pogodzić z zarobkami, zależnymi od dotacji na badania naukowe. Przez pewien czas pracował dla rządu, nad kontrolowaną reakcją termojądrową, ale zbuntował się przeciw życiu, które mu obrzydzały wtrącający się niekompetentni biurokraci. Kolejno przyjął trzy posady w prywatnym przemyśle, ale nie potrafił się zmusić do niczego, wykazując cyniczny brak skłonności do udawania, że roczne budżety, marże brutto od sprzedaży, wysokość dywidendy na jedną akcję czy rabat przy zapłacie gotówką naprawdę mają jakiegokolwiek istotne znaczenie. I w taki właśnie sposób, w chwili gdy kończył trzydzieści lat, jego charakter samotnika wziął górę. Okazało się, że ma rzadko spotykane i powszechnie uznawane talenty, cały komplet tytułów naukowych, zaszczytne osiągnięcia, stertę nagród, że jest powszechnie chwalony... i bezrobotny.

Przez krótki okres utrzymywał się z pisania artykułów do czasopism naukowych. Aż pewnego dnia dyrektor, któremu w Metadyne podlegał Dział Badań Naukowych i Prac Rozwojowych, zaproponował mu, by jako wolny strzelec dopomógł w matematycznej interpretacji pewnych prac eksperymentalnych. Po tym zleceniu nastąpiło kolejne i niewiele trzeba było czasu, by między Huntem i Metadyne wytworzyła się trwała więź. Na koniec doktor zgodził się na pracę etatową u nich, w zamian za prawo korzystania z ich wyposażenia oraz usług dla własnych badań – ale na warunkach, które sam określi. I w ten to sposób Dział Badań Teoretycznych stał się rzeczywistością.

Ale teraz... czegoś mu brakowało. To „coś” wewnątrz niego, przebudzone dawno temu, w dzieciństwie, zawsze tęskniło do odkrywania nowych światów. A w tej chwili, gdy patrzył na statki Vega...

Jego myśli przerwał strumień drgań elektronicznych, płynących skądś z dołu i przetworzonych na kod, który wywołał reakcję procesora sterującego lotem Mercury'ego. Krótkie skrzydła za kokpitem przechyliły się i taksówka zmieniła kierunek, rozpoczynając gładkie opuszczanie się kursem, który miał ją wprowadzić w korytarz powietrzny ku wschodowi, zmierzający na wysokości dwóch tysięcy stóp do serca miasta.

Rozdział piąty

Wpadające przez okno światło słoneczne podkreślało głębokie bruzdy na twarzy człowieka spoglądającego z wysoka na centrum Houston. Jego krępa, przysadzista postać, niewykluczone, iż wzorowana na czołgu typu Sherman, rzucała prostokąt cienia na dywan za plecami. Serdelkowate palce wybijały niespokojny werbel na szybie. Gregg Caldwell, dyrektor naczelny Oddziału Nawigacji i Transportu Sił Kosmicznych Narodów Zjednoczonych, analizował rozwój wydarzeń.

Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Teraz, gdy znikło pierwsze podniecenie i niewiara, wszyscy pchali się, aby sobie wykroić udział w tej sprawie. I rzeczywiście, niemało grubych ryb z niektórych oddziałów – choćby Bionauk, Chicago czy Medycyny Kosmicznej, Farnborough – nie owijając w bawełnę pytało, jak to jest, że Nawtrans w ogóle bierze w tym udział, a cóż dopiero mówić o kierowaniu sprawą, jeśli program badawczy w oczywisty sposób nie ma większego związku z zagadnieniami nawigacji ani też transportu. Opuszczone w dół kąciki ust Caldwellella leciutko cofnęły się w czymś, co niemal można by określić jako uśmiezek oczekiwania. A więc noże już się ostrzy, tak? No to w porządku, z wojną świetnie da sobie radę. Po przeszło dwudziestu latach przepychania się na sam szczyt największego oddziału Sił Kosmicznych, był zahartowanym weteranem walk wewnątrz hierarchii – a do tej pory nie upuszczono mu ani kropli krwi. Być może w te rzeczy Nawtrans nie był dotychczas mocniej zaangażowany; być może cała sprawa przerastała Nawtrans; być może przerastała całe SKNZ, ale – jest tak, jak jest. Sama sobie wybrała Nawtrans, by wpaść w ich ręce i tu pozostanie. Jeśli ktokolwiek pragnie dopomóc, tym lepiej ale program miał stempel: „Podlega Nawtransowi”. A jeśli im się to nie podoba, no to niech popróbują to zmienić. Człowieku – niech tylko popróbują!

Dzwonek, dochodzący z konsoly wbudowanej w biurko za plecami Caldwellella, przerwał bieg jego myśli. Odwrócił się, nacisnął przełącznik i zgłosił się twardym barytonem:

– Caldwell.

Z ekranu powitała go Lyn Garland, jego osobista asystentka. Liczyła sobie dwadzieścia osiem lat, była ładna, miała długie rude włosy i wielkie, piwne, inteligentne oczy.

- Wiadomość z recepcji. Są tutaj dwaj twoi goście z IDCC, doktor Hunt i mister Gray.
- Wprowadź ich zaraz. Naley kawy. I powinnaś być obecna przy naszej rozmowie.

W dziesięć minut później wymieniono powitania i wszyscy zajęli miejsca. Przez parę sekund Caldwell z zaciśniętymi wargami i krzaczastymi brwiami ściągniętymi w węzeł na czole w milczeniu przyglądał się Anglikom. Pochylił się do przodu i złożył na biurku przed sobą dłonie ze splecionymi palcami.

– Mniej więcej trzy tygodnie temu brałem udział w spotkaniu w jednej z naszych księżycowych baz selenograficznych: Kopernik Trzy – rozpoczął. – Na tym obszarze wykonuje się mnóstwo wykopów i pomiarów terenowych, większość z nich w związku z nowymi programami budowlanymi. W zebraniu brali udział naukowcy z Ziemi i z kilku innych tamtejszych baz, parę osób z działu inżynierii i pewni przedstawiciele oddziałów umundurowanych Sił Kosmicznych. Posiedzenie zwołano w związku z dziwnymi odkryciami w owej okolicy; odkryciami, które w tej chwili są jeszcze mniej zrozumiałe, niż były wówczas.

Przerwał, by popatrzeć na obu rozmówców. Hunt i Gray w milczeniu odwzajemnili spojrzenie. Caldwell kontynuował:

– Zespół należący do jednej z wypraw badawczych sporządzał mapy miejsc, które nadają się do budowy radarów namiarowych. Działali w odległym sektorze, w znacznym oddaleniu od terenu przeznaczanego do wyrównania...

Nie przerywając mówienia, Caldwell uruchomił klawiaturę wbudowaną na skraju biurka. Ruchem głowy wskazał ścianę w głębi, w całości wypełnioną baterią ekranów. Jeden z nich ożył, ukazując stronę tytułową pliku, z ukośnym czerwonym napisem przez całą szerokość: POUFNE. Stronica znikła, a na jej miejscu pojawiła się mapa warstwiczna czegoś, co wyglądało na kawałek dzikiego i poszarpanego terenu. Pośrodku obrazu ukazało się pulsujące z wolna czerwone światełko i w miarę jak Caldwell obracał głowicę wmontowanego w konsolę manipulatora, zaczęło powoli przesuwać się po mapie. Zatrzymało się w punkcie, gdzie warstwicę wskazywały na połączenie otoczonego stromymi urwiskami wąwozu z szerszą doliną. Wąwóz był wąski i wyglądał tak, jakby odgałęział się od doliny idącą ku górze krzywizną.

– Ta mapa przedstawia obszar, o który chodzi – podkreślił dyrektor. – Kursor wskazuje miejsce, gdzie niewielki wąwóz łączy się z główną doliną biegnącą w dół i na lewo. Tam właśnie chłopcy z selenografii pozostawili swój pojazd i pieszo skierowali się do wąwozu, poszukując przejścia na szczyt tej dużej skały; tej oznaczonej jako „pięć-sześćdziesiąt”.

Podczas przemowy Caldwell pulsujący kursor przesuwał się z wolna między mniejszymi warstwicami, pokazując drogę, jaką wybrał zespół SKNZ. Patrzyli, jak przedostaje się przez wylot wąwozu i podąża nieco dalej. Światełko zbliżyło się do ściany wąwozu i dotknęło jej w miejscu, gdzie warstwicę łączyły się w jedną grubą linię. I tam zatrzymało się.

– Akurat tutaj ścianę wąwozu tworzy prostopadłe urwisko o wysokości około sześćdziesięciu stóp. I tam właśnie natknęli się na pierwszą nietypową rzecz: dziurę w podstawie ściany skalnej. Sierżant dowodzący grupą opisał ją jako podobną do jaskini. Czy nie uważacie, że to dziwne?

Hunt uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Na księżycach nie ma jaskiń.

– O, właśnie.

Na ekranie ukazała się teraz fotografia tego miejsca, zapewne zrobiona z punktu, w którym zaparkowano pojazd zespołu. Można było rozpoznać wyłom w ścianie doliny, tam gdzie łączył się z nią wąwóz. Wyłom znajdował się wyżej, niż mogło się wydawać na podstawie mapy. Dochodziła do niego pochylnia luźnego gruzu. W tle dostrzegli przysadzistą, skalną wieżę, spłaszczoną na szczycie – zapewne tę, która była oznaczona na mapie jako „pięć-sześćdziesiąt”. Caldwell dał im dość czasu na porównanie zdjęcia z mapą, a następnie wrzucił kolejną klatkę. Było to ujęcie z punktu wyższego i położonego bliżej wejścia do wąwozu. Nastąpiła seria zdjęć, zbliżających się do zakrętu i sięgających poza zakręt.

To są klatki z filmu – skomentował Caldwell. – Nie będę wam zawracał głowy całością. – Ostatnia pokazywała otwór w skale, szerokości około pięciu stóp. – Takie otwory nie są nieznane na Księżycu – zauważył Caldwell. – Lecz występują na tyle rzadko, by zachęcić naszych ludzi do przyjrzenia im się z bliska. Wewnątrz był bałagan. Obsunęły się tam kamienie, być może nawet kilka razy. Tylko kupa gruzu i kurzu... w każdym razie na pierwszy rzut oka. – Nowy obraz na ekranie potwierdził tę opinię. – Ale kiedy zaczęli się dokładniej rozglądać, natrafili na coś, co było naprawdę niezwykle. Pod spodem znaleźli ciało... martwe!

Obraz znowu się zmienił, ukazując kolejne ujęcie wnętrza, z tego samego punktu co poprzednio. Teraz jednak widać było górną połowę ciała, które leżało wśród piargu i rumoszu, zapewne w połowie jego odkopywania. Odziane było w skafander kosmiczny, który pod warstwą szarobiałego pyłu wyglądał na jaskrawoczerwony. Hełm zdawał się nienaruszony, ale szczegółów nie było widać przez przyłbice, ponieważ odbiło się w niej światło z kamery. Caldwell zostawił im mnóstwo czasu na przestudiowanie zdjęcia i zastanowienie się nad przedstawionymi faktami. Po czym odezwał się ponownie:

– To jest to ciało. Odpowiem na kilka najoczywistszych pytań, zanim je zadacie. Pierwsze: nie, nie wiemy, kto to jest lub był, więc nazwaliśmy go Charlie. Drugie: nie, nie wiemy z pewnością, co go zabiło. Trzecie: nie, nie wiemy, skąd się wzięło.

Dyrektor naczelny dostrzegł wyraz zdziwienia na twarzy Hunta i pytająco uniósł brwi.

– Wypadki się zdarzają i nie zawsze łatwo ustalić, co je spowodowało. Z tym się zgodzę – powiedział Hunt. – Ale nie wiedzieć, kto to jest...? Mam na myśli, że musiał mieć ze sobą

jakiś dokument identyfikacyjny, uważam, że powinien mieć. A nawet jeśli nie miał, musi pochodzić z którejś z baz SKNZ na Księżycu. Ktoś musiał zauważyć jego zaginięcie.

Po raz pierwszy przez twarz Caldwell'a przeleciał cień uśmiechu.

– Oczywiście sprawdziliśmy we wszystkich bazach, doktorze. Wynik negatywny. Ale to był tylko początek. Widzi pan, gdy zabraliśmy go do laboratorium na dokładniejsze badania, wyszło na jaw wiele osobliwości, których eksperci nie potrafili wyjaśnić. A niech mi pan wierzy, że w tę sprawę zaangażowaliśmy same pierwszorzędne umysły. Nawet gdy przywieźliśmy go tutaj, sytuacja wcale się nie polepszyła. Prawdę powiedziawszy, im więcej się dowiadujemy, tym staje się gorsza.

– Tutaj? Chce pan powiedzieć...?

– A, tak. Charliego przesłaliśmy na Ziemię. W tej chwili jest o parę mil stąd, w Instytucie Biologii Westwood. Jeszcze dziś pojedziemy tam, by go sobie obejrzyć.

Zapanowało długie milczenie. Hunt i Gray starali się przetrwać nawet faktów. Wreszcie Gray spytał:

– A może ktoś go zakatrupił z jakiegoś powodu?

– Nie, mister Gray, może pan sobie darować wszelkie tego rodzaju domysły. – Caldwell przerwał na chwilę. – Mogę tylko powiedzieć, że na podstawie naszej skromnej dotychczasowej wiedzy możemy być pewni tylko paru rzeczy. Przede wszystkim tego, że Charlie nie pochodzi z żadnej dotychczas założonej bazy na Księżycu. Co więcej – głos Caldwell'a przycichnął do złowieszczonego powarkiwania – nie pochodzi on z żadnego znanego nam dziś narodu. A tak naprawdę bynajmniej nie jest pewne, czy pochodzi w ogóle z naszej planety!

Przesunął spojrzenie z Hunta na Graya i z powrotem, z pewną satysfakcją notując wyraz głębokiego niedowierzania, jakie wywołały jego słowa. W pokoju zapanowała absolutna cisza. Nieomal słychać było, jak napinały się nerwy słuchaczy.

Caldwell stuknął palcem w klawiaturę.

Na ekran wskoczyła w groteskowym zbliżeniu twarz, podobna raczej do trupiej czaszki, pokrytej skórą pomarszczoną i pociemniałą jak starożytny pergamin, tak naciągniętą na kościach, że odsłaniała dwa rzędy wyszczerzonych zębów. Z oczu pozostały tylko dwa puste, ślepe doły spoglądające przez wyschnięte, skórzaste powieki.

Głos Caldwell'a, teraz już ściszony do mrożącego krew w żyłach szeptu, dotarł jak syk do uszu osłupiałych słuchaczy.

– Otóż, panowie... Charlie zmarł ponad pięćdziesiąt tysięcy lat temu!

Rozdział szósty

Doktor Victor Hunt spoglądał roztargnionym wzrokiem na roztaczający się z lotu ptaka widok przedmieść Houston, przesuwały się nisko pod odrzutowcem należącym do SKNZ. Do tej chwili oszołomienie wywołane rewelacjami Caldwell'a osłabło na tyle, że Hunt był już zdolny do stopniowego tworzenia w myśli zarysu koncepcji, będącej próbą zrozumienia tego wszystkiego.

Co do wieku Charliego nie mogło być żadnych wątpliwości. Wszystkie żywe organizmy przyswajają sobie w znanych proporcjach radioaktywne izotopy węgla i pewnych innych pierwiastków. Gdy życie trwa, organizm utrzymuje stały stosunek liczbowy tych izotopów do „normalnych” pierwiastków. Ale gdy następuje śmierć i przyswajanie ustaje, aktywne izotopy zaczynają ulegać rozpadowi w znanym tempie. Efektem tego procesu jest całkowicie wiarygodny zegar, który rusza w momencie śmierci. Analiza produktów rozpadu pozwala obliczyć z dużą dokładnością, jak dawno zegar został puszczony w ruch. Charliego poddano wielu tego rodzaju badaniom i ich wyniki były zgodne w bardzo ścisłych granicach.

Ktoś jednak zwrócił uwagę, że wiarygodność tej metody opiera się na założeniu, że skład chemiczny wszystkiego, co Charlie jadał, oraz składniki atmosfery, jaką oddychał, były identyczne z ziemskimi. Ale ponieważ Charlie mógł i nie pochodzić z Ziemi, takiego założenia przyjmować nie wolno. Nie upłynęło jednak wiele czasu i problem ten został w ostateczny sposób rozstrzygnięty. Choć funkcje większości urządzeń znajdujących się w tornistrze Charliego jeszcze nie zostały ustalone, jeden z podzespołów zidentyfikowano jako pomysłowo skonstruowany, miniaturowy reaktor atomowy. Łatwo odnaleziono pastylki paliwowe U235, natomiast analiza produktów ich rozpadu dała drugą, niezależną odpowiedź, lecz mniej dokładną: blok energetyczny w tornistrze Charliego został zbudowany przed prawie pięćdziesięcioma tysiącami lat. Jak z tego wynikało, efekty pierwszej serii testów zostały należycie potwierdzone, a otoczenie naturalne, z którego pochodził Charlie, nie mogło zbyt odnieść się od ziemskiej normy.

Ale – powiedział sobie Hunt – gatunek, do którego należał Charlie, musiał gdzieś ewoluować aż do swego ziemskiego kształtu. Było całkiem oczywiste, że to „gdzieś”

znajdowało się albo na Ziemi, albo nie na Ziemi. Elementarne prawa logiki nie dopuszczały innej możliwości. Doktor zaczął się zastanawiać nad wszystkim, co potrafił sobie przypomnieć z ogólnie przyjętego obrazu ewolucji ziemskich form życia. W rezultacie ogarnęły go wątpliwości, czy mimo ogromnych wysiłków i badań, które całe pokolenia poświęciły owemu tematowi, nie mogło się przypadkiem okazać, że kryje się za nim o wiele więcej, niż sobie dotychczas z taką ufnością wyobrażano. Z każdego punktu widzenia kilka miliardów lat to długi okres. Czy jest więc sprawa zupełnie nie do pomyślenia, że gdzieś w tej otchłani niepewności dość było miejsca, by przeoczyć całą linię rozwojową gatunku ludzkiego, linię, która zakwitła i wymarła o wiele wcześniej, niż człowiek współczesny rozpoczął swój rozwój?

Z drugiej strony fakt, że Charliego znaleziono na Księżycu, nasuwał wniosek o istnieniu cywilizacji rozwiniętej technologicznie w takim stopniu, by móc go tam wysłać. Z pewnością, żeby stanąć na drodze do wynalezienia lotów kosmicznych, musiało przedtem dojść do wytworzenia się globalnego społeczeństwa technologicznego. Ono zaś musiało konstruować maszyny, wznosić budowle i miasta, obrabiać metale, a także pozostawić po sobie wszelkie inne oznaki postępu. Jeśli na Ziemi kiedyś istniała taka cywilizacja, z całą pewnością w ciągu wieków wypraw badawczych i wykopalisk nieuniknione było natknięcie się przynajmniej na jej ślady. Ale nie odnotowano nawet jednego takiego przypadku. Chociaż wnioski opierały się wyłącznie na dowodach negatywnych, nawet Hunt, przy całej swej skłonności traktowania wszelkich zagadnień bez założeń z góry powziętych, nie mógł uznać, że konkluzja o istnieniu takiej cywilizacji miała choćby najmniejsze prawdopodobieństwo.

Pozostawała więc jedyna możliwość: Charlie przybył skądinąd. Oczywiście miejscem takim nie mógł być Księżyc: był zbyt mały, aby gdziekolwiek utrzymać na dostatecznie długi czas atmosferę niezbędną do pojawienia się życia w ogóle, a tym bardziej do tego, by zjawisko to osiągnęło wysoki poziom. No i poza tym skafander kosmiczny Charliego dowodził, że był on w tym miejscu tak samo obcy, jak człowiek ziemski.

W tej sytuacji mogła to być tylko jakaś inna planeta. Ale tu pojawiał się problem niewątpliwie ludzkiego ciała Charliego, co Caldwell podkreślił, choć nie miał ochoty zagłębiać się w szczegóły. Zgodnie z tym, co powszechnie przyjmowano, Hunt wiedział, iż proces ewolucji dokonuje się w długich okresach przez selekcję wyników całkowicie przypadkowych serii mutacji genetycznych. Wszelkie uznane prawa i zasady dyktowały, że pojawienie się dwóch identycznych produktów końcowych w dwóch całkowicie odizolowanych gałęziach ewolucyjnych, rozwijających się w różnych zakątkach wszechświata, po prostu nie mogło nastąpić. Zatem, jeśli Charlie pochodził skądinąd, cały dział przyjętych teorii naukowych musiał runąć w gruzy. A więc – Charlie w żadnym wypadku nie mógł pochodzić z Ziemi. Ale w żadnym też wypadku nie mógł pochodzić znikądinąd. Wobec tego Charlie nie miał prawa istnieć. Lecz istniał.

Doszedłszy do pełnych wniosków z całej sprawy, Hunt bezgłośnie zagwizdał. Zawierały bowiem dość materiałów, aby wtrącić świat naukowy w spory na całe dziesięciolecie.

W Instytucie Biologicznym Westwood na Caldwell, Lyn Garland, Hunta i Graya oczekiwał profesor Christian Danchecker. Anglicy go rozpoznali, ponieważ Caldwell już wcześniej przedstawił ich sobie nawzajem przez wideofon. W drodze do laboratoriów Instytutu Danchecker przekazał im dalsze informacje.

Jak na swój wiek, ciało było znakomicie zachowane. Zawdzięczało to środowisku, w jakim zostało znalezione: wolna od bakterii bezwzględna próżnia o trwałej, skrajnie niskiej temperaturze otoczenia, którą zapewniała nawet podczas księżycowego południa izolująca masa osłaniająca ciało skały. W tych warunkach nie mógł w żadnej formie nastąpić bakteryjny rozkład miękkich tkanek. Skafander kosmiczny nie był nigdzie uszkodzony. W związku z tym za najprawdopodobniejszą obecnie teorię przyjęto uszkodzenie systemu podtrzymywania życia, czego wynikiem był nagły spadek temperatury wewnątrz skafandra. Ciało zostało w krótkim czasie głęboko zamrożone, a to stało się przyczyną nagłego przerwania procesu przemiany materii. Kryształki lodu uformowanego z płynów ustrojowych spowodowały rozległe rozdarcia błon komórkowych. Z biegiem lat większość substancji lekkich uległa sublimacji, przede wszystkim z płytszych warstw ciała, pozostawiając poczerniałą, pomarszczoną, naturalną mumię. Najbardziej uszkodzone były oczy, gdyż, jako złożone głównie z płynów, zapadły się całkowicie, pozostawiając w oczodołach zaledwie nieco puszystego osadu.

Największy problem stanowiła skrajna kruchość szczątków, nieomal uniemożliwiająca jakiegokolwiek próby dokładniejszego ich zbadania. Już podczas transportu na Ziemię i wydobywania ciała ze skafandra doznało ono uszkodzeń nie do naprawienia. Tylko to, że było podczas tych operacji zmrożone na kość, pozwoliło uniknąć jeszcze gorszych następstw. I w tym to właśnie momencie ktoś pomyślał, że w IDCC jest Felix Borlan, a w Anglii buduje się aparat, którym można odtwarzać wnętrza przedmiotów. W rezultacie Caldwell złożył wizytę w Portlandzie.

W pierwszym laboratorium panowała ciemność. Do studiowania kompletów przezroczy fotograficznych, ułożonych na kilku stołach o szklanych blatach, badacze posługiwali się mikroskopami binokularnymi. Danchecker wybrał kilka płyt ze stosu, gestem poprosił gości, by poszli za nim, i zbliżył się do tylnej ściany pomieszczenia. Położył trzy pierwsze płyty na niskim ekranie fluoryzującym, podświetlił go i cofnął się, dołączając do oczekujących gości, którzy stali w półkolu. Ukazały się rentgenowskie zdjęcia czaszki w ujęciu z przodu i z boków. Pięć twarzy, ostro rysujących się na tle ciemności za ich plecami, skierowało się ku ekranowi w uroczystym milczeniu. Wreszcie Danchecker zrobił krok do przodu, równocześnie zwracając się ku pozostałym:

– Uważam, że nie muszę wam mówić, kto to jest. – Sposób zachowania profesora był dość sztywny i oficjalny. – Czaszka w każdym szczególe w pełni ludzka; oczywiście w takim stopniu, w jakim można to stwierdzić promieniami X. – Danchekker wziął z jednego stołu linijkę i nakreślił zarys szczęki. – Proszę zauważyć układ zębów: po każdej stronie widzimy dwa siekacze, jeden kiel, dwa zęby przedtrzonowe i trzy trzonowe. Ta formuła została utrwalona nader wcześnie w linii ewolucyjnej prowadzącej do naszych współczesnych istot człekokształtnych, włączając w to, oczywiście, człowieka. Odróżnia ona naszą gałąź ewolucyjną od innych rozgałęzień, takich jak małpy Nowego Świata z układem zębowym: dwa, jeden, trzy, trzy.

– W tym wypadku to nie ma znaczenia – skomentował Hunt. – Ten wizerunek nie ma nic wspólnego z małpą człekokształtną czy małpą w ogóle.

– Bardzo słusznie, doktorze Hunt – odparł Danchekker, skinąwszy głową. – Zredukowane kły, nie zachodzące na zęby górne, oraz określony układ wypukłości koron zębowych, są to wybitnie ludzkie cechy szczególne. Proszę także zauważyć brak prognatyzmu, nieobecność kostnych haków brwiowych... wysokie czoło i ostry kąt żuchwy... dobrze zaokrągloną mózgowiczkę. Wszystko to są cechy znanego nam współcześnie człowieka prawdziwego, cechy odziedziczone w prostej linii od jego wcześniejszych przodków. W tym wypadku znaczenie owych szczegółów wynika stąd, iż ukazują one wzór człowieka prawdziwego, a nie coś, co jest tylko powierzchownie do niego podobne.

Profesor zdjął płyty z ekranu i w jednej chwili zalał pomieszczenie potokami światła. Przekleństwo wymruczane półgłosem przez jednego z siedzących przy stołach naukowców spowodowało, że pośpiesznie zgasił światło. Wybrał trzy dalsze płyty, umocował je na ekranie i włączył podświetlenie. Ukazały się: boczny widok korpusu, ręka i noga.

– Korpus również nie wykazuje odstępstw od znanego nam wzorca ludzkiego. Taka sama struktura żeber... szeroka klatka piersiowa z dobrze wykształconymi obojczykami... normalny zarys miednicy. Noga jest zapewne najbardziej wyspecjalizowaną częścią ludzkiego szkieletu, odpowiedzialną za właściwą wyłącznie człowiekowi znaczną rozpiętość kroku i nieco szczególny sposób poruszania się. Jeśli jesteście państwo zaznajomieni z anatomią człowieka, przekonacie się, że ta noga pod każdym względem podobna jest do naszej.

– Wierzę panu na słowo – zgodził się Hunt, potrząsając głową. – A więc nic szczególnego.

– Najbardziej znaczący, doktorze Hunt, jest brak czegokolwiek szczególnego.

Danchekker wyłączył ekran i odłożył płyty na stos. Gdy skierowali się ku drzwiom, Caldwell zwrócił się do Hunta:

– Tego rodzaju sprawy nie trafiają się codziennie – mruknął. – Dostateczny powód, by domagać się... eee... nieco niezgodnych z przepisami działań, zgodzi się pan z tym?

Hunt się zgodził.

Korytarz, kilka schodków i następny korytarz doprowadziły ich do podwójnych drzwi z wielkim czerwonym napisem: OBSZAR STERYLNY. W przedpokoju za wejściem nałożyli maski chirurgiczne, czepki, kitle, rękawiczki i kalosze. Dopiero wtedy mogli przejść przez kolejne drzwi w przeciwną stronę.

W sekcji pierwszej, do której weszli, badano próbki skóry i innych tkanek. Wprowadzając do nich substancje, które ulotniły się przed wiekami, próbki doprowadzono – a przynajmniej miano taką nadzieję – do stanu zbliżonego do pierwotnego. Ogólnie rzecz biorąc, wyniki badań po prostu potwierdzały, iż Charlie był równie ludzki pod względem chemicznym jak i strukturalnym. Ale natrafiono również na pewne nieznane enzymy. Dynamiczna symulacja komputerowa prowadziła do wniosku, że pełniły one funkcję wspomagającą rozkład protein, niepodobnych do żadnych wchodzących w skład pożywienia współczesnego człowieka. Danchecker gotów był zlekceważyć tę osobliwość nader wymijającym stwierdzeniem, że „czasy się zmieniają”. Tę uwagę Hunt uznał za niepokojącą.

W następnym laboratorium badano skafander i różne inne gadżety oraz sprzęt znalezione wraz z ciałem. Na pokaz wystawiono najpierw hełm. Jego tylna ściana i szczyt wykonane były z metalu pokrytego matową czernią i wysuniętego do przodu tak, że zakrywał także czoło, pozostawiając miejsce na szeroką przezroczystą przyłbicę sięgającą od ucha do ucha. Danchecker podniósł hełm do góry, by go mogli dokładnie obejrzeć, i przez otwór szyjny wsunął do środka swą urękawiczoną dłoń. Przez przyłbicę wyraźnie widać było palce jego gumowej rękawiczki.

– Przyjrzyjcie się – powiedział, biorąc z ławki silną lampę ksenonową. Skierował jej promień na przyłbicę i natychmiast część przezroczystego materiału pociemniała. Przez prześwit wokół ściemniałego miejsca widzieli, że natężenie oświetlenia wewnątrz hełmu niewiele się zmieniło. Profesor poruszył lampą, a ciemna plama przesunęła się przez przyłbicę w ślad za promieniem światła.

– Wbudowane zabezpieczenie przeciwślepieniowe – zauważył Gray.

– Przyłbicę wykonano z kryształu samopolaryzującego się – poinformował ich Danchecker. – Reaguje bezpośrednio na światło padające w sposób liniowy aż do wysokich natężeń. Równie skutecznie zabezpiecza przed promieniowaniem gamma.

Hunt wziął do ręki hełm, by mu się przyjrzeć z bliska. Układ krzywizn powierzchni zewnętrznej nie był szczególnie interesujący. Ale odwróciwszy hełm szczytem do dołu, doktor dostrzegł, że usunięto niewielką część wewnętrznej powierzchni szczytu ujawniając wgłębienie, które było puste oprócz paru cieniutkich drucików i szeregu zaczepów.

– W tym wgłębieniu znajdował się kompletny, miniaturowy komunikator – poinformował Danchecker, zauważywszy zainteresowanie Hunta. – Za siateczkami po bokach znajdowały się ukryte głośniki, a mikrofon był wbudowany u góry, tuż nad czołem. – Sięgnął do wnętrza i wyciągnął mały, składany peryskop binokularny umieszczony w górnej części hełmu, który zatrzasnął się natychmiast w miejscu, które znajdowało się tuż przed

oczami noszącego hełm. – Także wbudowane wideo – wyjaśnił. – Sterowane z tablicy na piersiach. Mały otworek nad czołem zawierał kamerę.

Hunt nie przestawał obracać zdobyczy w dłoniach, oglądając ją pod każdym kątem, pogrążony w milczeniu. Dwa tygodnie temu siedział przy biurku w Metadyne, wykonując swą rutynową robotę. Nawet w najfantastyczniejszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia będzie trzymał w dłoniach coś, co może się okazać najbardziej sensacyjnym odkryciem stulecia, jeśli nie całej historii. Nawet jego ruchliwy umysł z trudem był w stanie przyjąć to do wiadomości.

– Czy możemy obejrzeć coś z elektroniki, która tu była? – spytał po chwili.

Nie dziś – odparł Caldwell. – Elektronikę studiują gdzie indziej. Także większość rzeczy, które znajdowały się w tornistrze. Teraz wystarczy powiedzieć, że jeśli idzie o obwody molekularne, te chłopaki znały się na robocie.

Tornister jest majstersztykiem zminiaturyzowanej inżynierii precyzyjnej – kontynuował Danchecker, prowadząc ich do innej części laboratoriów. Główne źródło prądu całego wyposażenia oraz systemu ogrzewania zostało zidentyfikowane. Jest typu jądrowego. Ponadto wykryliśmy urządzenie do recyrkulacji wody, system podtrzymywania życia, awaryjne źródło prądu, system komunikacyjny oraz urządzenie do skraplania tlenu... i to wszystko w tym jednym tornistrze! – Podniósł i pozwolił im obejrzeć pustą obudowę, po czym cisnął ją z powrotem na ławkę. – Były także liczne inne urządzenia, ale ich przeznaczenie nie jest jeszcze zbadane. Za wami znajduje się część jego własności osobistej.

Profesor zrobił parę kroków i wskazał przedmioty zebrane z ciała i ułożone w porządku, jak eksponaty muzealne, na innej ławce.

– Pióro... niezbyt się różni od znanego nam długopisu ciśnieniowego; główkę można obracać, by zmienić kolor. – Podniósł zbiór metalowych pasków, składających się w obudowie jak ostrza scyzoryka kieszonkowego. – Podejrzewamy, że jest to jakiś rodzaj kluczy, ponieważ mają na powierzchniach napisy kodem magnetycznym.

Z boku leżała cała kolekcja czegoś, co wyglądało jak pogniecione kawałki papieru. Niektóre z nich miały tu, i ówdzie wpisane grupy ledwie rozpoznawalnych symboli. Obok nich znajdowały się dwie książeczki formatu kieszonkowego, każda mogła mieć pół cala grubości.

– Różne drobiazgi – oświadczył Danchecker, spoglądając na ławkę. – Dokumenty sporządzono z jakiegoś plastyfikowanego włókna. Gdzieś widać fragmenty druku lub pisma ręcznego, oczywiście zupełnie niezrozumiałe. Materiał doznał znacznego uszczerbku i rozpada się przy najlżejszym dotknięciu. – Skinął głową pod adresem Hunta. – I to jest kolejny zakres badań, w którym za pomocą trimagniskopu spodziewamy się dowiedzieć tyle, ile się da, nim zaryzykujemy jakąkolwiek inną metodę. – Pokazał palcem pozostałe przedmioty, nie wdając się już w szczegóły. – Latarka wielkości pióra wiecznego; jakiś, tak przypuszczamy, kieszonkowy miotacz ognia; nóż; elektryczna wiertarka kieszonkowa

wielkości pióra wiecznego, z zapasem wiertel w ręczce; pojemniki na żywność i napoje, wyposażone w końcówki do łączenia z zaworami w dolnej części hełmu; kieszonkowy skoroszyt, podobny do portfela, zbyt kruchy, by go otwierać; zmiana bielizny; artykuły higieny osobistej; różne kawałki metalu o nieznanym przeznaczeniu. W kieszeniach było jeszcze parę aparatów elektronicznych, ale wysłano je gdzie indziej wraz z pozostałymi.

Cała grupa w drodze do drzwi wyjściowych zatrzymała się przy purpurowym skafandrze kosmicznym, który został ponownie złożony w całość na naturalnej wielkości manekinie, stojącym na niewielkim cokole. Na pierwszy rzut oka proporcje postaci zdawały się lekko odbiegać od ludzkiej przeciętnej. Budowę miała raczej krępą, a kończyny nieco przykrótkie, jak na jej wzrost oceniany na sto sześćdziesiąt osiem centymetrów. Ale uwzględniając to, że skafander nie miał być ściśle dopasowany do figury, na co wskazywała jego konstrukcja, trudno o pewność. Hunt zauważył, że podeszwy butów były zaskakująco grube.

– Resorowane wewnątrz – wyjaśnił Danchecker, widząc jego spojrzenie.

– Co to znaczy?

– Bardzo pomysłowe. Właściwości mechaniczne materiału podeszew zmieniają się zależnie od przyłożonego nacisku. Jeśli właściciel szedł z normalną szybkością, podeszwa pozostawała umiarkowanie elastyczna. Ale pod wpływem uderzenia, jeśli na przykład skakał, przyjmowała fizyczne właściwości sztywnej sprężyny. To idealne urządzenia do posuwania się skokami podczas grawitacji księżycowej, gdyż wyzyskuje warunki zmniejszonego ciężaru i normalnej bezwładności.

– A teraz, panowie – oświadczył Caldwell, który z wyraźnym zadowoleniem śledził rozgrywające się wypadki – nadszedł moment, na który, jak sądzę, czekaliście: obejrzymy sobie samego Charliego.

Windą zjechali na poziom sutereny instytutu. Znaleźli się w ponurym korytarzu ze ścianami wyłożonymi białymi płytkami i rozjaśnionymi białymi światłami. Poszli wzdłuż niego do wielkich metalowych drzwi. Danchecker przyłożył kciuk do wpuszczonej w ścianę szklanej płytki. Drzwi rozpoznały jego odcisk palca i rozsunęły się bezdźwięcznie. W tej samej chwili rozproszony, jaskrawobiały blask zalał wnętrze.

Było tam zimno. Znaczną część powierzchni ścian zajmowały tablice sterownicze, urządzenia analizujące oraz oszklone szafki, w których ustawiono szeregi błyszczących instrumentów. Wszystko było jasnozielone, jak na sali operacyjnej, i wywierało wrażenie chirurgicznej czystości. Z boku stał duży stół na jednej tylko centralnej kolumnie. Spoczywało na nim coś, co wyglądało jak zbyt wielka szklana trumna. Wewnątrz niej leżało ciało. Profesor bez słowa poprowadził ich przez pokój, skrzypiąc kaloszami na gumowej podłodze. Grupa zebrała się przy stole i w pełnym grozy milczeniu spoglądała na leżącą przed nimi postać.

Była do połowy przykryta prześcieradłem, od dolnej części klatki piersiowej aż do nóg. W tym szpitalnym otoczeniu rozwiały się resztki wstrząsu, spowodowanego makabrycznym

obrazem, oglądanym rano na ekranie w gabinecie Caldwell. Te resztki ludzkie mogły jedynie wywoływać naukowe zainteresowanie. Hunta ogarnęła przemożna świadomość, że oto stoi na długość wyciągniętej ręki obok istoty należącej do cywilizacji, która narodziła się, wyrosła i odeszła jeszcze przed świtem historii. Przez długi czas stał pogrążony w niemym zdumieniu, niezdolny do sformułowania jakiegoś inteligentnego zapytania, czy komentarza, choć wirowały mu w głowie domysły na temat życia i czasów tego obcego stworzenia. Gdy wreszcie z wysiłkiem powrócił do chwili obecnej, zdał sobie sprawę, że profesor znów przemawia.

– ...Oczywiście na tym etapie nie jesteśmy w stanie określić, czy było to odchylenie genetyczne, właściwe tylko temu osobnikowi, czy generalna cecha rasy, do której należał. Ale pomiary oczodołów oraz pewnych okolic czaszki wskazują, że, uwzględniając jego wzrost, oczy miał nieco większe niż nasze. To sugeruje, że nie był przyzwyczajony do światła słonecznego tak jaskrawego jak obecnie. Zauważcie również długość nozdrzy. Jeśli nawet uwzględnimy ich skurczenie się w miarę upływu czasu, to nie zmieni to faktu, że są tak zbudowane, aby zapewnić dłuższy przebieg powietrza wdychanego, w celu jego wstępnego podgrzania. To nasuwa przypuszczenie, że istota ta przybyła ze względnie chłodniejszego klimatu... Te same cechy można zaobserwować u współczesnych Eskimosów.

Danchecker okrągłym gestem ogarnął całą długość ciała Charliego.

– Także przysadzista i krępa budowa jest zgodna z przystosowaniem do chłodnego otoczenia naturalnego. Gruby, okrągławy przedmiot ma mniejszą powierzchnię na jednostkę objętości od przedmiotu długiego i cienkiego. W ten sposób traci mniej ciepła. Porównajcie zwartą budowę Eskimosa z długimi kończynami i szczupłym ciałem Murzyna. Wiadomo nam, że w czasach, gdy żył Charlie, Ziemia wchodziła w ostatni zimny okres epoki lodowej pleistocenu. Żywe istoty w owym czasie miały około miliona lat na adaptację do zimna. Istnieją również ważne powody do mniemania, że epoki lodowe powodowane są zmniejszaniem się wielkości padającego na Ziemię promieniowania słonecznego, spowodowanego przechodzeniem Słońca i planet przez obszary pełne wyjątkowo gęstego kurzu kosmicznego. Na przykład epoki lodowe następują w przybliżeniu co dwieście pięćdziesiąt milionów lat; jest to również okres obrotu naszej Galaktyki... Z pewnością jest w tym coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności. W ten sposób ewidentna adaptacja tej istoty do zimna, sugestia niższego natężenia światła dziennego i ustalony wiek ciała są w całości dobrze skorelowane.

Hunt pytającym wzrokiem popatrzył na profesora.

– A więc jest pan już całkiem pewien, że on pochodzi z Ziemi? – spytał tonem lekkiego zaskoczenia. – Myślę, że chyba jeszcze za wcześnie na wnioski?

Danchecker pogardliwie zadarł głowę i uniósł brwi, aby w ten sposób okazać lekką irytację.

– Z całą pewnością jest to oczywiste, doktorze Hunt. – Ton jego wypowiedzi był taki, jak profesora, który udziela nagany błędzemu studentowi. – Proszę pomyśleć o wszystkim, co zaobserwowaliśmy: zęby, czaszkę, szkielet, rodzaj i ułożenie organów wewnętrznych. Z całym rozmysłem zwróciłem waszą uwagę na te szczegóły, by podkreślić pokrewieństwo tej istoty z nami. Jasne jest, że pochodzi od tych samych przodków, co my. – Pomachał dłonią na wysokości swej twarzy. – Nie, nie ma nawet najmniejszych wątpliwości. Charlie ewoluował z tego samego pnia, co współczesny człowiek i wszyscy inni przedstawiciele ziemskich naczelných.

Gray miał minę pełną powątpiewania.

– No, nie wiem – powiedział. – Myślę, że uwaga Vica była istotna. To znaczy, jeśli ten gatunek pochodzi z Ziemi, można by oczekiwać, że ktoś powinien był to do tej pory odkryć, prawda?

Danchecker westchnął z afektowaną obojętnością.

– Jeśli życzy pan sobie powątpiewać w moje słowa, ma pan oczywiście do tego pełne prawo – oświadczył. – Niemniej jednak, jako biolog i antropolog, widzę ze swej strony bardziej niż wystarczające dowody potwierdzające moje stanowisko.

Hunt bynajmniej nie wyglądał na przekonanego i chciał już zabrać głos, ale wtrącił się Caldwell:

– Ludzie, uspokójcie się. Czy wam się zdaje, że nie mieliśmy tutaj podobnych sporów w ciągu ostatnich kilku tygodni?

– Jestem przekonana, że już czas, abyśmy zjedli lunch – przerwała taktownie i w porę Lyn Garland.

Danchecker zawrócił na pięcie i skierował się ku drzwiom, recytując dane statystyczne na temat gęstości porostu włosów oraz grubości podskórnych warstw tłuszczu, tak jakby zapomniał o całym incydencie. Hunt zatrzymał się, by raz jeszcze obejrzeć ciało, zanim przyłączy się do wychodzących, i w tym momencie pochwycił spojrzenie Graya. Usta inżyniera leciutko drgnęły w kącikach, Hunt ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Caldwell, stojący jeszcze u stóp stołu, zauważył tę krótką wymianę opinii. Odwrócił głowę, patrząc za wychodzącym Dancheckerem, a potem znów spojrzał na Anglików. Zmrużył oczy w zamyśleniu. W końcu podążył śladem grupy, lekko kiwając głową i uśmiechając się, jak gdyby przytakiwał własnym myślom. Drzwi zasunęły się za nimi bezgłośnie i sala znowu pogrążyła się w ciemności.

Rozdział siódmy

Hunt złożył dłonie na swych barkach, przeciągnął się na krześle i spoglądając na sufit laboratorium, przeciągle ziewnął. Zatrzymał się w tej pozycji przez parę sekund, a potem z westchnieniem zapadł się głębiej w siedzisko. Wreszcie przetarł oczy kłykciami, zmusił się do wyprostowania, by raz jeszcze stawić czoło stojącej przed nim konsolcie, i na koniec powrócił spojrzeniem do grubej na trzy stopy ścianki cylindrycznego, szklanego zbiornika nie opodal.

Obraz w rurze trimagniskopu był powiększeniem jednej z kieszonkowych książek znalezionych przy zwłokach. Danchecker pokazał im je trzy tygodnie wcześniej, w pierwszym dniu ich pobytu w Houston. Książka zamknięta była w module skanującym aparatu, w drugim końcu pokoju. Magniskop nastawiony był na generowanie obrazów zgodnych ze zmianami gęstości wzdłuż powierzchni granicznej wybranej stronicy, ukazując widok tylko dolnej części książki. Wyglądało to, jakby górną część usunięto, jak przy przekładaniu talii kart. Ale wskutek wieku i stanu książki znaki na tak wywołanej stronicy były mało czytelne, a w niektórych miejscach ich brakowało. Następną czynnością miało być skanowanie optyczne obrazów kamerami telewizyjnymi i wgranie zakodowanych obrazów do zespołu komputerów Nawtransu. Surowe dane z wejścia miały być następnie przetwarzane za pomocą techniki rozpoznawania obrazów oraz obróbki statystycznej w celu uzyskania drugiej wzbogaconej kopii, na której byłyby przywrócone liczne brakujące fragmenty znaków.

Hunt objął spojrzeniem małe ekrany monitorów na swej konsolcie. Na każdym widoczne było powiększenie wybranego fragmentu stronicy. Posługując się klawiaturą wgrał kilka rozkazów.

– Na piątym monitorze mamy nieostry obraz – zawiadomił. – Kursory odczytu X: tysiąc dwieście do tysiąc trzysta osiemdziesiąt; Y zaś: dziewięćdziesiąt dziewięć i, aaa... dziesięć, siedemdziesiąt pięć.

Rob Gray, usadowiony nieco dalej przy innej konsoli i prawie otoczony ekranami i tablicami sterowniczymi, przyjrzał się jednemu ze świecących przed nim wskaźników numerycznych.

– Wartość modalna Z liniowa w całym polu – zauważył. – Czy podnieść blok?

– To może pomóc. Popróbuj.

– Ustawiam Z krokowo od dwustu do dwustu dziesięciu... punkt przyrostu jeden... kroki co zero przecinek pięć sekund.

– Zgadza się. – Hunt patrzył, jak na ekranie zaczyna się lokalnie odkształcać kolejna stronica według grubości tomu, a obraz na monitorze zmieniać.

– Zatrzymaj tutaj! – zawołał.

Gray nacisnął przycisk.

– Okay?

Hunt przez chwilę przyglądał się zmienionemu obrazowi.

– Środek wycinka jest teraz wyraźny uznał na koniec. – Zablokuj nowy plan wewnętrzny w czterdziestu procentach. Ale nie podoba mi się obszar dookoła niego. Daj mi przekrój pionowy przez punkt centralny.

– Na którym ekranie chcesz go mieć?

– A... na siódmym.

– Wchodzi.

Krzywa, oznaczająca przekrój powierzchni stronicy na małym, opracowywanym przez nich obszarze, pojawiła się na konsoli Hunta. Przez chwilę badał ją wzrokiem, wreszcie zawołał:

– Daj interpolację przez to pasmo! Ustaw wartości progowe na, powiedzmy, minus pięć i trzydzieści pięć procent od Y.

– Parametry ustawione... interpolacja w toku... seria zakończona – recytował Gray. – Teraz integruję z programem skanowania. – Obraz lekko się zmienił. Polepszenie było wyraźne.

– Ciągłe jeszcze nie jest zadowalający przy brzegach – stwierdził Hunt. – Spróbuj obciążyć punkty jedna czwarta i trzy czwarte o plus dziesięć. Jeśli to nie poskutkuje, będę musiał rozbić to na pasma izobat.

– Plus dziesięć w punkcie dwa pięć zero i punkcie siedem pięć zero – powtarzał Gray, operując klawiszami. – Zintegrowane. I jak teraz wygląda?

Na wycinku powierzchni ukazanym na monitorze Hunta fragmenty znaków magicznie połączyły się w rozpoznawalne kształty. Hunt z satysfakcją skinął głową.

– Wystarczy. Utrwal to. Okay... to mamy spokój z tym kawałkiem. Ale jest jeszcze jeden zapaskudzony, blisko prawego górnego skraju. Biermy się za niego.

Od chwili gdy ukończono instalowanie aparatu, życie ograniczyło się z grubsza do powtarzania takiego właśnie programu. Pierwszy tydzień upłynął im na uzyskiwaniu obrazów przekroju samego ciała Charliego. To doświadczenie stało się dla nich pamiętne z powodu nieznacznej niewygody i bynajmniej nie tak nieznacznego utrudnienia wywołanego pracą w

podgrzewanych elektrycznie kombinezonach, na co należały autorytety medyczne utrzymujące, że Charlie musi pozostawać w środowisku zamrożonym. Przyniosło też swego rodzaju rozczarowanie. Ostateczne bowiem rezultaty badań wykazały, że Charlie – niespodziewanie albo i nie tak niespodziewanie, zależało to od punktu widzenia – zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz okazał się ludzki. Podczas drugiego tygodnia rozpoczęli badania przedmiotów znalezionych przy ciele, a szczególnie kawałków „papieru” oraz książek kieszonkowych. Te wyniki okazały się ciekawsze.

Cyfry były pierwszymi znakami w dokumentach, które zidentyfikowano. Zespół kryptologów, zgromadzony w siedzibie kierownictwa Nawtransu, wkrótce rozpracował znaleziony w nich system rachunkowy, który okazał się nie dziesiętny, lecz dwunastkowy i stosował notację pozycyjną, z ostatnim znakiem znaczącym z lewej strony. Rozszyfrowanie symboli nienumerycznych okazało się trudniejsze. Lingwiści z instytutów i uniwersytetów wielu krajów otrzymali łącza do Houston i za pomocą całych baterii komputerów próbowali odnaleźć jakieś znaczenia w języku Lunarian – tak bowiem nazwano rasę Charliego w związku z miejscem, w którym go odnaleziono. Jak dotychczas z ich wysiłków wynikło niewiele więcej niż stwierdzenie, że alfabet Lunarian zawierał trzydzieści siedem liter, pisano w nim poziomo od prawej do lewej, i że miał odpowiedniki wersalików.

Mając na względzie krótki czas, w jakim uzyskano te dane, postępu nie oceniano nisko. Większość osób biorących udział w badaniach świadoma była, że nawet tyle nie można by dokonać bez trimagniskopu, i dlatego nazwiska obu Anglików stały się już dobrze znane w całym oddziale. Wśród personelu technicznego SKNZ aparat wywołał duże zainteresowanie i w rezultacie przez większość wieczorów zauważyć było można strumień zaciekawionych gości, którzy przybywali do Hotelu Ocean powodowani chęcią poznania współwynałazców instrumentu i nauczenia się czegoś więcej na temat zasady jego działania. Nie upłynęło wiele czasu, a hotel stał się stałą siedzibą klubu dyskusyjnego, gdzie każdy, komu na tym zależało, mógł popuścić wodze wyobraźni i wygłaszać najdziwsze domysły na temat tajemnicy Charliego, będąc całkowicie wolnym od ograniczeń powodowanych ostrożnością zawodową i sceptycyzmem, które obowiązywały podczas godzin pracy.

Oczywiście Caldwell wiedział wszystko, co ktokolwiek tam powiedział i co pozostali o tym myśleli, ponieważ Lyn Garland bywała w hotelu przez większość wieczorów, zastępując gorącą linię do szefostwa Nawtransu. Nikt się tym specjalnie nie przejmował – ostatecznie to należało do jej obowiązków. A jeszcze mniej przejmowano się, gdy zaczęła przyprowadzać inne dziewczyny z oddziału, uprzejmie nadając atmosferze spotkań charakter bardziej towarzyski. Ta zmiana spotkała się z pełną aprobatą gości spoza miasta, choć wśród miejscowych bywalców stała się powodem napięć w stosunkach domowych.

Hunt po raz ostatni uderzył palcem w klawisz i wyprostował się na krześle, by przyjrzeć się obrazowi ukończonej strony.

– Całkiem nieźle – orzekł. – Ta nie będzie wymagała wielu uzupełnień.

– Dobrze – zgodził się z nim Gray. Zapalił papierosa i bez pytania cisnął paczkę Huntowi. Kodowanie optyczne zakończone – dodał, patrząc na ekran. W ten sposób zakończyliśmy numer sześćdziesiąt siedem. – Wstał z miejsca, przeszedł przez pokój i stanął obok konsoli Hunta, by lepiej ogarnąć wzrokiem obraz w zbiorniku. Przez pewien czas przyglądał mu się bez słowa.

– Kolumny cyfr – zauważył niepotrzebnie na koniec. – Wygląda na jakąś tabelę.

– Ano, tak wygląda... – potwierdził Hunt półprzyciennie.

– Mmm... rzędkie i kolumny... grube linie i cienkie linie... Może to być cokolwiek: tabele odległości, średnice przewodów, jakiś harmonogram. Kto wie?

Hunt nie odpowiedział, lecz kontynuował wypuszczanie od czasu do czasu chmury dymu w stronę szkła, pochylając głowę to na jedno ramię, to na drugie.

– Żadna z liczb nie jest bardzo duża – skomentował po chwili. – Nie więcej niż dwie pozycje w którymkolwiek miejscu. Ile to wyniesie w systemie dwunastkowym? Najwyżej sto czterdzieści trzy. – A po namyśle dodał: – Ciekawe, jaka jest największa?

– Mam gdzieś tabelę konwersji lunariańskiego systemu dwunastkowego na dziesiętny. Przyda się?

– Nie, na razie nie zwracaj sobie głowy. Zbliża się pora lunchu. Może przyjrzymy się temu wieczorem w hotelu, przy piwie.

– Chętnie wypiję jedno albo i dwa ich piwa – orzekł Gray. – Oraz trzy i... Hej! Wiesz co? Popatrz na prawe kolumny w tych większych prostokątach. Te liczby uporządkowane są w szereg wzrastający!

– Masz rację. I popatrz, ta sama zasada powtarza się bez przerwy we wszystkich. To jakiś porządek cykliczny. – Hunt zamyślił się na chwilę, skrzywiwszy twarz w skupieniu. – Jest jeszcze coś... widzisz te grupy alfabetyczne biegnące wzdłuż boków? Te same grupy pojawiają się ponownie w pewnych odstępach na całej stronie... – Znowu przerwał i potarł podbródek.

Gray odczekał prawie dziesięć sekund.

– Masz pomysł?

– Nie wiem... Serie liczb zaczynających się od jednościami i wzrastających o jedność w każdej kolejnej pozycji. Cyklicznie... a przy każdej z powtarzających się grup oznaczenie alfabetyczne. Cały ten wzór powtarza się ponownie wewnątrz większych grup, a większe grupy znowu się powtarzają. Nasuwa się myśl o jakimś porządku. Sekwencja...

Jego pomruki przerwało otwieranie drzwi za ich plecami. Weszła Lyn Garland.

– Cześć, chłopaki. Co tam macie dzisiaj? – Podeszła, stanęła między nimi i zajrzała do zbiornika. – Coś takiego, tabele! No i co z nimi? Skąd je wzięliście, z książek?

– Hello, ślicznotko – odparł Gray, szczerząc zęby. – Tak. – Skinął głową w kierunku skanera.

– Cześć – odrzekł Hunt, wreszcie odwracając wzrok od obrazu. – Czym możemy ci służyć?

Nie odpowiedziała od razu, i nie odwracała spojrzenia od zbiornika.

– Co to takiego? Macie jakieś pomysły?

– Jeszcze nie wiemy. Właśnie rozmawialiśmy o tym w chwili, gdy weszłaś.

Przeszła przez laboratorium i pochyliła się, aby zajrzeć do wnętrza skanera. Gładka, pokryta opalenizną krzywizna jej nogi oraz piękny zarys tyłeczka pod cienką spódniczką wywołały wymianę aprobujących spojrzeń między angielskimi naukowcami. Wróciła na miejsce i raz jeszcze przyjrzała się obrazowi.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, wygląda to jak kalendarz – oświadczyła. Ton jej głosu nie dopuszczał żadnego sprzeciwu.

Gray roześmiał się.

– Kalendarz, hę? Mówisz tak, jakbyś była całkiem tego pewna. Więc co to jest: pokaz nieomyślnej kobiecej intuicji, czy co? – ironizował żartobliwie.

Odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz z zadartą głową i dłońmi zdecydowanie wspartymi o biodra.

– Posłuchaj, Angolu, mam prawo do własnego zdania, okay? A więc tak, tak właśnie o tym sędzę. Takie jest moje zdanie.

– Okay, okay. – Gray podniósł obie ręce do góry. – Nie zaczynamy znowu wojny o niepodległość Stanów. Zanotuję w dzienniku pracy laboratorium: Lyn uważa, że jest to...

– Chryste Panie! – przerwał mu Hunt w pół zdania. Gapił się na zbiornik szeroko otwartymi oczami. Wiesz, ona może mieć rację! Może mieć cholerną rację!

Gray odwrócił się twarzą do ścianki zbiornika.

– Jakim to sposobem?

– No, pomyśl tylko. Te większe grupy mogą być czymś w rodzaju miesięcy, a te serie z napisami, które się wewnątrz nich powtarzają, to mogą być tygodnie złożone z dni. Ostatecznie dni i lata muszą być naturalnymi jednostkami każdego systemu kalendarzowego. Doszło?

Gray miał wątpliwości.

– Nie jestem tego aż tak pewien – powiedział powoli. – To zupełnie niepodobne do naszego roku, nie sądzisz? Chciałem zauważyć, że w tej serii jest o wiele więcej niż trzysta sześćdziesiąt pięć liczb i o wiele więcej niż dwanaście miesięcy, czy cokolwiek by to było... prawda?

– Wiem. Interesujące.

– Hej! Ja tu jeszcze jestem – odezwał się cichy głosik za ich plecami.

Rozsunęli się i na wpół odwrócili, aby pozwolić włączyć się Lyn.

– Przepraszam powiedział Hunt. Poniosło mnie. – Potrząsnął głową i spojrzał na nią z niedowierzaniem. – A co, na Boga, spowodowało, że powiedziałaś, iż to jest kalendarz?

Wzruszyła ramionami i odęła wargi.

– Naprawdę nie wiem. Tamta książka wygląda jak terminarz. Każdy terminarz, jaki w życiu widziałam, miał kalendarz. A więc to musi być kalendarz.

Hunt westchnął.

– I to by było wszystko, jeśli idzie o metodykę badań naukowych. Tak czy inaczej wrzucmy to do komputera. Później chciałbym zobaczyć, jakie będą wyniki. – Popatrzył na Lyn. – Nie... – dodał po namyśle – ty to wrzuc. To twoje odkrycie.

Popatrzyła na niego podejrzliwie, marszcząc brwi.

– A co chcesz, żebym zrobiła?

– Siadaj tu, przy głównej klawiaturze. Tak, tutaj. Teraz uruchom klawiaturę sterującą... Naciśnij czerwony guzik, ten właśnie.

– A co mam zrobić teraz?

– Wystukaj to: FC przecinek DACCO siedem kreska PCH kropka P sześćdziesiąt siedem kreska HCU kropka jeden. To oznacza: otworzyć program sterujący, wybrany podzbiór programu dostępu danych siedem, tytuł pliku „Program Charlie, książka pierwsza”, stronica sześćdziesiąt siedem, format optyczny, na wyjściu wydruk, egzemplarz jeden.

– Naprawdę to oznacza? Naprawdę? Fantastyczne!

Wystukiwała polecenia, które Hunt powoli jej powtarzał.

Natychmiast zaczęła szumieć kopiarka, stojąca obok skanera. W kilka sekund później spadł na tacę przymocowaną do jej boku arkusz błyszczącego papieru. Gray podszedł, by go stamtąd zabrać.

– Doskonały – orzekł.

– A więc i ja zostałam specjalistką od trimagniskopu – zawiadomiła ich wesoło Lyn.

Hunt przez chwilę oglądał arkusz, następnie kiwnął głową, złożył go i wsunął do okładki leżącej na konsoli. Wykonujesz zadania domowe? Nie podoba mi się tapeta w moim pokoju hotelowym. W swoim mieszkaniu w Workingham ma całą sypialnię wyklejoną teorią względności... – zwierzył jej się Gray – ...a kuchnię mechaniką falową.

Popatrzyła ciekawie na jednego i drugiego.

– Wiecie co, macie fioła. Obaj... wy obaj macie fioła. Z grzeczności nie mówiłam o tym wcześniej, ale ktoś musiał wam to w końcu powiedzieć. Hunt popatrzył na nią poważnie.

– Nie odbyłaś całej drogi do tego miejsca tylko po to, aby nam powiedzieć, że mamy fioła – oświadczył.

– Wiesz, masz rację. Tak czy inaczej miałam być w Westwood. Dziś rano dostaliśmy wiadomość, która może was zainteresować. Gregg rozmawiał z Sowietami. Wygląda, że jedno z ich laboratoriów badało jakieś dziwne kawałki metalicznych stopów, które zdobyli. I w wyniku otrzymali tak niezwykle ich właściwości, o jakich nikt nigdy nie słyszał. A teraz domyślcie się, skąd mają te stopy? Wykopali na Księżycu, gdzieś w okolicy Mare Imbrium. A

kiedy zrobili testy na datowanie, wyszło im około pięćdziesięciu tysięcy lat! No i co? Zaciekawilo was?

Gray gwizdnął.

– Było tylko kwestią czasu, by się coś takiego pojawiło – orzekł Hunt, kiwając głową. – Znasz jeszcze jakieś szczegóły?

Pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie. Ale niektórzy chłopaki powiedzą wam trochę więcej dziś wieczorem w Oceanie. Pogadaj z Hansem, jeśli tam będzie. Długo rozmawiał na ten temat z Greggiem.

Hunt wyglądał na zaciekawionego, ale doszedł do wniosku, że w tej chwili nie ma co dalej naciskać.

– Co u Gregga? – zapytał. – Czy próbował uśmiechnąć się ostatnio?

– Nie bądź złośliwy – zganiała go. – Gregg jest okay. Trochę zapracowany i to wszystko. Czy myślisz, że nie miał już dość zmartwień, nim ta cała sprawa wybuchła?

Hunt nie chciał się spierać. W ciągu niewielu tygodni swego tutaj pobytu zebrał dość dowodów świadczących o tym, że Gregg potrafi zdobywać na całym świecie ogromne środki. Nie mógł więc nie być pod wrażeniem zdolności organizacyjnych dyrektora i jego bezwzględnej sprawności, gdy trzeba było zniszczyć opozycję. Ale były inne sprawy, które wzbudzały w nim lekkie, osobiste wątpliwości.

– A więc jak sprawy stoją? – spytał obojętnym tonem.

Nie uszło to wyostrejzonej uwagi dziewczyny. Nieomal niedostrzegalnie zmrużyła oczy.

– No cóż, sam widziałeś większość działań. A co ty myślisz, jak sprawy stoją?

Próbował zrobić unik wobec tak rozmyślnego odwrócenia pytania.

– Prawdę powiedziawszy, to do mnie nie należy, no nie? My tutaj jesteśmy tylko po to, by obsługiwać aparat.

– Ależ nie, naprawdę... Mnie to interesuje. Co myślisz?

Hunt teatralnym gestem zgasił, papierosa. Zmarszczył brwi, podrapał się po czole.

– Ty też masz prawo do własnego zdania – nalegała. – To jest zapisane w naszej konstytucji. A więc jakie jest twoje zdanie?

Nie było sposobu, by się urwać z haczyka, by uniknąć spojrzenia jej wielkich piwnych oczu.

– Napływa całkiem niemało informacji – poddał się wreszcie. – Piechota robi dobrą robotę... – Zawiesił głos.

– Ale...?

Hunt westchnął.

– Ale... ich interpretacja. Jest coś zbyt dogmatycznego, zbyt sztywnego w sposobie, w jaki wielkie nazwiska, na samej górze, wykorzystują te informacje. To wygląda tak, jakby nie potrafili już myśleć inaczej, niż tylko posuwać się w koleinach, do których przyzwyczaili się

przez całe lata. Być może są zbyt wąsko wyspecjalizowani... Nie chcą przyjąć do wiadomości nic, co byłoby odmienne od tego, w co zawsze wierzyli.

– Na przykład?

– Och, nie wiem... No dobrze, na przykład Danchecker. Zawsze zgadzał się z ortodoksyjną teorią ewolucji; przypuszczam, że przez całe życie. Wobec tego Charlie musi pochodzić z Ziemi. Nie ma żadnej innej możliwości. Przyjęta teza musi być prawdziwa, to już postanowiono. Wszystko inne trzeba tak ustawić, by do niej pasowało.

– Myślisz, że on się myli? Że Charlie przybył skądinąd?

– Do diabła, tego nie wiem. Być może on ma rację. To nie jest tak, że mi się nie podobają jego wnioski. Nie podoba mi się sposób, w jaki do nich dochodzi. Ten problem wymaga bardziej elastycznego podejścia, nim zostanie rozwiązany.

Lyn powoli skinęła głową do własnych myśli, jakby Hunt potwierdził coś jej wiadomego.

– Spodziewałam się, że powiesz coś w tym rodzaju – rzekła z namysłem. – Gregg chciałby coś takiego usłyszeć. On sam się nad tym zastanawiał.

Hunt czuł, że jej pytania nie wynikły tylko z przypadkowego toku rozmowy. Popatrzył na nią długo i z uwagą.

– Czemu Gregga miałyby to interesować?

– Och, zdziwiłbyś się. Gregg wie wiele rzeczy o was obydwóch. Interesuje go wszystko, co ktokolwiek ma do powiedzenia. Bo to są ludzie, rozumiesz... a Gregg jest geniuszem, gdy idzie o stosunki międzyludzkie. Wie, jak z ludźmi postępować. To największa część jego zadań.

– No więc ma problem z ludźmi – odparł Hunt. – Czemu nie próbuje go rozwiązać?

Nagle Lyn zmieniła zachowanie, robiąc wrażenie, jakby chciała zbagatelizować całą dotychczasową rozmowę. I jakby się dowiedziała wszystkiego, czego w tej chwili chciała. – Och, zrobi to... gdy tylko wyczuje, że nadszedł stosowny moment. On doskonale wie, kiedy jest stosowny czas. – Zdecydowała całkowicie zakończyć temat. – Tak czy inaczej, teraz nadeszła pora lunchu. – Wyprostowała się i wsunęła dłonie pod ramiona stojących po obu stronach mężczyzn. – Może dwaj zwariowani Angole postawią drinka biednej dziewczynie z Kolonii?

Rozdział ósmy

W głównej sali konferencyjnej gmachu dyrekcji Nawtransu od przeszło dwóch godzin trwała narada produkcyjna. Ze dwa tuziny uczestników siedziało lub rozwalało się wokół stojącego pośrodku wielkiego stołu, obecnie stanowiącego wysypisko akt, komunikatów, przepelnionych popielniczek i na wpół opróżnionych szklanek.

Jak dotąd nie wynikło nic naprawdę emocjonującego. Kolejni mówcy przedstawiali wyniki swych ostatnich doświadczeń. Suma ich wniosków sprowadzała się do tego, że układ krążeniowy, oddechowy, nerwowy, dokrewny, limfatyczny, trawienny i wszelkie inne układy ciała Charliego były tak normalne, jak każdego z siedzących wokół stołu. Kości miał takie same, przemianę materii identyczną, krew znanej grupy. Pojemność jego mózgu oraz rozwój mieściły się w normalnym dla Homo sapiens przedziale, a dowody wskazywały, że był praworęczny. Zanalizowano kod genetyczny jego komórek rozrodczych; symulacja komputerowa ich połączenia z kodami pochodzącymi od ludzkiej samicy dowodziła, że potomstwo odziedziczyłoby normalne w doskonałym stopniu cechy charakterystyczne.

Hunt zamierzał pozostać czymś w rodzaju biernego obserwatora wydarzeń, świadom swej pozycji nieoficjalnego gościa i dziwiąc się od czasu do czasu, czemu w ogóle został zaproszony. Wymienił go jedynie Caldwell we wstępnych uwagach, gdy składał podziękowania za bezcenną pomoc w związku z udostępnieniem trimagniskopu. Oprócz pomruków zgody, które powitały tę wzmiankę, nie mówiono już nic na temat aparatu i jego wynalazcy.

Lyn Garland powiedziała mu:

– Narada jest w poniedziałek, a Gregg chce, abyś był obecny, by móc odpowiedzieć na szczegółowe pytania w związku z aparaturą.

No więc był. Do tej pory nikt nie wyraził chęci poznania jakichkolwiek szczegółów dotyczących aparatu. Interesowały ich tylko informacje, które produkował. Ale miał niejasne i niemiłe poczucie, że za tym wszystkim coś się kryje.

Gdy się już uporano ze skomputeryzowanym, matematycznym życiem płciowym Charliego, przewodniczący poddał pod dyskusję sugestię, którą wysunął siedzący naprzeciw

Hunta teksaski planetolog. Sugerowała ona, że może Lunarianie pochodzą z Marsa. Mars znajdował się już w późniejszej fazie ewolucyjnej niż Ziemia, wobec tego mogło się na nim wcześniej rozwinąć życie rozumne. Wtedy zaczęły się spory. Badania Marsa rozpoczęto już w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiątych; SKNZ od lat lustrowały jego powierzchnię, posługując się satelitami i bazami załogowymi. Jak to było możliwe, że nie napotkano żadnych śladów jakiegokolwiek cywilizacji marsjańskiej? Odpowiedź: Na Księżycu jesteście już diabli wiedzą o ile dłużej niż na Marsie, a pierwsze ślady znaleziono dopiero teraz. Sprzeciw: Jeśli oni przybyli z Marsa, wobec tego ich cywilizacja musiała powstać na Marsie. Ślady całej cywilizacji powinny być widoczniejsze niż ślady odwiedzin w takim miejscu, jak ziemski Księżyc. Wobec tego Lunarianie powinni byli zostać wykryci o wiele wcześniej na Marsie. Odpowiedź: Pomyślcie o tempie erozji na powierzchni Marsa. Ślady mogły być w znacznym stopniu starte lub pogrzebane. A to przynajmniej może wyjaśnić brak jakichkolwiek śladów na Ziemi.

Ktoś zwrócił wtedy uwagę, że to nie rozwiązuje problemu, lecz zaledwie przenosi go w inne miejsce. Jeśli Lunarianie przybyli z Marsa, teoria ewolucji znajduje się w tak samo kłopotliwej sytuacji jak poprzednio.

I tak toczyła się dyskusja.

Hunt zastanawiał się, jak tam sobie Rob Gray daje radę w Westwood. Obecnie oprócz zwykłego, codziennego zbierania danych mieli jeszcze program szkoleniowy. Jakiś tydzień temu Caldwell poinformował ich, że chce, aby czterech inżynierów z Nawtransu zostało w pełni wyszkolonych na operatorów trimagniskopu. Wyjaśnienie, że dzięki temu aparat będzie można uruchamiać na całą dobę i przez to lepiej wykorzystywać, nie przekonało Hunta. Tak samo, jak późniejsze stwierdzenia Caldwell, że Nawtrans zamierza kupić sobie jeszcze kilka takich instrumentów, wobec tego musi skorzystać z okazji i przyuczyć paru miejscowych ludzi.

Być może Caldwell zamierzał przekształcić Nawtrans w niezależny i samofinansujący się zakład, eksploatujący trimagniskop. Ale dlaczego miałby to robić? Może Forsyth-Scott lub ktoś inny domagał się powrotu Hunta do Anglii? Jeśli to miał być wstęp do odesłania go do domu, aparat oczywiście pozostanie w Houston. A to oznaczało, że pierwszą rzeczą, jaką mu wcisną po powrocie, będzie zbudowanie w panicznym tempie następnego działającego prototypu. Ale zrobił interes!

Zebrani zgodzili się na koniec, że teoria o marsjańskim pochodzeniu stwarza więcej problemów, niż rozwiązuje, a poza tym jest czystą spekulacją. Ostatniej posługi udzielono jej w słowach: „Nie przedstawiono żadnych konkretnych dowodów”, a ciało cicho złożono na wieczny spoczynek pod nagrobkiem z napisem: „Zaniechano” w rubryce „Dalsze działania”, na rozłożonych na stole arkuszach zawierających postanowienia dzisiejszego zebrania.

Następnie kryptograf wygłosił grzmiącym głosem długie przemówienie na temat układu grup znakowych, znajdujących się w dokumentach osobistych Charliego. Ukończono już

wstępne opracowywanie wszystkich pojedynczych papierów, zawartości portfela oraz jednej z książek; drugą znano już w połowie. Było tam wiele tablic, ale nikt jak dotąd nie wiedział, co by mogły oznaczać; struktura pewnych linijek symboli nasuwała myśl, że mogą to być wzory matematyczne; pewne nagłówki stronic i działów odpowiadały zapisom tekstu. Niektóre zestawy znaków pojawiały się z dużą częstotliwością, inne z mniejszą; niektóre były skupione na kilku tylko stronicach, inne rozrzucone równomiernie na wszystkich. W komunikacie zawarto całą masę liczb i danych statystycznych. Pomimo entuzjazmu mówcy w sali zapanowała atmosfera znudzenia, a pytania stawiano rzadko. Wszyscy wiedzieli, że kryptograf jest facetem niesłychanie bystrym, woleliby jednak, aby przestał im o tym przypominać.

Wreszcie Danchecker, który przez cały czas zachowywał milczenie, zwracając uwagę, a w miarę przedłużającej się debaty okazywał coraz większą niecierpliwość, uzyskał od przewodniczącego zgodę na zabranie głosu. Wstał z miejsca, chwycił dłońmi kłapy marynarki i odchrząknął:

– Na zastanawianie się nad nieprawdopodobnymi i rozległymi sugestiami, które, jak wszyscy widzieliśmy, okazały się błędne, poświęciliśmy czas mieszczący się w granicach wybaczalności. – Przemawiał z wielką pewnością siebie, obracając się w miejscu, aby obejmować wzrokiem całą długość stołu. – Nadszedł z pewnością moment, panowie, abyśmy nie tracili więcej czasu, natomiast skupili nasze wysiłki na tym, co staje się jedyną pozostałą nam linią rozumowania. Oświadczam całkiem kategorycznie, że rasa istot, które nazywamy Lunarianami, powstała tutaj, na Ziemi, tak jak wszyscy z nas. Zapomnijmy o waszych fantazjach na temat gości z planet, o podróżnikach międzygwiazdnych i tym podobnych. Lunarianie byli po prostu produktami cywilizacji, która rozwinęła się tutaj, na naszej własnej planecie. Zginęła z przyczyn, które jeszcze musimy określić. A cóż, ostatecznie, jest w tym tak dziwnego? Nawet w krótkim okresie naszej bardziej ortodoksyjnej historii cywilizacje rodziły się i umierały i niewątpliwie inne będą naśladowały ten wzór. Ta konkluzja wynika z obszernych i spójnych dowodów oraz ze sprawdzonych, zasad różnych nauk przyrodniczych. Nie wymaga żadnych wymysłów, zmyśleń czy przypuszczeń, bo wypływa wprost z niepodważalnych faktów i z bezpośredniego zastosowania ustalonych metod wnioskowania. – Przerwał i rozejrzał się wśród siedzących przy stole, jakby zapraszając do wygłaszania komentarzy.

Nikt nie komentował. Jego argumenty były już powszechnie znane. Ale wyglądało, że Danchecker zamierza je wszystkie przytoczyć od samego początku. Wyraźnie uznał, że próby zmuszenia słuchaczy do przyznania rzeczy oczywistych przez samo odwoływanie się do rozsądku nie wystarczyły; pozostało mu więc nieustanne powtarzanie dopóty, dopóki się z nim nie zgodzą lub nie zwariują.

Hunt odchylił się na oparcie krzesła, wybrał papierosa z leżącego na stole pudełka i położył pióro na swym bloku do notatek. W dalszym ciągu miał zastrzeżenia do

dogmatycznej postawy profesora, ale równocześnie świadom był, że dorobkowi naukowemu Danchekkera dorównywały osiągnięcia niewielu ludzi obecnie żyjących. A poza tym nie była to jego specjalność. Główne zastrzeżenia wynikały z czegoś innego. Zdawał sobie z tego sprawę i nie próbował się oszukiwać: w Danchekkerze wszystko go irytowało. Profesor był zbyt chudy, jego ubrania były zbyt staromodne, a nosił je tak, jakby zostały wywieszane do przeschnięcia. Anachroniczne, oprawne w złoto okulary były groteskowe. Jego sposób wysławiania się wydawał się zbyt sztywny. Zapewne profesor nigdy w życiu nie roześmiał się. Czaszka próżniowo zapakowana w skórę pomyślał Hunt.

– Pozwólcie mi zrekapitulować – kontynuował Danchekker. – *Homo sapiens*, człowiek współczesny, należy do podtypu *Vertebrata*. Podobnie przynależą tu ssaki, ryby, ptaki, płazy i gady, które kiedykolwiek chodziły, pęzały, latały lub prześlizgiwały się po wszelkich zakątkach Ziemi. Wszystkie kręgowce łączy wspólna zasada podstawowej budowy, nie zmieniona w ciągu milionów lat mimo powierzchniowych, wyspecjalizowanych adaptacji, które na pierwszy rzut oka wydają się różnić niezliczone gatunki wokół nas. Podstawowa zasada budowy jest następująca: szkielet wewnętrzny, kostny lub chrzęstny, oraz kręgosłup. Kręgowiec ma dwie pary kończyn, które mogą być wysoko rozwinięte lub zdegenerowane, na podobieństwo ogona. Ma serce umieszczone w jamie brzusznej, podzielone na dwie lub więcej komór, oraz zamknięty system krwioobiegu, krew zaś złożoną z czerwonych ciałek zawierających hemoglobinę. Ma grzbietową strunę nerwową, która na jednym końcu ulega zgrubieniu w postaci pięciodzielnego mózgu, mieszczącego się w głowie. Ma również jamę ciała zawierającą większość podstawowych organów oraz układ trawienny. Wszystkie kręgowce zbudowane są zgodnie z tymi prawami i dlatego są spokrewnione.

Profesor przerwał i rozejrzał się, jak gdyby wnioski były zbyt oczywiste, aby wymagały podsumowania.

– Innymi słowy, cała budowa Charliego wskazuje, że jest bezpośrednio spokrewniony z milionem i jednym gatunkiem zwierząt ziemskich, wygasłych, współczesnych lub przyszłych. Ponadto wszystkie ziemskie kręgowce, z nami oraz Charliem włącznie, za pomocą nieustannego następstwa skamieniałości pośrednich, mogą być zrekonstruowane wstecznie, jako te, które odziedziczyły wspólną zasadę budowy od najstarszych znanych przodków linii kręgowców... – głos Danchekkera narastał crescendo – ...od pierwszej ryby kostnoszkieletowej, która pojawiła się w oceanach okresu dewońskiego ery paleozoicznej miliony lat temu! – Przerwał, aby te słowa głęboko zapadły w umysły słuchaczy, a potem kontynuował. – Charlie pod każdym względem jest tak ludzki jak wy i ja. Czy może wobec tego istnieć jakakolwiek wątpliwość, że uczestniczy on w naszym dziedzictwie kręgowców i wobec tego ma z nami wspólnych przodków? A jeśli uczestniczy w naszym dziedzictwie, nie ma także wątpliwości, że dzieli z nami miejsce pochodzenia. Charlie jest rdzennym mieszkańcem planety Ziemia.

Danchekker usiadł i napełnił szklanke wodą.

Nastąpił gwar zmieszanych półgłosów i szeptów, przerywany szelestem papierów oraz brzękiem szklanek z wodą. Tu i tam zatrzeszczały krzesła pod ciężarem zdrętwiałych ciał szukających sobie wygodniejszych pozycji. Na jednym z końców stołu metalurg gestykulował do siedzącego obok niego człowieka. Ten wzruszył ramionami, pokazał puste dłonie i skinął głową w stronę Dancheckera. Odwrócił się i zawołał w jego kierunku:

– Profesorze Danchecker... Profesorze... – dał się słyszeć głos.

Hałasy przycichły. Danchecker podniósł wzrok.

– Mamy tu maleńkie nieporozumienie... może zechce pan zabrać głos. Czemu Charlie nie mógłby pochodzić z równoległej linii ewolucyjnej w innym miejscu?

– Ja też się nad tym zastanawiałem – dodał inny głos.

Danchecker zmarszczył brwi, nim udzielił odpowiedzi.

– Nie. Istotny punkt, który, jak sądzę, przeoczyliście, polega na tym, że proces ewolucyjny wynika w sposób podstawowy z wydarzeń przypadkowych. Każdy istniejący obecnie żywy organizm jest produktem łańcucha kolejnych mutacji, ciągnących się przez miliony lat. Najważniejszy fakt, który należy pojąć, polega na tym, że każda dyskretna mutacja sama w sobie jest wydarzeniem czysto losowym, wynikłym z anomalii kodowania genetycznego i mieszania się komórek płciowych pochodzących od różnych rodziców. Otoczenie, w którym mutant się rodzi, dyktuje, czy przeżyje on, by zreprodukować swój gatunek, czy też wymrze. W ten sposób zostają wybrane pewne nowe cechy dla dalszych ulepszeń, podczas gdy inne zostają niezwłocznie zlikwidowane, a jeszcze inne wreszcie rozwodnione w procesie krzyżowania się.

Istnieją jednak ludzie, dla których ta zasada jest trudna do przyjęcia... przede wszystkim, jak podejrzewam, z powodu ich niezdolności do uprzytomnienia sobie implikacji, wynikających ze skali wielkości i czasu, wykraczających poza to, z czym spotykamy się w życiu codziennym. Proszę pamiętać, że mówimy o miliardach i miliardach kombinacji, następujących w ciągu milionów lat.

Na początku rozgrywki szachowej jest tylko dwadzieścia możliwych posunięć do wyboru. Za każdym posunięciem liczba dalszych, pozostających do dyspozycji gracza, staje się ograniczona. A przecież liczba dopuszczalnych pozycji na szachownicy po dziesięciu tylko ruchach jest astronomiczna. Proszę więc sobie wyobrazić liczbę permutacji, jakie mogą się pojawić, gdy gra trwa przez miliard posunięć, a za każdym z nich gracz ma przed sobą do wyboru miliard możliwości. Taka jest gra ewolucji. Przypuszczenie, że dwie niezależne sekwencje mogą doprowadzić do identycznych produktów końcowych, z pewnością wymagałoby od nas zbyt wielkiej łatwowierności. Prawa zmienności losowej i statystyki są bardzo ściśle, gdy się je odnosi do dostatecznie wielkiej liczby próbek. Na przykład prawa termodynamiki nie są niczym więcej niż wyrazem matematycznym prawdopodobnych zachowań molekuł gazu, ale liczby, z jakimi mamy tu do czynienia, są tak wielkie, że zupełnie bezpiecznie możemy akceptować ich postulaty jako sztywne prawa; nigdy nie

zaobserwowano znaczących odchyień od nich. Prawdopodobieństwo równoległej linii ewolucyjnej, którą pan sugeruje, jest mniejsze niż prawdopodobieństwo, że ciepło przepływie z garnka do ognia albo że wszystkie molekuly powietrza w tej sali stłoczą się równocześnie w jednym jej kącie powodując, iż my wspólnie spontanicznie eksplodujemy. Matematycznie rzecz biorąc, owszem, możliwość paralelizmu wyraża się liczbą skończoną, ale tak nieopisanie małą, że nie mamy potrzeby dłużej się tym zajmować.

W tym miejscu podjął dyskusję młody inżynier elektryk.

– A czy Bóg nie mógł się tu wmieszać? – zapytał. – A przynajmniej jakiś rodzaj siły sprawczej czy zasady przewodniej, której jeszcze nie pojmujemy? Czy ten sam model nie mógł zostać wyprodukowany przez dwie różne linie w różnych miejscach?

Danchecker pokręcił głową i uśmiechnął się nieomal łaskawie.

– Jesteśmy naukowcami, a nie mistykami – odparł. – Jedną z fundamentalnych zasad metody naukowej jest to, że nowe i spekulatywne hipotezy nie zasługują na rozważanie tak długo, jak długo obserwowane fakty są adekwatnie tłumaczone przez teorie dotychczas istniejące. Pokolenia badaczy nie wykryły nigdy czegoś podobnego do uniwersalnej siły sprawczej, a ponieważ dające się zaobserwować fakty zostały adekwatnie objaśnione przez przyjęte zasady, które tu wyłożyłem, nie ma potrzeby odwoływania się do dodatkowych przyczyn ani wymyślania ich. Pojęcia siły sprawczej czy wielkiego planu istnieją tylko w umysłach nierozważnego obserwatora, a nie w faktach, które obserwuje.

– Ale gdyby się okazało, że Charlie przybył skądinąd? – nalegał metalurg. – Co wtedy?

– Aaa! To by była zupełnie inna sprawa. Gdyby jakimiś innymi metodami zostało udowodnione, że Charlie rzeczywiście ewoluował gdzie indziej, wtedy zostalibyśmy zmuszeni do przyznania, że równoległa ewolucja wydarzyła się jako zaobserwowany i niepodważalny fakt. Ponieważ nie mogłby zostać wytłumaczony na podstawie współczesnej teorii, udowodniłoby to, że nasze prawidła są boleśnie nieadekwatne. Wtedy byłby czas na spekulacje o dodatkowych czynnikach. Wtedy, być może, pańska uniwersalna siła sprawcza mogłaby znaleźć dla siebie uprawnione miejsce. Ale zabawianie się takimi koncepcjami w tym stadium oznaczałoby całkowite stawianie sprawy na głowie. Tak postępując bylibyśmy winni pogwałcenia jednej z najfundamentalniejszych zasad nauki.

Ktoś próbował zaatakować profesora z innych pozycji.

– A gdyby pominąć sprawę nierównoległych linii, a poruszyć kwestię ich konwergencji? Może zasada doboru naturalnego działa w taki sposób, że różne linie rozwojowe zbiegają się, zmierzając ku takiemu samemu optymalnemu produktowi końcowemu? Innymi słowy, choć startują w różnych kierunkach, to tworzą ten sam, najlepszy wzorzec końcowy. Jak... – przerwał na chwilę, poszukując analogii – ...jak rekiny, które są rybami, i delfiny, które są ssakami; mają różne pochodzenie, ale uzyskały taki sam wygląd ogólny.

Danchecker znów zdecydowanie pokręcił głową.

– Proszę sobie dać spokój z ideą doskonałości i najlepszych wzorców końcowych – oświadczył. – Mimo woli wpada pan w tę samą pułapkę, znowu zakładając wielki plan. Kształt ludzki nie jest nawet w przybliżeniu tak doskonały, jak pan sądzi. Natura nie produkuje najlepszych rozwiązań; próbuje ona wszelkich rozwiązań. Jedynym sprawdzianem jest test na umiejętność przeżycia i rozmnażania się. O wiele więcej gatunków wymarło, niż przeżyło, gdyż okazały się nieudane; o wiele, wiele więcej. Łatwo jest rozmyślać nad jakimś z góry wyznaczonym dążeniem do doskonałości, gdy się przeoczy ten fundamentalny fakt. Jeśli, że tak powiem, patrzy się wstecz, wzdłuż drzewa z dobrodziejstwem wiedzy obecnej o naszej udanej gałęzi rozwojowej, a zapomina o innych gałęziach, które do niczego nie doszły. Nie, proszę sobie dać spokój z ideą doskonałości. Rozwój, jaki widzimy w świecie przyrody, to po prostu przypadki czegoś dość dobrego, by dawać sobie radę. Z reguły wiele możliwych do pomyślenia ewentualności byłoby równie dobrych, niektóre zaś lepsze. Proszę na przykład wziąć pod uwagę układ wypukłości na pierwszym dolnym zębie trzonowym człowieka. Składa się on z pięciu podstawowych wypukłości oraz z leżących między nimi zagłębień i krawędzi ułatwiających żucie pokarmu. Nie ma powodu przypuszczać, że ten właśnie układ jest choć trochę sprawniejszy niż którykolwiek inny wśród tych, które można by uwzględnić. Ale ten szczególny układ po raz pierwszy pojawił się jako mutacja gdzieś w linii naszych przodków prowadzących aż do człowieka i powtarza się od tej pory. Ten sam układ znajdujemy także na zębach małp człekokształtnych, co wskazuje, że oba zostały odziedziczone po jakimś wspólnym, wcześniejszym przodku, u którego nastąpiło to zupełnie przypadkowo. Charlie ma na wszystkich zębach ludzki układ wypukłości. Wiele z naszych przystosowań jest dalekich od doskonałości. Układ organów wewnętrznych pozostawia wiele do życzenia, ponieważ odziedziczyliśmy go jako system, który pierwotnie był przystosowany do postawy horyzontalnej, a nie wyprostowanej. W naszym układzie oddechowym, na przykład, znajdujemy odpadki i brudy, które kumulując się w okolicy gardła i nosa, spływają do wewnątrz, a nie na zewnątrz, co występowało początkowo. Stało się to przyczyną wielu schorzeń oskrzelowych i płucnych, nie występujących u czworonogów. Trudno to nazwać doskonałością, prawda? Danchecker przelknął łyk wody i zrobił błagalny gest pod adresem wszystkich obecnych.

– Widzimy więc, że idea konwergencji ku ideałowi nie znajduje potwierdzenia w faktach. Charlie wykazuje wszystkie nasze błędy i niedoskonałości, jak również nasze ulepszenia. Nie, przepraszam... Doceniam, że wszystkie te pytania wypowiedane są zgodnie z najlepszą tradycją, która nie pozwala na pozostawianie bez badania jakichkolwiek możliwości, i wyrażam wam za to moje uznanie. Ale, doprawdy, musimy je odrzucić.

Po tych końcowych słowach w sali zapanowało milczenie. Wszyscy, ze wszystkich stron, spoglądali w zamyśleniu, jakby usiłowali przebić się wzrokiem przez stół, przez ściany lub przez sufit.

Caldwell położył dłonie na stole i rozglądał się dopóty, dopóki się nie upewnił, że nikt nie ma nic do dodania.

– Wygląda, że ewolucja przynajmniej jeszcze na pewien czas siedzi mocno w siodle – mruknął. – Dziękuję panu, profesorze.

Danchecker kiwnął głową, nie patrząc na niego.

– Niemniej jednak – kontynuował Caldwell – celem tych spotkań jest stworzenie każdemu możliwości zarówno swobodnej wypowiedzi, jak słuchania. Ale niektórzy wśród obecnych nie mieli wiele do powiedzenia; szczególnie jeden, może dwóch z naszych nowo przybyłych. – Hunt wzdrygnął się, zdawszy sobie sprawę, że Caldwell patrzy prosto na niego. – Na przykład nasz angielski gość, którego większość z was już zna. Doktorze Hunt, czy ma pan jakieś sprawy, z którymi powinniśmy się zapoznać...?

Siedząca obok Caldwell'a Lyn Garland nawet nie próbowała ukryć szerokiego uśmiechu. Hunt zaciągnął się głęboko papierosem i skorzystał z tej okazji, by zebrać myśli. W czasie, jaki mu zajęło spokojne wypuszczenie wielkiej rozproszonej chmury dymu i wyciągnięcie ręki do popielniczki, w jego umyśle wszystkie kawałki łamigłówki spasały się ze sprawną precyzją pułków liczb dwójkowych, maszerujących przez obwody stojących na niższych piętrach komputerów. Uporczywe, prowadzone przez Lyn przesłuchania, jej wizyty w Hotelu Ocean, jej obecność tutaj... Caldwell znalazł sobie katalizator.

Hunt powiódł wzrokiem po zwartym szeregu twarzy wpatrzonych w niego z uwagą.

– Większość spraw, które tu przedstawiono, była powtórzeniem przyjętych zasad anatomii porównawczej i teorii ewolucji. Aby uniknąć podsuwania komukolwiek błędnych pomysłów, podkreślam, że nie mam zamiaru niczego kwestionować. Niemniej jednak konkluzje można podsumować powiedzeniem, że ponieważ Charlie pochodzi od takich samych przodków jak my, musiał ewoluować na Ziemi w taki sam sposób jak my.

– Tak właśnie jest – wtrącił Danchecker.

– Świetnie – odparł Hunt. – Otóż wszystko to jest waszym problemem, nie moim. Ale ponieważ spytaliście mnie, co myślę, wyciągnę konkluzję w inny sposób. Ponieważ Charlie ewoluował na Ziemi, cywilizacja, z jakiej pochodzi, rozwinęła się na Ziemi. Istnieją wskazówki, że jego kultura była tak zaawansowana jak nasza, może nawet na jednym czy paru polach bardziej. Wobec tego powinniśmy byli odnaleźć niezliczone ślady jego gatunku. Nie odnaleźliśmy. Dlaczego?

Wszystkie twarze zwróciły się ku Dancheckerowi. Profesor westchnął.

– Jedyne wnioski, jakie można jeszcze wysunąć, brzmi: jeśli jakiegokolwiek ślady pozostały, to uległy zatarciu przez wietrzenie i erozję – odpowiedział znużony. – Istnieje wiele możliwości. Jakaś katastrofa mogła zniszczyć ślady do tego stopnia, że ich w ogóle nie ma. Albo też ta cywilizacja istniała na obszarach, które dziś zalane są przez ocean. Dalsze poszukiwania niewątpliwie przyniosą rozwiązanie tej kwestii.

– Jeśli jakakolwiek tak gwałtowna katastrofa wydarzyłaby się tak niedawno, już byśmy o niej wiedzieli – zwrócił uwagę Hunt. – Większość z tego, co wówczas było ładem, jest ładem i dziś, nie mogę więc sobie wyobrazić zatopienia śladów. Ponadto wystarczy tylko spojrzeć na naszą cywilizację, by zdać sobie sprawę, iż nie jest zamknięta na obszarach lokalnych; jest rozsiana po całym globie. I jak to się dzieje, że mimo tego całego złomu, który bez trudności odnajdujemy po wszystkich prymitywnych rasach z tego samego okresu – kości, grotów, pałek i tak dalej – nikt i nigdy nie odnalazł ani jednego przedmiotu związanego z ową, jakoby zaawansowaną technologicznie kulturą? Ani śrubki, ani kawałka drutu, ani plastikowej miski. Dla mnie to nie ma sensu.

Zakończenie krytycznej wypowiedzi Hunta wywołało jeszcze więcej pomruków.

– Profesorze? – poprosił o komentarz Caldwell obojętnym tonem.

Danchecker zacisnął wargi w grymasie.

– Och, zgoda na to, zgoda. To zaskakujące... bardzo zaskakujące. Ale czy jest alternatywa, którą mógłby pan zaproponować? – W jego głosie dała się słyszeć nuta sarkazmu. – Czy sugeruje pan, że człowiek i wszystkie zwierzęta przybyły na Ziemię w jakiejś gigantycznej niebiańskiej arce Noego? – Zaśmiał się. – Jeśli tak, to przeczą panu skamieniałe świadectwa milionów lat.

– Impas. – Ten komentarz wygłosił profesor Schorn, autorytet w dziedzinie anatomii porównawczej, który przed kilkoma dniami przybył ze Stuttgartu.

– Tak to wygląda – zgodził się Caldwell.

Ale Danchecker jeszcze nie skończył.

– Czy doktor Hunt zechce odpowiedzieć na moje pytanie? – zaatakował. – Jakie dokładnie miejsce pochodzenia pan proponuje?

– Nie proponuję żadnego w szczególności – odparł spokojnie Hunt. – Sugeruję, że może na tym etapie bardziej właściwe byłoby podejście pozbawione uprzedzeń. Ostatecznie dopiero znaleźliśmy Charliego. Sprawa będzie się teraz ciągnęła latami; z pewnością pojawi się jeszcze znacznie więcej informacji, których dotychczas nie mamy. Myślę, że jest zbyt wcześnie na pochopne wnioski i przepowiadanie, jakie powinny być odpowiedzi. Lepiej, abyśmy trudzili się nadal i wykorzystywali wszystkie strzępy informacji, zestawiając je tak, aby uzyskać obraz miejsca, z którego przybył Charlie. Może się okazać, że była nim Ziemia. Ale może się też okazać, że nie była.

Caldwell zachęcał go w dalszym ciągu.

– Jak, pana zdaniem, powinniśmy się do tego wziąć?

Hunt zastanowił się, czy to jest bezpośrednia wskazówka. Postanowił zaryzykować.

– Możecie spróbować dokładniej się temu przyjrzeć. – Z leżącej przed nim obwoluty wyjął arkusz papieru i posunął go na środek stołu. Na papierze znajdował się skomplikowany układ tabelaryczny lunariańskich cyfr.

– Co to takiego? – rozległ się głos.

– Pochodzi to z jednej z książeczek kieszonkowych Charliego – objaśnił Hunt. – Przypuszczam, że książka nie jest pozbawiona podobieństwa do terminarza kieszonkowego. Przypuszczam też, że to pokazał palcem arkusz – mogłoby być kalendarzem. – Zauważył, że Lyn łobuzersko przymrużyła oko i odpowiedział tym samym.

– Kalendarz?

– No i co o tym powiesz?

– To jakaś abrakadabra.

Danchecker przez kilka sekund surowo patrzył na papier.

– Czy może pan udowodnić, że to jest kalendarz? – zapytał.

– Nie, nie mogę. Ale zanalizowałem układ liczb i mogę oświadczyć, że składa się z grup wzrastających, powtarzających się w seriach i podseriach. Również grupy znaków alfabetycznych, które wydają się odnosić do głównych serii, odpowiadają nagłówkom grup stron w dalszej części. Jest to w wysokim stopniu podobne do układu terminarza.

– Hmm! Bardziej prawdopodobne, że jest to jakaś forma tabelarycznego spisu stron.

– Być może – zgodził się Hunt. – Ale czemu nie poczekać na wyniki? Gdy tylko nieco bardziej rozszyfrujemy ten język, możliwe będzie zestawienie tego, co tu jest zawarte, z danymi z innych źródeł. Mamy do czynienia z takim zjawiskiem, wobec którego powinniśmy może zachować bardziej otwarte podejście. Pan mówi, że Charlie pochodzi z Ziemi; ja mówię, że być może. Pan twierdzi, że to nie jest kalendarz; ja mówię, że może być. W mojej ocenie pana postawa jest zbyt sztywna, aby pozwolić na bezstronną ocenę problemu. Pan już zdecydował, jakie pan sobie życzy mieć odpowiedzi.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zawołał głos z końca stołu.

Danchecker zaczerwienił się w widoczny sposób, ale nim zdołał odpowiedzieć, zabrał głos Caldwell.

– Pan przeanalizował te liczby. Zgadza się?

– Zgadza.

– Okay, gdybyśmy chwilowo założyli, że jest to kalendarz, co jeszcze mógłby pan nam powiedzieć?

Hunt pochylił się nad stołem i wskazał arkusz piórem.

– Najpierw dwa założenia. Pierwsze: naturalną jednostką czasu na każdej planecie jest dzień, to znaczy okres jej obrotu wokół osi...

– Zakładając, że się obraca – rzucił ktoś.

– To było moje drugie założenie. Ale jedyne znane nam przypadki braku obrotu, czyli wtedy, kiedy czas obiegu ciała przez satelitę jest równy czasowi obrotu wokół osi, co oznacza jedno i to samo, występują, gdy małe ciało niebieskie orbituje blisko drugiego o masie znacznie większej i zostaje uwięzione przez grawitacyjne efekty pływowce... jak nasz Księżyc. Aby mogło się to wydarzyć z ciałem wielkości planety, planeta musiałaby orbitować bardzo

blisko swej gwiazdy macierzystej; zbyt blisko, aby utworzyły się warunki istnienia życia podobnego do naszego.

– To wygląda na rozsądny argument – ocenił Caldwell, rozglądając się dokoła stołu. Wiele głów pokiwało na znak zgody. – I co dalej z tego wynika?

– Okay – podjął na nowo Hunt. – Zakładając, że ciało się obraca, a dzień jest naturalną jednostką czasu... jeżeli ta tabela odzwierciedla jeden pełny obieg planety wokół jej słońca, rok na planecie liczy tysiąc siedemset dni, z osobną pozycją dla każdego.

– Nader długo – ktoś zaryzykował.

– Dla nas tak, a przynajmniej stosunek roku do dnia jest duży. Może to oznaczać, że orbita jest daleka, że okres obrotu krótki albo może jedno i drugie. A teraz proszę popatrzeć na główne grupy liczb, te, przy których znajdują się oznaczenia wersalikami. Jest ich czterdzieści siedem. Większość składa się z trzydziestu sześciu cyfr, ale dziewięć z nich ma po trzydzieści siedem: pierwsza, szósta, dwunasta, osiemnasta, dwudziesta czwarta, trzydziesta, trzydziesta szósta, czterdziesta druga i czterdziesta siódma. Na pierwszy rzut oka wygląda to nieco dziwnie, ale równie dziwnie wyglądałby nasz system dla kogoś, kto go nie zna. Sugeruję, że musiano tu nieco pomanipulować, aby system działał.

– Mmm... jak my z naszymi miesiącami.

– Najdokładniej. To właśnie jest taka zonglerka, jakiej wymaga rozsądne wpasowanie naszych miesięcy w rok. Następuje to dlatego, że nie ma prostej zależności między okresami obiegu orbitalnego planety i satelity. I nie ma powodu, aby taka istniała. Przypuszczam, że jeżeli to jest kalendarz, który odnosi się do jakiejś innej planety, wówczas ta dziwna mieszanina trzydziestek szóstek i trzydziestek siódemek wynika z tego samego powodu, który sprawia tyle problemów z naszym kalendarzem: ta planeta ma księżyc.

– Wobec tego te grupy są miesiącami – oświadczył Caldwell.

– Jeśli to jest kalendarz, to tak. Każda grupa jest podzielona na trzy podgrupy; tygodnie, jeśli chcecie. Normalnie w każdym jest dwanaście dni, ale istnieje też dziewięć długich miesięcy, w których środkowy tydzień ma trzynaście dni.

Danchecker przez długi czas wpatrywał się w arkusz papieru. Jego twarz z wolna przybierała wyraz bolesnego niedowierzania.

– Czy proponuje pan, abyśmy to uznali za poważną teorię naukową? – zapytał nienaturalnym głosem.

– Oczywiście nie – odparł Hunt. – Wszystko to jest czystym domysłem. Ale wskazuje na pewne ścieżki, które można by zbadać. Na przykład te grupy alfabetyczne mogą korespondować z informacjami, które nasi lingwiści są w stanie uzyskać z innych źródeł, takich jak daty na dokumentach albo pieczętki z datami na częściach odzieży czy innego wyposażenia. Również możliwe jest znalezienie jakiegoś niezależnego sposobu ustalenia liczby dni w roku. Jeśli okaże się, że wynosi ona tysiąc siedemset, byłby to całkiem ciekawy zbieg okoliczności.

– Coś jeszcze? – zapytał Caldwell.

Tak. Analiza komputerowa tego układu liczb może ujawnić ukrytą, powtarzalną okresowość; nie wiemy, czy był tam jeden księżyc, czy było ich więcej. Powinno również okazać się możliwe obliczenie rodzin krzywych, podających ewentualne zależności między stosunkiem masy planety do masy satelity i ich średnich promieni orbitalnych. Później możemy dowiedzieć się więcej, co pozwoliłoby na wyróżnienie jednej z tych krzywych. Może ona opisywać system Ziemia – Księżyc; ale nie musi.

– Banialuki! – wybuchnął Danchecker.

– Bezstronnie? – spytał Hunt.

– Jest jeszcze coś, co może się okazać warte spróbowania – przerwał Schorn. – Pański kalendarz, jeśli rzeczywiście nim jest, jak dotychczas został opisany w terminach względnych: dni w miesiącu, miesiące w roku i tak dalej. Ale, choć to trudne przedsięwzięcie, na podstawie szczegółowej analizy chemicznej robimy pewne postępy w tworzeniu modelu ilościowego cykli metabolizmu komórkowego Charliego oraz procesów enzymatycznych. Być może będziemy zdolni obliczyć tempo akumulacji produktów rozpadu oraz toksyn w jego krwi i tkankach, na podstawie zaś tych rezultatów sformułować ocenę jego naturalnych okresów snu i czuwania. Jeśli w ten sposób będę mógł uzyskać liczbę oznaczającą długość dnia, inne wielkości natychmiast z tego wynikną.

– Gdybyśmy to wiedzieli, poznalibyśmy też okres obiegu planety wokół jej słońca – powiedział ktoś inny. – Ale czy możemy uzyskać przybliżoną masę?

– Jednym ze sposobów na to – wtrącił jeszcze ktoś – byłaby analiza strukturalna kości i muskulatury Charliego, a na tej podstawie ustalenie stosunku siły do masy.

– To by nam dało średnią odległość planety od jej słońca – odezwał się trzeci.

– Tylko wówczas, gdy byłoby podobne do naszego.

– Dane o masie planety można uzyskać ze szkła i innych substancji krystalicznych z wyposażenia Charliego. Na podstawie struktury kryształów możemy określić siłę pola grawitacyjnego, w którym stygły.

– A jak moglibyśmy uzyskać liczbowe określenie jej gęstości?

– To by jeszcze wymagało znajomości promienia planety.

– Charlie jest podobny do nas, a więc grawitacja na powierzchni będzie podobna do ziemskiej.

– Bardzo prawdopodobne, ale udowodnijmy to.

– Najpierw udowodnijmy, że to kalendarz.

Ze wszystkich stron sypały się uwagi. Hunt z pewną satysfakcją pomyślał, że wreszcie udało mu się wlać nieco ducha i entuzjazmu w dyskusję.

Na Dancheckerze nie zrobiło to żadnego wrażenia. Gdy hałas przycichnął, znowu wstał i z politowaniem wskazał pojedynczy arkusz papieru wciąż leżący pośrodku stołu.

– To wszystko bzdury! – parsknął. – To jest całość waszych dowodów. Tu zaś – położył obok potężny segregator, pękaty od notatek i dokumentów – jest mój, oparty na bibliotekach, bankach danych oraz archiwach z całego świata. Charlie pochodzi z Ziemi!

– Gdzie wobec tego podziła się jego cywilizacja? – zapytał Hunt. – Wywieziono ją w jakimś gigantycznym niebiańskim wozie na śmiecie?

Odwrócenie szyderstwa Dancheckera powitał śmiech siedzących przy stole. Profesor spurpurowiał; wydawało się, że powie coś obelżywego. Caldwell podniósł rękę, by go powstrzymać, ale sytuację uratował Schorn, przerywając swym spokojnym, nie zmaconym żadną emocją głosem.

– Wydaje się, panie i panowie, że w tej chwili musimy zdać się na kompromis, godząc się na całkowicie hipotetyczną sytuację. Aby uszczęśliwić profesora Dancheckera, musimy przyznać, że Lunarianie pochodzą od tych samych przodków, od których my pochodzimy. Aby uszczęśliwić doktora Hunta, musimy założyć, że rozwinęli się gdzieś indziej. Tego, w jaki sposób mamy pogodzić te dwa nie do pogodzenia stanowiska, nie zamierzam przepowiadać.

Rozdział dziewiąty

W ciągu tygodni, które nastąpiły po naradzie produkcyjnej, Hunt coraz mniej miał do czynienia z trimagniskopem. Wyglądało na to, że Caldwell wylazi ze skóry, zachęcając Anglika do odwiedzin różnych laboratoriów i zakładów SKNZ, by „na własne oczy zobaczyć, co tam się dzieje”, a także biur w centrali Nawtransu, aby „poznał kogoś, kogo może uznać za interesującego”. Oczywiście Hunt ciekaw był badań nad Lunarianinem, więc ta sytuacja doskonale mu odpowiadała. Wkrótce był w bliskich stosunkach z większością inżynierów i naukowców, biorących w tym udział, przynajmniej w okolicach Houston, i miał już dobre rozeznanie w postępach ich pracy i trudnościach, jakie napotykali. Wreszcie uzyskał obszerny zarys działań na wszystkich frontach, a także odkrył, że przynajmniej średni poziom znajomości pełnego obrazu sytuacji osiągnęło w całej organizacji tylko niewiele uprzywilejowanych jednostek.

Badania rozwijały się w wielu kierunkach. Obliczenia sprawności strukturalnej, oparte na pomiarach szkieletu Charliego i tego, czym był obciążony, dały w wyniku liczbę, wyznaczającą ciążenie powierzchniowe na jego macierzystej planecie i zgadzającą się, wewnątrz dopuszczalnych marginesów błędu, z liczbami wyprowadzonymi z odrębnych doświadczeń, które przeprowadzono nad przyłbicą hełmu Charliego i innymi komponentami, formowanymi w stanie płynnym. Siła grawitacji na powierzchni planety macierzystej Charliego wydawała się niewiele odbiegać od ziemskiej; być może była odrobinę większa. Te wyniki przyjęto jedynie jako znacznie przybliżone. Ponadto nikt nie wiedział, w jakim stopniu budowa fizyczna Charliego była typowa dla lunariańskiej w ogóle. Wobec tego brakowało wyraźnej wskazówki, czy planetą, o której mowa, była Ziemia, czy też nie. Problem wciąż czekał na rozwiązanie.

Sekcja Lingwistyki odnalazła na etykietach wyposażenia, w nagłówkach dokumentów oraz w uzupełnieniach pewnych notatek przykłady lunariańskich słów, które całkowicie zgadzały się z niektórymi słowami w kalendarzu; dokładnie tak, jak przypuszczał Hunt. Choć to niczego nie dowodziło, zwiększało jednak prawdopodobieństwo założenia, że te słowa oznaczają jakieś daty.

A potem, z zupełnie niespodziewanej strony, pojawiło się coś, co zdawało się związane z kalendarzem. Podczas prowadzonych w pobliżu Bazy Księżycowej Tycho Trzy przygotowawczych prac budowlanych wykryto fragmenty wyrobów i struktur metalowych. Wyglądało to jak ruiny jakiejś instalacji. Dokładniejsze badania doprowadziły do odkrycia nie mniej, ni więcej tylko następnym razem czternastu ciał, a ściślej mówiąc, fragmentów ciał, na podstawie których dało się zidentyfikować nie mniej niż czternaście osób obu płci. Oczywiście żadne z ciał nawet w przybliżeniu nie było tak zachowane jak ciało Charliego. Wszystkie były dosłownie rozdarte na strzępy. Wśród resztek znajdowały się odłamki zwęglonych kości, rozrzucone wśród osmalonych łachmanów skafandrow kosmicznych. A więc oprócz tego, że fizycznie byli identyczni z Ziemianami, Lunarianie okazali się tak samo podatni na uleganie nieszczęśliwym wypadkom. Te odkrycia nie przyniosły nowych informacji, dopóki nie odnaleziono urządzenia przystosowanego do noszenia na ręce. Aparacik wielkości dużej paczki papierosów – jeśli nie liczyć bransoletki – miał na swej górnej powierzchni cztery okienka, które wyglądały jak miniaturowe ekrany elektroniczne. Wnosząc z ich wielkości i kształtu, ekraniki zdawały się przeznaczone raczej do pokazywania znaków niż obrazów, uznano więc aparat za chronometr albo minikalkulator! Mógł być też jednym i drugim... i jeszcze czymś więcej.

Po pobieżnym zbadaniu w Tycho Trzy przyrząd został, wraz z paroma innymi przedmiotami, przesłany na Ziemię. Na koniec dotarł do laboratoriów Nawtransu koło Houston, gdzie badano również urządzenia z tornistra Charliego. Po kilku wstępnych eksperymentach zdjęto bez szkody obudowę, ale nawet drobiazgowo analizy skomplikowanych obwodów molekularnych nie ujawniły niczego szczególnie znaczącego. Ponieważ inżynierowie Nawtransu nie potrafili wymyślić nic lepszego, uciekli się do przykładania niskich napięć w różnych punktach, aby przekonać się, co z tego wyniknie. I rzeczywiście, gdy pewne sekwencje binarnych impulsów puszczano przez jeden z szeregow styków, w okienkach ukazywały się określone lunariańskie symbole. To również nie dostarczyło nowych informacji, dopóki Hunt, który właśnie odwiedził laboratorium, nie rozpoznał jednej z sekwencji znaków alfabetycznych jako miesięcy, znajdujących się w kalendarzu. W ten sposób przynajmniej jedna z funkcji aparaciku okazała się blisko związana z tabelką w terminarzu. Wprawdzie trzeba było jeszcze stwierdzić, czy miało to cokolwiek wspólnego z mierzeniem upływu czasu, niemniej jednak różne, dotychczas nie powiązane fragmenty zaczęły do siebie pasować.

Sekcja Lingwistyki robiła stałe, choć może nie aż tak spektakularne postępy w próbach złamania szyfru językowego. Zaangażowano do tego najwybitniejszych ziemskich specjalistów. Niektórzy z nich zdecydowali się przenieść do Houston, inni zaś pracowali za pomocą zdalnych łącz. Pierwszy etap ich ataku na zagadkę przyniósł całe tomy statystyk dotyczących dystrybucji i powiązań znaków oraz słów, a także stosy tabel i wykresów, które dla każdego, kto nie należał do ich sztabu, wyglądały zupełnie bezsensownie. Po tej fazie

sprawa pozostawała już tylko w sferze intuicji oraz zabaw w zgadywanki rozgrywane na ekranach komputerowych. Nieustannie ktoś zauważał bardziej znaczące powiązania, pozwalające na jeszcze trafniejsze domysły, które ze swej strony naprowadzały na wykrycie tym bardziej znaczących powiązań, i tak dalej. Lingwiści otrzymali w ten sposób spisy słów oznaczających, jak uważano, rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki i przysłówki; następnie zaś dodano do nich zdania przymiotnikowe i przysłówkowe – zjawisko podstawowe dla każdego rozwiniętego języka fleksyjnego. Zaczęli wyczuwać prawidłowości odmiany, na przykład liczbę mnogą, czasy wywodzące się ze wspólnych rdzeni, również zasady rządzące układem słów. Z tego wszystkiego stopniowo wynikały pierwsze szkice gramatyki lunariańskiej, więc eksperci z Sekcji Lingwistyki patrzyli w przyszłość optymistycznie, nabrawszy nagle ufności, że zbliżają się do momentu, w którym uda im się zestawić wybrane próbki lunariańskiego z ich angielskimi odpowiednikami.

Również interesujących rzeczy dopracowała się Sekcja Matematyki, zorganizowana na podobnych zasadach jak Lingwistyka. Część terminarza składała się z szeregu stroniczek wypełnionych cyframi i tabelami, co nasuwało myśl, że może to być odpowiednik działu informacyjnego terminarzyków ziemskich. Jedna ze stronic podzielona była pionowo, przy czym kolumnie cyfr odpowiadała kolumna słów. Jeden z badaczy zauważył, że pewna liczba, przeliczona na system dziesiętny, okazała się równa liczbie „1836”: stosunkowi masy protonu do elektronu – podstawowej stałej fizycznej, która musiała być taka sama w każdym zakątku wszechświata. Sugerowano wobec tego, że owa tabela zawierać może wykaz ekwiwalentnych lunariańskich jednostek masy, podobny do tabel równoważników stosowanych do przeliczania uncji na gramy, gramów na funty... i tak dalej. Ewentualna słuszność tych wniosków oznaczałaby, iż matematycy natknęli się na kompletny zapis lunariańskiego systemu jednostek masy. Problem jednak tkwił w tym, że całe to przypuszczenie opierało się na wątplym założeniu, że liczba „1836” rzeczywiście wyrażała stosunek mas protonu i elektronu, a nie była tylko przypadkowo identycznym oznaczeniem czegoś zupełnie innego. Aby sprawdzić prawidłowość odczytu, konieczne było drugie, porównawcze źródło informacji.

Pewnego wieczoru podczas rozmowy z matematykami Hunt stwierdził ze zdumieniem, że w innym wydziale chemicy i anatomowie obliczyli przybliżoną wartość przyciągania na powierzchni planety. Gdy tylko o tym wspomniał, wszyscy natychmiast zrozumieli znaczenie tego faktu. Jeśli bowiem Lunarianie posługiwali się powszechnie stosowaną na Ziemi praktyką używania tych samych jednostek do wyrażania masy i wagi na własnej planecie, to liczby na tablicy powinny podawać lunariańskie wagi. Ponadto mieli do dyspozycji przynajmniej jeden obiekt, którego wagę mogli ocenić prawidłowo; samego Charliego. W tej sytuacji znając już przybliżoną wartość przyciągania na powierzchni, łatwo mogli obliczyć, przynajmniej w przybliżeniu, wyrażony w kilogramach ciężar Charliego w miejscu jego zamieszkania. Do rozwiązania całości problemu brakowało tylko jednej informacji:

współczynnika przeliczania kilogramów na lunariańskie jednostki wagi. Wówczas Hunt zaczął snuć domysły, że ciężar Charliego może być zawarty w jego dokumentach osobistych: dowodzie tożsamości, karcie zdrowia – czymś, co podawało jego wagę w lunariańskich jednostkach. A jeśli tak, wówczas ta jedna liczba powie im wszystko, czego chcą się dowiedzieć. Dyskusja urwała się nagle, gdy szef Sekcji Matematyki oddalił się w wielkim pośpiechu i niemałym podnieceniu, aby porozmawiać z szefem Sekcji Lingwistyki. Lingwiści zgodzili się zwrócić szczególną uwagę na tego rodzaju dane, gdyby na nie natrafili. Dotychczas jednak to nie nastąpiło.

Inna mała grupka, upchnięta w biurze na samym szczycie gmachu centrali Nawtransu, pracowała nad czymś, co zapewne mogło okazać się najbardziej emocjonującym znaleziskiem w książeczkach Charliego. Na dwudziestu stronicach na samym końcu drugiej książki mieściła się seria map. Oczywiście wszystkie były sporządzone w małej skali, każda zaś pokazywała znaczny obszar powierzchni planety – ale planeta tak przedstawiona nie była w najmniejszym stopniu podobna do Ziemi. Oceany, kontynenty, rzeki, jeziora, wyspy i większość innych form geograficznych łatwo było odróżnić, ale w żaden sposób nie dawało się ich dopasować do powierzchni Ziemi, nawet uwzględniając wpływ pięćdziesięciu tysięcy lat – co i tak nie miałooby większego znaczenia, jeśli nie brać pod uwagę wielkości biegunowych czap lodowych.

Na każdej mapie znajdowała się prostokątna siatka współrzędnych, podobnych do ziemskich południków i równoleżników, z liniami zaznaczonymi co czterdzieści osiem jednostek dziesiętnych. Te liczby, jak przypuszczano, musiały oznaczać lunariańskie jednostki kątowe, ponieważ nikt nie potrafił wymyślić innego rozsądnego sposobu rozmieszczenia koordynat na powierzchni kuli. Klucza dostarczyły czwarta i siódma mapa: południk zero, od którego liczono odległości wszystkich innych linii. Następną leżącą na wschód miała oznaczenie „528”, ta zaś na zachód „48”, dowodząc, że pełne lunariańskie koło dzieliło się na 576 lunariańskich stopni. Cały system był zgodny z ich dwunastkowym systemem liczenia oraz ich konwencją czytania od prawej do lewej. Następnym krokiem było obliczenie tego, jaki procent powierzchni planety przedstawiała każda mapa, aby utworzyć całkowity globus.

Jednak ogólny zarys był już jasny. Czapy lodowe były o wiele większe niż te, które, jak uważano, istniały na Ziemi podczas pleistoceńskiej epoki lodowej, sięgając w niektórych miejscach aż do dwudziestego ziemskiego stopnia szerokości geograficznej. Większość mórz wzdłuż pasa równikowego była całkowicie zamknięta liniami brzegowymi oraz lodem. Liczne kropki i znaki, rozrzucone na kontynentach w pasie wolnym od lodu oraz rzadziej na terenach pokrytych lodem, zdawały się oznaczać miasta i miasteczka.

Gdy Hunta poproszono, by rzucił okiem na mapy, naukowcy wskazali mu skale odległości wydrukowane na marginesach. Gdyby tylko potrafili je jakimś sposobem przeliczyć na mile geograficzne, uzyskaliby średnicę planety. Ale nikt ich nie informował o

tablicach, które, w mniemaniu sekcji matematycznej, mogły zawierać współczynniki przeliczeniowe jednostek masy. Może inne tablice mieszczą w sobie dane dotyczące jednostek miary długości? Jeśli tak, i jeżeli w papierach Charliego udało się znaleźć wiadomość o jego wzroście, bardzo prostym sposobem, mianowicie mierząc długość jego ciała, można by się dowiedzieć, ile ziemskich metrów liczyła lunariańska mila geograficzna. A ponieważ znano już wielkość siły przyciągania na powierzchni planety, jej masę i średnią gęstość można było natychmiast obliczyć.

Wszystko to było niezwykle ekscytujące, ale dowodziło jedynie, że istniała jakaś planeta. Nie stanowiło natomiast dowodu na to, że Charlie i Lunarianie z niej pochodzili. Ostatecznie fakt, że ktoś ma w kieszeni mapę Londynu, nie dowodzi, że musi on być londyńczykiem. Wobec tego cała praca, polegająca na powiązaniu liczb uzyskanych z danych fizycznych ciała Charliego z liczbami na mapie i na tablicach, może okazać się oparta na kardynalnym błędzie. Jeśli bowiem terminarz pochodził z planety ukazanej na mapach, ale Charlie pochodził skądinąd, to system miar, wyprowadzony z map i tablic w terminarzu, może okazać się całkowicie różny od systemu zapisu danych personalnych w dokumentach osobistych Charliego, ponieważ te dokumenty mogły być używane gdzieś indziej, a nie na planecie, którą przedstawiały mapy. Trudno było się w tym wszystkim połapać.

I na koniec nikt nie twierdził, że dowiódł bezspornie, iż planeta na mapach nie była Ziemią. Oczywiście nie wyglądała jak Ziemia, a wszelkie próby wyprowadzenia obecnego rozkładu kontynentów ziemskich z układu mas lądowych na mapach nie zakończyły się nawet najmniejszym sukcesem. Ale siła przyciągania planety nie różniła się aż tak wyraźnie. A jeśli na powierzchni Ziemi w ciągu ostatnich pięćdziesięciu tysięcy lat nastąpiły znacznie większe zmiany niż dotychczas sądzono? Dalej, argumenty Dancheckera wciąż zachowywały ogromną wagę i każda teoria, która by je odrzucała, musiałaby dostarczyć ogromnie dużo wyjaśnień. Lecz w tej chwili, tak czy inaczej, większość naukowców pracujących nad sprawą Charliego doszła do stanu, w którym nic już nie mogło ich zadziwić.

– Otrzymałem twoje wezwanie. Przybyłem natychmiast – oświadczył Hunt, gdy Lyn Garland wprowadzała go do gabinetu Caldwell.

Dyrektor kiwnął głową w stronę jednego z foteli stojących naprzeciw jego biurka i Hunt usiadł. Caldwell rzucił okiem na Lyn, wciąż stojącą przy drzwiach.

– W porządku – powiedział.

Wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Przez kilka sekund Caldwell nie spuszczał z Hunta nieruchomego spojrzenia, nie przestając przy tym przebierać palcami po biurku.

– W ciągu ostatnich paru miesięcy – odezwał się wreszcie – obejrzałeś znaczną część tego interesu. Co o nim sądzisz?

Hunt wzruszył ramionami. Odpowiedź była oczywista.

– Podoba mi się. Dzieją się tu emocjonujące rzeczy.

– Lubisz, gdy się dzieje coś emocjonującego, he? – Dyrektor naczelny skinął głową, po części pod własnym adresem. – Ale widziałeś tylko fragment tego, co się tu dzieje. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wielkie są obecnie SKNZ. To wszystko, co tutaj się znajduje: laboratoria, instalacje, wyrzutnie, to tylko siły wsparcia. Nasza główna robota toczy się w górze. – Zrobił gest w stronę zdjęć zdobiących jedną ze ścian. – Mamy w tej chwili ludzi, którzy badają pustynie Marsa, wypuszczają sondy ku dołowi przez chmury Wenus, a także spacerują po księżycach Jowisza. W zakładach głębokiego kosmosu w Kalifornii projektuje się statki, przy których Vegi, a nawet statki Wypraw Jowiszowych będą wyglądały jak rzeczne łajby z kołami łopatkowymi. Automatyczne sondy kosmiczne z fotonowym napędem; one zrobią pierwszy skok do gwiazd... długie na ponad jedenaście kilometrów! Pomyśl tylko: ponad jedenaście kilometrów!

Hunt robił, co mógł, aby zareagować właściwie. Cały problem w tym, że nie wiedział, jaki sposób będzie właściwy. Caldwell nigdy nie mówił ani nie robił niczego bez powodu. To, czemu rozmowa toczyła się na ten właśnie temat, bynajmniej nie było oczywiste.

– A to tylko początek – kontynuował Caldwell. – Później człowiek pójdzie za automatami. A potem... kto wie? To największe przedsięwzięcie w dziejach rodzaju ludzkiego. USA, Stany Zjednoczone Europy, Kanada, Sowieci... wszyscy razem tym się zajmują. Dokąd coś takiego doprowadzi, gdy tylko wystartuje, he? Gdzie się to zatrzyma?

Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Houston Hunt zauważył w głosie Amerykanina cień emocji. Wolno skinął głową, ciągle niczego nie pojmując.

– Nie po to mnie tu przywlokłeś, abym wysłuchał reklamy SKNZ – powiedział.

– Nie, rzeczywiście nie – zgodził się Caldwell. – Przywlokłem cię tutaj, ponieważ nadszedł czas na poważną rozmowę. Wiem o tobie dość, aby zdawać sobie sprawę, w którą stronę kręcą się kółka pod twoją czaszką. Jesteś z tej samej gliny, co ci faceci, dzięki którym to wszystko się tam dzieje. – Wyprostował się na fotelu i popatrzył Huntowi prosto w oczy. – Chcę, abys skończył z dłubaniem w IDCC i przeniósł się do nas.

Ta wypowiedź zrobiła na Huncie wrażenie niczym cios prawym sierpowym.

– Co...! Do Nawtransu!

– Zgadza się. Nie bawmy się w kotka i myszkę. Należysz do tego typu ludzi, jakich potrzebujemy, a my możemy dać ci to, czego potrzebujesz. Wiem, że nie muszę wygłaszać całej mowy, aby to wyjaśnić.

Początkowe zaskoczenie Hunta trwało może z pół sekundy. W jego komputerowym mózgu już wirowały odpowiedzi. Od tygodni Caldwell przygotowywał wszystko, co miało być wstępem do rozmowy, Hunta zaś poddawał badaniom. A więc to dlatego do pracy z trimagniskopem skierowano inżynierów Nawtransu. Czy więc dyrektor wpadł na swój pomysł już tak dawno? Hunt nie miał żadnych wątpliwości, jaki będzie końcowy wynik ich rozmowy. Niemniej jednak reguły gry wymagały, aby zostały postawione określone pytania i

udzielone określone odpowiedzi, nim zapadnie ostateczna decyzja. Odruchowo sięgnął po papierośnicę, ale Caldwell uprzedził go, podsuwając przez biurko swoje pudełko cygar.

– Wydajesz się całkiem pewien, że mam to, czego potrzebujesz – powiedział Hunt, wybrawszy sobie jedną hawanę. – A ja nie jestem nawet pewien, czy wiem, co to jest.

– Doprawdy...? Czy po prostu nie lubisz, gdy się o tym rozmawia? – Caldwell przerwał, by zapalić swoje cygaro. Pykał je, póki nie rozżarzyło się zadowolająco, a potem kontynuował. – Z New Cross do Journal of the Royal Society, solo. Niezłe osiągnięcie. – Zrobił gest aprobaty. – My tutaj lubimy ludzi, którzy wszystko sami sobie zawdzięczają... niejako na mocy tradycji. Co cię do tego popychało? – Nie czekał na odpowiedź. – Najpierw elektronika, później matematyka... Następnie fizyka nuklearna, wreszcie nukleonika. Co dalej, doktorze Hunt? Dokąd skierujesz się teraz? – Rozsiadł się wygodniej i wypuścił chmurę dymu, podczas gdy Hunt zaczął się zastanawiać nad pytaniem.

Doktor uniósł brwi z odrobiną podziwu.

– Wygląda, że dobrze odrobiłeś pracę domową.

Caldwell nie odpowiedział wprost, lecz zapytał:

– Jak się czuł w Lagos twój wuj, gdy go odwiedziłeś podczas wakacji zeszłego roku? Czy wolał pogodę w Worcesterze, w Anglii? Czy ostatnio często spotykałeś się z Mike'em z Cambridge? Wątpię w to; on wstąpił do SKNZ, a przez ostatnie osiem miesięcy był w bazie Hellas Dwa na Księżycu. Czy mam mówić dalej?

Hunt był człowiekiem zbyt dojrzałym, by wpaść w oburzenie, zresztą lubił być świadkiem fachowej roboty. Uśmiechnął się słabo.

– Za każdym razem trafiasz w dziesiątkę.

W jednej chwili dotychczasowy nastrój Caldwell'a zastąpiła śmiertelna powaga. Pochylił się do przodu i oparł łokciami na biurku.

– Powiem ci, doktorze Hunt, dokąd się stąd udasz – odrzekł. W górę... w górę ku gwiazdom! My już wyruszyliśmy do gwiazd! A zaczęło się to wtedy, gdy pierwsza ryba Danchekkera wypełzła z mułu. Popęd, który ją do tego zmusił, był taki sam jak ten, który przynaglał cię przez całe życie. Wszedłeś do środka atomu tak głęboko, jak tylko mogłeś. Teraz została ci już tylko jedna droga: na zewnątrz. To jest propozycja nie do odrzucenia, mogą ci ją złożyć tylko SKNZ.

Hunt nie miał już nic do dodania. Przed nim rysowały się w oczywisty sposób dwie przyszłości: jedna prowadziła go do tyłu, do Metadyne; druga wabiła, pociągając do przodu, ku nieskończoności. Był tak samo niezdolny do wybrania pierwszej, jak jego gatunek nie potrafił powrócić w głębiny mórz.

– Wobec tego, jaki ty masz w tym interes? – zapytał po chwili namysłu.

– Chcesz powiedzieć: co jest takiego w tobie, czego my potrzebujemy?

– Tak.

– Potrzebujemy sposobu, w jaki pracuje twój mózg. Potrafisz chodzić myślami po nie przetartych ścieżkach. Widzisz problemy pod innymi kątami, niż widzą je pozostali. Tego właśnie potrzebuję, aby zakończyć sprawę Charliego. Wszyscy się tutaj wyklócają, ponieważ wszyscy przyjmują założenia, które im wydają się oczywiste, lecz których przyjmować nie powinni. Do tego, aby domyślić się, co jest nie w porządku, gdy rzeczy, które ludzie o zdrowym rozsądku uważają za prawdę, okazują się nieprawdą, potrzeba szczególnego typu umysłu. Uważam, że właśnie ty jesteś takim typem.

Komplement spowodował, że Hunt począł się z lekka skrępowany. Postanowił nieco popchnąć sprawy z miejsca.

– Co więc masz na myśli?

– Cóż, ludzie, których mamy w tej chwili, to najlepsi faceci w swoich specjalnościach – odparł Caldwell. – Nie zrozum mnie niewłaściwie, ci ludzie są dobrzy... ale chciałbym, aby się skupili na robieniu tego, w czym są najlepsi. Lecz prócz nich potrzebny mi człowiek z nie wyspecjalizowanym i wobec tego nieuprzedzonym sposobem widzenia spraw, aby koordynował odkrycia specjalistów i integrował je w całościowy obraz. Jeśli wolisz porównanie, to potrzebuję ludzi w rodzaju Dancheckera, by malowali części układanki, ale potrzebuję też kogoś takiego jak ty, by potrafił je poskładać w całość. Robiłeś to już po trosze nieoficjalnie, w każdym razie nie od dziś. A ja mówię: zróbmy to oficjalnie.

– W jakim systemie organizacyjnym?

– Myślałem o tym. Nie chcę antagonizować naszych starszych panów, podporządkowując ich czy kogokolwiek z ich personelu jakiemuś nowemu, cudownemu dziecku. To wobec nich jedyna właściwa taktyka. Zresztą nie myślę, abys tego właśnie sobie życzył.

Hunt pokiwał głową na znak zgody.

– Wobec tego – kończył wykład Caldwell – doszedłem do wniosku, że różne wydziały i sekcje będą kontynuować swe funkcje na dotychczasowych zasadach. Nasze stosunki z zakładami spoza Nawtransu też się nie zmienią. Natomiast wszelkie konkluzje, do których ktokolwiek dojdzie, oraz nowe odkrycia, w miarę ich pojawiania się, będą kierowane do scentralizowanej sekcji koordynującej, czyli do ciebie. Twoja robota, jak już powiedziałem, polegać ma na tym, aby przypasowywać do siebie kawałki łamigłówki. Stworzysz sobie własny sztab i będziesz go rozbudowywał w miarę, jak będzie przybywać pracy. Będziesz miał prawo żądać jakich tylko zechcesz informacji od jednostek wyspecjalizowanych; w ten sposób będziesz nieznacznie kierować ich działalność na określone cele. Natomiast jeśli idzie o twój cel, to też już była o tym mowa: odkryj, kim byli rodacy Charliego, skąd przybyli i co się z nimi stało. Podlegasz bezpośrednio mnie i zdejmujesz cały ten problem z moich barków. Mam dosyć do roboty, by się jeszcze zajmować trupami. – Caldwell wyciągnął ramię na znak, że ukończył przemowę. – No i co ty na to?

Hunt musiał uśmiechnąć się pod wąsem. Jak słusznie rzekł Caldwell, nie było się nad czym namyślać. Zaczerpnął głęboko powietrza i podniósł obie ręce do góry.

– Jak sam powiedziałeś, jest to propozycja nie do odrzucenia.

– A więc jesteś z nami?

– Jestem z wami.

– No to witaj na pokładzie. – Caldwell miał zadowoloną minę. To trzeba opić. – Gdzieś zza biurka wydobył butelkę i szklanki. Nalał amerykańskiej whisky i podał szklankę swemu najnowszemu pracownikowi.

– Kiedy chcesz, abym zaczął?

– No, aby załatwić wszystkie formalności z IDCC, będzie ci potrzeba paru miesięcy czy coś koło tego. Ale po cóż czekać na formalności? Tak czy inaczej zostałeś tutaj wypożyczony z IDCC i na ten okres jesteś pod moim kierownictwem; zresztą płacimy za ciebie. No to może by tak zacząć od jutra?

– Chryste!

Caldwell zaczął natychmiast przemawiać tonem energicznym i rzeczowym.

– Biuro dla ciebie przydzielę w tym budynku. Rob Gray w czasie swego pobytu w Houston przejmuje wyłączne kierownictwo operacjami trimagniskopu, a inżynierów, których mu przydzieliłem, zachowuje jako stały personel. To cię całkowicie uwalnia od innych obowiązków. Pod koniec tego tygodnia chcę otrzymać dane szacunkowe dotyczące potrzebnej ci liczby personelu urzędniczego oraz sekretarskiego, pracowników technicznych, a także sprzętu, mebli, powierzchni laboratoryjnej oraz sprzętu komputerowego.

Chcę, abyś od dziś za tydzień miał gotowy referat na spotkanie szefów wydziałów i sekcji, które zwołam. Powiesz im wówczas, jak pojmujesz wzajemną współpracę. Zrób to taktownie; nie ogłoszę nic na temat zmian aż do tego zebrania, gdy już wszyscy będą wiedzieli, o co chodzi. Nie rozmawiaj więc do tej chwili na ten temat z nikim, z wyjątkiem mnie i Lyn.

– Twoja firma będzie nazywała się Grupa do Specjalnych Zadań L, a twój tytuł będzie brzmieć: szef sekcji, Grupa L. To stanowisko oznacza: „Personel kierowniczy, w czwartym stopniu służbowym, cywilny” w Siłach Kosmicznych. Przynależą do niego wszelkie stosowne udogodnienia w postaci bezpłatnego korzystania z pojazdów i samolotów SKNZ, dostęp do akt aż do trzeciego stopnia tajności oraz standardowe przydziały odzieży i wyposażenia do wykonywania zadań za oceanem lub poza planetą. Wszystkie dane znajdziesz w *Podręczniku dla Personelu Kierowniczego*; natomiast szczegóły co do składania sprawozdań, procedur administracyjnych i tym podobnych rzeczy w *Przewodniku Zasad Działania SKNZ*. Obu dostarczy ci Lyn.

– Musisz się skontaktować z władzami federalnymi w Houston w sprawie uzyskania stałego pobytu w USA; Lyn zna właściwych ludzi. Załatw przesłanie swej własności osobistej z Anglii w sposób dla ciebie dogodny i obciąż kosztami Nawtrans. Pomożemy ci znaleźć jakieś mieszkanie, ale tymczasem zostań w Hotelu Ocean.

Huntowi przeleciała przez głowę myśl, że gdyby Caldwell żył trzy tysiące lat temu, Rzym zbudowano by zapewne w ciągu jednego dnia.

– Ile obecnie wynosi twoja pensja?

– Dwadzieścia pięć tysięcy eurodolarów.

– Wobec tego będzie trzydzieści. Hunt kiwnął głową bez słowa.

Caldwell przerwał i zaczął szukać w pamięci, czy czegoś jeszcze nie przeoczył. Nie znalazłszy niczego, wyprostował się na fotelu i uniósł szklankę.

– No to na zdrowie, Vic.

Po raz pierwszy zwrócił się do Hunta po imieniu.

– Na zdrowie.

– Za gwiazdy.

– Za gwiazdy.

Do pokoju dotarł niski ryk skądś spoza miasta. Zwrócili spojrzenia w stronę okna i ujrzeli kolumnę światła wspinającą się ku niebu. Z dalekiej wyrzutni wznosiła się Vega. Na ten widok Hunt poczuł, że krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach. Był to najwyższy symbol dążenia człowieka ku górze, a on właśnie włączył się w te działania.

Rozdział dziesiąty

Gdy tylko nowa jednostka organizacyjna zaczęła oficjalnie funkcjonować jako Grupa do Specjalnych Zadań L, zaczęły napływać żądania usług, a w następnych tygodniach ich liczba zwiększała się lawinowo. Pod koniec miesiąca Hunt był pogrążony w nich po uszy, co go zmusiło do angażowania nowych ludzi szybciej, niż planował. Początkowo zamierzał przez pewien czas zadowalać się szkieletowym sztabem, przynajmniej do chwili, gdy będzie miał lepsze pojęcie o tym, czego się po nim oczekuje. Gdy tylko Caldwell ogłosił powołanie nowej grupy, było nieco drobnych zawiści i niechęci, ale wreszcie przeważyło przeświadczenie, że Hunt już wniósł wiele cennych pomysłów, więc pozyskanie go do zespołu na stałe było jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Po krótkim czasie nawet dysydenci musieli niechętnie przyznać, że dzięki ustanowieniu Grupy L sprawy toczyły się bardziej gładko. Niektórzy z nich wreszcie dokonali pełnego zwrotu w tył i stali się entuzjastycznymi zwolennikami takiego systemu organizacyjnego, ponieważ nauczyli się doceniać, że kanały informacyjne z ludźmi Hunta działały w obu kierunkach i za każdą porcję danych, które tam wkładali, otrzymywali w zamian dziesięć takich porcji. W ten sposób oliwa, wlana w maszynę do rozwiązywania zagadek, kierowaną przez Hunta, okazała się dobrze użyta, sama zaś maszyna rozpędziła się do najwyższej szybkości. I nagle fragmenty zagadki zaczęły pasować do siebie.

Sekcja matematyczna wciąż jeszcze pracowała nad równaniami i formułkami znalezionymi w książkach. Ponieważ stosunki matematyczne pozostają zgodne z prawdą bez względu na konwencje, w jakich są wyrażane, ich interpretacja musiała być o wiele mniej arbitralna niż rozszyfrowywanie języka Lunarian. Matematyków bardzo pobudziło odkrycie tablic przeliczania jednostek masy. Zwrócili uwagę na inne tablice z tej samej książki i wkrótce stwierdzili, że jedna z nich wylicza wiele z powszechnie stosowanych stałych fizycznych i matematycznych. Z tego szybko doszli do wykrycia pi, jak również e, bazy logarytmów naturalnych, a także paru innych liczb. Ale ciągle jeszcze nie rozpoznali całego systemu jednostek na tyle, aby przeliczyć większość z nich.

Inne tablice zawierały, jak się okazało, proste funkcje trygonometryczne. Te rozpoznano łatwo, gdy tylko kartografowie dostarczyli jednostek miar kątowych. Nagłówki w szpaltach

tych tablic ujawniły lunariańskie symbole sinusa, kosinusa, tangensa i tym podobne. Gdy tylko je poznano, wiele wyrażeń matematycznych w innych miejscach stało się zrozumialsze, niektóre z nich natychmiast ujawniły się jako znane zależności trygonometryczne. To zaś pozwoliło ustalić, jakiej konwencji używano do zapisu zwykłych działań arytmetycznych oraz potęgowania, co ze swej strony doprowadziło do zidentyfikowania wzorów ruchu mechanicznego. Nikt się nie zdziwił, gdy owe równania ujawniły, że lunariańscy naukowcy wydedukowali te same prawa co Newton. W dalszej pracy matematycy posunęli się aż do tablic podstawowych całek funkcji pierwotnej i standardowych form równań różniczkowych pierwszego rzędu. Na następnych stronicach znajdowały się równania, które, jak podejrzewali, mogły opisywać układy rezonansowe i drgania gasnące. Tutaj znowu stwarzała problem niepewność co do używanych jednostek; wyrażenia tego typu powinny mieć formy standardowe, odnoszące się do elektrycznych, mechanicznych, termicznych czy wielu innych rodzajów zjawisk fizycznych. Dopóki nie dowiedzą się więcej o jednostkach lunariańskich, nie będą mogli mieć pewności, co owe równania oznaczają, nawet jeśli uda się zinterpretować je matematycznie.

Hunt przypomniał sobie, iż kiedyś zauważył, że wiele podzespołów elektrycznych z tornistra Charliego miało małe metalowe tabliczki, które były umieszczone koło wtyczek, gniazdek i innych urządzeń wejścia i wyjścia. Zastanawiał się, czy niektóre z wygrawerowanych na nich symboli nie mogłyby oznaczać wielkości napięcia, rodzaju prądu, mocy, częstotliwości i tak dalej. Spędził cały dzień w laboratoriach elektronicznych, sporządził pełny zestaw owych oznaczeń i przekazał je matematykom. Nikt nie pomyślał, aby im wcześniej o tym powiedzieć.

Inżynierowie elektronicy odkryli baterię w aparaciku naręcznym z Tycho; rozłożyli ją na części i przy pomocy elektrochemika z innego wydziału ustalili napięcie, jakie miała dawać. Lingwiści przetłumaczyli znaki na obudowie, to zaś ujawniło liczbę odnoszącą się do lunariańskiej jednostki napięcia. Nieźle, jak na początek.

Profesorowie Danchecker i Schorn kierowali badaniami biologicznymi. Mogło zaskakiwać, że Danchecker nie wykazywał żadnej niechęci do współpracy z Grupą L i zapewnił jej bieżące informacje, które napływały regularnym strumieniem. To wynikało bardziej z jego głęboko zakorzonego poczucia przyzwoitości niż ze zmiany nastawienia. Był formalistą, a jeśli ten sposób postępowania zgodny był z formalnie ustalonymi wymaganiami, nieugięcie się go trzymał. Ale jednocześnie jego niechęć do odchylenia się nawet na włos od swych bezkompromisowych poglądów na temat pochodzenia Lunarian miała charakter totalny.

Schorn, zgodnie z obietnicą, rozpoczął badania nad ustaleniem długości naturalnego dnia w środowisku Charliego, oparte na studium chemizmu jego ciała oraz komórkowej przemiany materii. Owszem, uzyskał wyniki, ale były one pozbawione wszelkiego sensu. Pewne testy dały liczbę dwudziestu czterech godzin, co oznaczało, że Charlie mógł pochodzić z Ziemi;

inne dały trzydzieści pięć godzin, co oznaczało, że nie mógł; jeszcze inne zaś przyniosły wyniki pośrednie. W ten sposób, jeśli w zestawieniu owym miał być jakikolwiek sens, należałoby przyjąć, iż Charlie pochodził z tuzina różnych miejsc równocześnie. Albo więc wszystko to było do kitu, albo użyte metody okazały się z jakiegoś powodu błędne, albo też kryło się za tym coś więcej, niż myślano.

Danchecker odniósł większy sukces na innym polu. Na podstawie analizy wielkości i kształtów układu krwionośnego Charliego oraz powiązanych z nim mięśni opracował równania, opisujące osiągi tego krwioobiegu. Z tych zaś wyprowadził zestaw krzywych, ukazujących stosunek zachowanego ciepła ciała do utraconego, uwzględniając każdą daną temperaturę ciała i otaczającej go atmosfery. Wysokość normalnej temperatury ciała Charliego zaczerpnął z pewnych danych uzyskanych przez Schorna, opartych na założeniu, że podobnie jak u ssaków ziemskich proces ewolucyjny musiał doprowadzić do tego, że ciało Charliego regulowało swą temperaturę w sposób zapewniający przebieg komórkowych reakcji chemicznych na poziomie najwyższej sprawności. Podstawiając tę liczbę do swych pierwotnych równań, udało się Dancheckerowi ustalić w przybliżeniu temperaturę zewnętrzną, a ściślej mówiąc, temperaturę otoczenia, do której Charlie był najlepiej przystosowany. W granicach dopuszczalnego błędu okazało się, że wynosiła ona od dwóch do dziewięciu stopni Celsjusza.

Ponieważ wykonana przez Schorna próba ustalenia długości dnia Lunarian nie powiodła się, w dalszym ciągu nie było sposobu na przypisanie wartości absolutnych kalendarzowi. Z różnych źródeł uzyskano jednak świadectwa, które w wystarczającym stopniu uprawdopodobniały przypuszczenie, mimo wszelkich rozsądnych wątpliwości, że naprawdę był to kalendarz. Gdy elektronicy znaleźli więcej wskazówek do określenia lunariańskich jednostek elektrycznych, alternatywna metoda uzyskania, wymykających się jak dotąd, lunariańskich jednostek pomiaru czasu sama się narzuciła. Jeśli matematykom uda się rozwikłać równania drgań elektrycznych, będą w stanie tak przekształcić uzyskane wielkości, aby wyrazić nimi dwie stałe: dielektryczną i przenikalności magnetycznej próżni kosmicznej w jednostkach lunariańskich. Stosunek tych stałych ujawni szybkość światła, wyrażoną w lunariańskich jednostkach odległości na lunariańską jednostkę czasu. Jednostki wyrażające odległości już rozumiano; wobec tego wartości stosowane do mierzenia czasu uzyska się automatycznie.

Wszystkie te działania w SKNZ oczywiście przyciągały znaczne zainteresowanie opinii społecznej. Odkrycie zaawansowanej technicznie cywilizacji sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat nie jest czymś, co zdarza się na co dzień. Gdy podano sprawę do wiadomości publicznej, niektóre nagłówki, błyskające w Globalnej Sieci Informacyjnej, pozostawiały niezatarte wrażenie: CZŁOWIEK NA KSIEŻYCU PRZED ARMSTRONGIEM. Niektóre były zabawne: ZAGINIONA CYWILIZACJA NA MARSIE. Inne były po prostu błędne:

UZYSKANO KONTAKT Z POZAZIEMSKĄ INTELIGENCJĄ. Ale w całości nieźle oddawały istniejącą sytuację.

W bieżących miesiącach biuro prasowe SKNZ w Waszyngtonie, od dawna nastawione na utrzymywanie stałych i łatwych do przewidzenia stosunków z publikatorami, ugięło się pod lawiną żądań bezlitośnie naciskanych redaktorów i wydawców z całej Ziemi. Waszyngton przez pewien czas dzielnie walczył, ale na koniec zareagował zwyczajnie, po ludzku, przekazując całą sprawę lokalnemu wydziałowi prasowemu SKNZ w Houston. Dyrektor do spraw prasowych w Houston znalazł tuż za swoim progiem gotowy punkt dystrybucji nowych informacji, a mianowicie Grupę L. Tak więc stale rosnący zakres pracy Hunta jeszcze się powiększył. Wkrótce konferencje prasowe, dokumentalne audycje telewizyjne, filmowane wywiady oraz wizyty reporterów stały się częścią jego codziennego programu zajęć; podobnie też przygotowywanie tygodniowych biuletynów o postępach badań. Pomimo ich chłodnego obiektywizmu i starannego doboru słów wyglądało na to, że napotykają dziwne rzeczy w drodze z biur Nawtransu na stronie prasy światowej oraz ścienne ekrany. Jeszcze dziwniejsze rzeczy następowały w umysłach niektórych z czytających je ludzi.

Jeden z niedzielnych tygodników w Wielkiej Brytanii przedstawił z grubsza wszystko, o czym opowiadał Stary Testament, jako relacje naiwnych obserwatorów o pojawianiu się kosmitów. Plagi egipskie były klęskami ekologicznymi, wywołanymi z rozmysłem jako ostrzeżenie dla ciemężycieli; latające talerze prowadziły Mojżesza przez Morze Czerwone, podczas gdy wody rozstały się wskutek zastosowania pól sił nukleonowych; manna niebieska tworzona była z węglowodanowych produktów spalania termonuklearnych jednostek pędnych. Pewien wydawca w Paryżu zaobserwował reakcje publiczności, szybko się w nich połapał i zlecił dziennikarzowi – wolnemu strzelcowi – zrewidować życie Chrystusa z założeniem, że była to symboliczna opowieść o jawnym czynieniu cudów przez Lunarianina powracającego na Ziemię po czterdziestu ośmiu tysiącach lat medytacji w galaktycznej puszczy.

Roilo się od „autentycznych” sprawozdań, że Lunarianie nadal byli obecni na Ziemi. Oni to zbudowali piramidy, zatopili Atlantyde oraz przekopali Bosfor. Pojawili się naoczni świadkowie lądowań Lunarian na Ziemi w czasach współczesnych. Ktoś odbył przed dwoma laty rozmowę z pilotem lunariańskiego statku kosmicznego na środku pustyni Colorado. Każda, kiedykolwiek zapisana wzmianka o zjawiskach nadnaturalnych, zjawach, nawiedzeniach, cudach, świętych, duchach oraz wiedźmach była obecnie wiązana z Lunarianami.

W miarę jak upływały miesiące i nie pojawiały się żadne dramatyczne rewelacje, świat zwrócił się w poszukiwaniu nowych sensacji w inną stronę. Sprawozdania o dalszych odkryciach ograniczały się obecnie do publikacji na łamach poważniejszych czasopism naukowych oraz do debat w kręgu stowarzyszeń zawodowych. Natomiast naukowcy zatrudnieni w Nawtransie bez przeszkód kontynuowali swe prace.

W tym czasie zespół SKNZ, budujący obserwatorium optyczne na odziemskiej stronie Księżyca, wykrył niezwykle echa ultradźwiękowe, dochodzące z około dwustu stóp poniżej powierzchni. Wykopano szyb i odkryto coś, co wyglądało na resztki podziemnych poziomów innej bazy księżycowej, a w każdym razie jakiejś konstrukcji. Było to po prostu metalowe pudło wysokości około dziesięciu stóp, a długości i szerokości małego domku. Jednego końca brakowało, a mniej więcej jedną czwartą przestrzeni wypełniał pył i gruz skalny. Na wolnej powierzchni w drugim końcu znaleziono zwęglone szkielety kolejnych ośmiu Lunarian, trochę mebli, nieco wyposażenia technicznego oraz stos zamkniętych metalowych pojemników. Reszta zaś struktury, której owa podziemna galeria była częścią, znikła bez śladu.

Metalowe pojemniki otwarli następnie naukowcy w Westwood. Wewnątrz puszek przechowywane były różne rodzaje żywności dobrze zachowanej, choć ugotowanej. Zapewne to, co wywołało owo ugotowanie, ugotowało także Lunarian. Większość puszek zawierała gotowe do spożycia jarzyny, mięso oraz słodczyce. W niektórych jednak znajdowały się ryby, mniej więcej wielkości śledzi, zachowane w nienaruszonym stanie.

Gdy asystent Dancheckera zrobił sekcję jednej z ryb i zajrzał do jej wnętrza, nie mógł zrozumieć tego, co tam znalazł. W tej sytuacji zawołał profesora do laboratorium, by spytać, co on o tym myśli. Danchecker powrócił do domu dopiero następnego dnia o ósmej rano. W tydzień później zawiadomił niedowierzającego Vica Hunta:

– Ten okaz nigdy nie pływał w żadnym z naszych oceanów; ani nie ewoluował, ani nie jest w żaden sposób spokrewniony z żadną formą życia, która kiedykolwiek istniała na naszej planecie!

Rozdział jedenasty

W grudniu 1972 roku wyprawa Apolla Siedemnaście była pomyślnym uwieńczeniem pierwszego zorganizowanego wysiłku ludzkiego, którego celem było dotarcie i naoczne zbadanie pierwszego ciała niebieskiego innego niż nasze własne. Po wykonaniu programu Apollo działalność NASA została ograniczona, głównie z powodu presji finansowej, jakiej podlegały wówczas USA w rezultacie przewalających się przez świat zachodni recesji ekonomicznych, które wynikały z politycznych kryzysów naftowych oraz różnych innych kryzysów, produkowanych na Bliskim Wschodzie oraz w południowej części Afryki; wreszcie przez podtrzymywanie wojny wietnamskiej. W połowie i w końcu lat siedemdziesiątych wysłano szereg sond automatycznych na Marsa, Wenus, Merkurego oraz niektóre planety zewnętrzne. Gdy w latach osiemdziesiątych wznowiono loty załogowe, ich zadaniem stało się tworzenie różnych typów promów kosmicznych oraz budowanie orbitujących laboratoriów i obserwatoriów ze stałą załogą. Głównym bowiem celem było umocnienie trwałych pozycji wypadowych przed wznowieniem ekspansji na zewnątrz. Z tego powodu na pewien czas dano spokój Księżycowi, pozwalając mu kontynuować miliardoletnie kontemplowanie wszechświata bez dalszych przeszkód ze strony człowieka.

Informacje przywiezione przez astronautów Apolla wreszcie rozstrzygnęły konflikt domysłów na temat natury i pochodzenia Księżyca, snutych przez całe pokolenia uwięzionych na Ziemi obserwatorów. Wkrótce po utworzeniu systemu słonecznego, cztery miliardy pięćset milionów lat temu, Księżyc do znacznej głębokości uległ stopieniu, być może nawet do połowy swego promienia; ciepło zaś pojawiło się dzięki uwalnianiu energii grawitacji w miarę akumulacji masy globu. W czasie ochładzania, które później nastąpiło, cięższe, zawierające żelazo minerały spłynęły ku środkowi Księżyca, podczas gdy mniej gęste, bogate w aluminium, wypłynęły na powierzchnię, tworząc zewnętrzną skorupę. Nieustanne bombardowania przez meteoryty mieszały te składniki i do pewnego stopnia zakłócały przebieg procesu, ale około czterech miliardów trzystu milionów lat temu formowanie się skorupy było praktycznie zakończone. Bombardowanie trwało w okresie, który upłynął trzy miliardy dziewięćset milionów lat temu, kiedy większość znanych nam

formacji powierzchniowych już istniała. Od tego momentu z wnętrza Księżyca wypływały lawy bazaltowe, co w niektórych miejscach spowodowane było koncentracją ciepła pochodzącego z rozpadu radioaktywnego pod powierzchnią. Lawa wypełniała astroblemy i tworzyła ciemniejsze morza. Skorupa nieprzerwanie ochładzała się coraz głębiej, aż wreszcie stopiony materiał skalny nie mógł już przez nią przenikać. Proces ten zakończył się trzy miliardy dwieście lat temu. A potem wszystko pozostało nie zmienione przez wieki. Od czasu do czasu pojawiała się dodatkowa astroblema, a opadający pył stopniowo erodował górny milimetr powierzchni, ale Księżyc stał się zupełnie martwą planetą.

Tę jego historię odtworzono na podstawie szczegółowych obserwacji oraz ograniczonej eksploracji strony przyziemskiej. Obserwacje orbitalne strony odziemskiej sugerowały, że i tam działa się znaczna część podobnych wydarzeń, a ponieważ taki ich bieg był zgodny z istniejącą teorią, przez wiele lat po wyprawach Apolla nikt nie wątpił w jej słuszność. Oczywiście trzeba było jeszcze dopracować wiele szczegółów, ale ogólny obraz był jasny. Lecz gdy ludzie powrócili na Księżyc w znacznej liczbie i po to, by tam pozostać, badania powierzchni strony odziemskiej ujawniły zupełnie inną i całkowicie nieoczekiwaną sprawę.

Choć powierzchnia strony odziemskiej dla odległego obserwatora była nader podobna do przyziemskiej, okazało się że na poziomie mikroskopowym w jej dziejach zdarzyło się coś całkowicie odmiennego. Następnie zaś, gdy bazy, wyrzutnie raketowe, instalacje łączności i wszelkie inne urządzenia, które towarzyszyły człowiekowi, gdziekolwiek się udawał, zaczęły mnożyć się na stronie przyziemskiej, powodowane tym metodyczne badania powierzchni także ujawniły nieprawidłowości.

Wszystkie doświadczenia przeprowadzone na próbkach skał przywiezionych z ośmiu stanowisk badawczych przed połową lat siedemdziesiątych, dały spójne wyniki, zgodne z ortodoksyjnymi teoriami. Ale gdy liczba stanowisk wzrosła do tysiący, choć ogromna większość uzyskanych danych dodatkowych teorii potwierdziła, odnotowano jakieś dziwne odchylenia. Odchylenia, zdające się wskazywać, że pewne formacje strony przyziemskiej powinny w rzeczywistości znajdować się na odziemskiej.

Żadne z proponowanych wyjaśnień nie okazały się w istotny sposób rozstrzygające. Dyrektorom i oficerom SKNZ robiło to niewielką różnicę, ponieważ w tym okresie zakres działalności na Księżycu przeszedł z fazy badań czysto naukowych do intensywnych operacji inżynierskich. Tylko korporacje naukowe na nielicznych uniwersytetach miały czas, by zastanawiać się i wymieniać uwagi na temat niezgodności spektralnej próbek pyłu: Dlatego przez wiele lat dobrze udokumentowany problem „anomalii półkul księżycowych” pozostawał schowany w aktach, wraz z milionem innych tematów, w szufladach nauki opatrzonych napisem: Oczekujące na wyjaśnienie.

Metodyczny przegląd bieżącego stanu wiedzy we wszystkich gałęziach nauki, które mogły mieć związek z problemem Lunarian, należał do rutynowych zadań Grupy L.

Wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Księżycem, zajmowało oczywiście wysoką pozycję na liście spraw do zbadania i wkrótce Grupa zebrała dość informacji, by stworzyć niewielką bibliotekę tego tematu. Dwaj młodzi fizycy, którzy nie dość szybko dali nura w chwili, gdy Hunt przydzielał zadania, otrzymali herkulesową pracę polegającą na przesianiu wszystkich tych wiadomości. Nim dotarli do sprawy anomalii półkul, zabrało im to nieco czasu. Lecz gdy to się stało, natrafili na serię eksperymentów datowania próbek, przeprowadzonych przez nukleologa nazwiskiem Kronski w Instytucie Maxa Plancka w Berlinie. Informacje zawarte w jego sprawozdaniach spowodowały, że rzucili wszystko i natychmiast wyruszyli na poszukiwanie Hunta. Po długiej dyskusji Hunt odbył wideorozmowę z niejakim doktorem Saulem Steinfieldem z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Nebraska, specjalizującym się w fenomenach księżycowych. W wyniku tej rozmowy Hunt zlecił swoją pracę na parę dni zastępcy szefa Grupy L i wczesnym rankiem następnego dnia odleciał do Omaha. Sekretarka Steinfielda oczekiwała Hunta na lotnisku, a w godzinę później był już w jednym z laboratoriów, kontemplując trzystopowy model Księżyca.

– Skorupa nie jest rozłożona równomiernie – powiedział Steinfield, machnąwszy ręką w stronę globusa. – Po stronie odziemskiej jest o wiele grubsza niż na przyziemskiej, o czym zresztą wiadano od dawna, od chwili, gdy na orbitę okołoksiężycową wprowadzono sztuczne satelity w latach sześćdziesiątych. Środek masy jest przesunięty o prawie dwa kilometry wobec środka geometrycznego.

– I nie ma po temu oczywiście przyczyny – zadumał się Hunt.

Steinfield nie przestawał machać ręką, zataczając wściekle koła nad stojącą przed nimi kulą.

– Nie ma żadnego powodu, by skorupa zestaliła się o wiele grubiej po jednej stronie, to oczywiste; ale prawdę powiedziawszy, jest to bez znaczenia, bo to nie w taki sposób przebiegało. Materiał, stanowiący powierzchnię strony odziemskiej, jest o wiele młodszy, niż ktokolwiek i kiedykolwiek przypuszczał, że może istnieć w większych ilościach na Księżycu. Aż do chwili, gdy, aaa, przed jakimiś trzydziestu laty, czy coś koło tego, okazało się, że jest cholernie młodszy! Ale to pan wie, przecież z tego powodu pan się tu znalazł.

– Ale nie chce pan przez to powiedzieć, że uformował się niedawno? – spytał Hunt.

Steinfield tak energicznie pokręcił głową, że dwie kępki siwych włosów, sterczące po bokach jego łysiny, zakołysały się gwałtownie.

– Nie. Możemy powiedzieć, że jest tak stary jak reszta systemu słonecznego. Chcę zwrócić uwagę, że... nie znalazł się tam bardzo dawno.

Chwycił Hunta za ramię i odwrócił go w stronę mapy ściennej, pokazującej przekrój Księżyca przez sam środek.

– Tutaj może pan to zobaczyć. Czerwony zarys to początkowa skorupa, która otacza cały Księżyc. Ma z grubsza kształt koła, czego można było oczekiwać. Na stronie odziemskiej, o

tu, ten niebiesko zaznaczony materiał siedzi na niej i nie został tam dodany bardzo dawno temu.

– Siedzi na tym, co wówczas było powierzchnią.

– Najdokładniej. Ktoś zwałił parę miliardów ton gruzu na starą skorupę... ale tylko po tamtej stronie.

– I to zostało sprawdzone w sposób ostateczny? – spytał Hunt, aby mieć całkowitą pewność.

– Ano... ano. Na całej tamtej stronie wywiercono wystarczająco wiele otworów i wybito dość szybów, abyśmy z dużą dokładnością mogli się dowiedzieć, gdzie znajduje się stara powierzchnia. Coś tam panu pokażę...

Większą część ściany w głębi zajmowały całe szeregi małych metalowych szufladek, ciągnących się od podłogi do sufitu. Steinfield przeszedł przez pokój i schylił się, by odczytywać napisy, równocześnie mruczając coś do siebie niezrozumiale. Wreszcie z nagłym okrzykiem: Mam go! rzucił się do jednej z szuflad, wyciągnął ją i wrócił, niosąc zamknięty szklany pojemnik, wielkości mniej więcej małego słoika na marynaty. Zawierał umieszczony na drucianej podstawie chropowaty kawałek jasnoszarej skały, połyskującej miejscami w świetle. To jest nader pospolity po tamtej stronie bazalt KREEP. On...

– Kreep?

– Bogaty w potas, czyli K; pierwiastki ziem rzadkich – REE; oraz fosfor – P.

– Ooo... Rozumiem.

Tego rodzaju związki tworzą znaczną część gór – kontynuował Steinfield. – Ten zeskałił się około czterech miliardów stu milionów lat temu. Otóż, analiza izotopów wytworzonych pod wpływem działania promieni kosmicznych pozwala nam określić, jak długo taki związek spoczywał na powierzchni. I znów dla tej próbki liczba wynosi prawie cztery miliardy sto milionów lat. Hunt miał nieco zdziwioną minę.

– Przecież to normalne. Tego pan właśnie oczekiwał, prawda?

– Gdyby leżał na powierzchni, owszem. Ale to pochodzi z szybu głębokiego na prawie dwieście pięćdziesiąt metrów! Innymi słowy przez cały czas znajdowało się na powierzchni i nagle znalazło się na głębokości dwustu pięćdziesięciu metrów. – Steinfield znów wskazał mapę na ścianie, – Jak już powiedziałem, z tego rodzaju rzeczami spotykamy się po stronie odziemskiej przez cały czas. Potrafimy ocenić, jak głęboko znajdowała się stara powierzchnia. Pod nią znajdujemy stare skały i struktury geologiczne tak dawne, jak te po stronie nam bliższej. Nad nią jeden wielki bałagan: skała została całkowicie potłuczona, a także pojawiło się wiele miejsc stopionych w chwili, gdy spadł tutaj cały ten gruz; aż do obecnej powierzchni. Tego zresztą można się było spodziewać.

Hunt skinął twierdząco głową. Energia wyzwolona w chwili, gdy tak potworna masa została nagle zahamowana, musiała być fenomenalna.

– I nikt nie wie, skąd to się tam wzięło? – zapytał.

Steinfeld powtórzył swój numer z kręceniem głową.

– Niektórzy mówią, że wielki strumień meteorytów musiał trafić w Księżyc. To może być nawet prawdą; nigdy nie dowiedziono w sposób ostateczny ani tego, ani czegoś przeciwnego. Ale skład gruzu nie jest, prawdę powiedziawszy, podobny do meteorytowego. Bliższy jest składnikom samego Księżyca. Sprawia wrażenie, jakby został zrobiony z tego samego surowca, dlatego z góry wygląda tak samo. Aby zauważyć to, o czym mówiłem, trzeba obejrzeć mikrostrukturę.

Hunt przez dłuższą chwilę oglądał próbkę w milczeniu. Wreszcie ostrożnie położył ją na jednej z ławek. Steinfeld zabrał ją i włożył do szuflady.

– Okay – rzekł Hunt, gdy Steinfeld powrócił. A więc co z tą powierzchnią odziemską?

– Kronski i jego koledzy.

– No tak... Mówiliśmy o tym wczoraj.

– Kratery po stronie odziemskiej zostały powybijane przez końcowe partie zrzuconego gruzu, w przeciwieństwie do tych po naszej stronie, które są skutkiem uderzeń meteorytów sprzed, och... paru miliardów lat. W próbkach pobranych z okolic krawędzi kraterów odziemskich odkrywamy, że poziom aktywności okresu połowicznego rozpadu jest bardzo niski. Na przykład aluminium: dwadzieścia sześć, a chlor: trzydzieści sześć; dotyczy to również stopnia absorpcji wodoru, helu i gazów szlachetnych z wiatru słonecznego. Tego rodzaju rzeczy wskazują, że owe skały nie leżały tam bardzo długo, a ponieważ znalazły się tam, gdzie były, wskutek wyrzucenia z kraterów, same kratery nie mogą też być bardzo stare.

– Steinfeld wykonał przesadny gest pustymi rękami. – Resztę pan zna. Ludzie tacy jak Kronski wykonali wszystkie obliczenia i wypadło im, że kratery pochodzą sprzed około pięćdziesięciu tysięcy lat... Z wczoraj! – Odczekał parę chwil. – To musi mieć jakiś związek z Lunarianami. Jak dla mnie, ta liczba to coś więcej niż zbieg okoliczności.

Hunt przez chwilę przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami szczegółom po stronie odziemskiej globusa.

– Ale musiał pan o tym wiedzieć wcześniej – powiedział, podnosząc wzrok. – Czemuż, u diabła, czekał pan, aż sami się zgłosimy?

Steinfeld znowu zaprezentował puste dłonie i pozostawał w tej pozie przez pewien czas.

– No cóż, wy tam w SKNZ jesteście wielkie spryciule. Myślałem, że już o tym wiecie.

– Przyznaję, że powinniśmy byli wcześniej się o tym dowiedzieć – zgodził się Hunt. – Ale byliśmy mocno zajęci.

– Tak mi się zdawało – mruknął Steinfeld. – Zresztą na tym sprawa się nie kończy. Powiedziałem panu wszystko to, co się jakoś trzyma kupy. A teraz opowiem o paru rzeczach dziwnych... – Przerwał, jakby nagle uderzyła go jakaś myśl. – O rzeczach dziwnych opowiem za chwilę. A teraz może napiłby się pan kawy?

– Wspaniale.

Steinfeld zapalił palnik Bunsena, z najbliższego kranu napełnił wielką zlewkę laboratoryjną i ustawił ją na trójnogu nad płomieniem. Następnie przykucnął, by pogrzebać w szafce pod ławką, i na koniec wynurzył się triumfalnie z dwoma obitymi emaliowanymi kubkami.

– Pierwsza dziwna sprawa: dystrybucja próbek, wykopanych po stronie odziemskiej, które stosunkowo niedawno zostały wystawione na promieniowanie radioaktywne, nie zgadza się z rozkładem źródeł radioaktywności. Powinny być skupiska takich źródeł w miejscach, gdzie ich brak.

– A co, jeśli strumień meteorytów zawierał meteoryty wysoce radioaktywne? – zapytał Hunt.

– Nie, nie klapuje – odparł Steinfeld, rozglądając się po półce ze szklanymi słojami, i na koniec wybierając jeden, w którym znajdował się czerwonawobrazowy proszek, z etykietą: Tlenek żelazowy. – Gdyby istniały podobne meteoryty, ich odłamki wciąż powinny się tam znajdować. Ale rozkład pierwiastków radioaktywnych w gruzie jest całkiem jednostajny... w przybliżeniu, dla wszystkich skał, normalny. – Zaczął nakładać łyżeczką proszek do kubków. Hunt z niejaką obawą wskazał ruchem głowy słoje.

– Jeśli pozostawić kawę w fabrycznych opakowaniach – wyjaśnił Steinfeld – to zbyt szybko się ulatnia. – Skinął w kierunku drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju. Widniał na nich napis: STUDENCI PRZYDZIELENI DO BADAŃ.

Hunt ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Wyparowały?

Steinfeld gestem zaprzeczył.

– W takim wypadku musiałyby się znajdować w bliskości skały dość długo, by spowodować zaobserwowane objawy. – Otworzył następny słoje z napisem: Kwaśny fosforan sodowy drugorzędowy.

– Cukru?

– Druga dziwna sprawa – kontynuował Steinfeld. Bilans cieplny. Wiemy, jak wielka masa spadła, a ze sposobu, w jaki upadła, potrafimy obliczyć jej energię kinetyczną. Z próbkowania statystycznego wiemy także, ile energii musiało ulec rozproszeniu, aby spowodować stopienie i deformacje strukturalne. Wiemy też, ile energii pochodzi z podziemnej radioaktywności i w jakich miejscach. Problem: równania się nie bilansują; aby spowodować to, co się wydarzyło, potrzeba więcej energii, niż było do dyspozycji. Wobec tego skąd wzięła się dodatkowa? Modele komputerowe tych wydarzeń są bardzo skomplikowane i mogą zawierać błędy. Ale tymczasem sprawa tak wygląda.

Steinfeld pozwolił Huntowi to przemyśleć, sam zaś schwycił zlewkę szczypcami i zajął się napełnianiem kubków. Przeprowadziwszy bezpiecznie tę operację, zaczął nabijać fajkę, wciąż milcząc.

– Coś jeszcze? – spytał Hunt, sięgając po papierośnice.

Steinfeld twierdząco skinął głową.

– Odchylenia po stronie przyziemskiej. Większość kraterów po naszej stronie pasuje do klasycznego modelu: są stare. Ale tu i ówdzie zdarzają się takie, które nie pasują. Datowanie na podstawie promieni kosmicznych określa ich wiek na mniej więcej taki sam, jak tych po drugiej stronie. Zwykle tłumaczy się to tym, że trochę zabłąkanych meteorytów z ostatniego bombardowania strony odziemskiej uległo przeniesieniu, trafiając w cel aż na naszej... Wzruszył ramionami. Ale zdarzają się osobliwości, które bynajmniej tego nie potwierdzają.

– Na przykład?

– Na przykład niektóre ze szkieł i formacji brekcji wykazują, że były poddane ciepłu w stopniu nie odpowiadającym wzorcowi niedawnego zderzenia... Później panu powiem, o co tu chodzi.

Hunt, paląc papierosa i popijając napój, rozważał tę nową wiadomość. Napój, tak czy inaczej, smakował jak kawa.

– I to jest ostatnia dziwna sprawa?

– Tak, w głównych zarysach. Nie, chwileczkę, przedostatnia. Jakim sposobem żaden meteoryt z tego strumienia nie trafił w Ziemię? Zidentyfikowano i datowano masę kraterów meteorytowych na Ziemi. Wszystkie symulacje komputerowe wskazują, że w tym okresie powinien nastąpić szczyt ich ponadnormalnego pojawiania się, sądząc z tego, jak wielka kupa tego syfa musiała się zwalić na Księżyc. Ale nie ma ani jednego śladu, nawet uwzględniając efekt istnienia atmosfery.

Resztę tego dnia i cały następny dzień Hunt i Steinfeld spędzili na przeglądaniu liczb i sprawozdań z przeprowadzanych badań. Niektóre z nich pochodziły sprzed wielu lat. Następnej zaś nocy Hunt nie spał w ogóle, ale wypalił paczkę papierosów i wypił galon kawy, gapiąc się na ścianę pokoju hotelowego i próbując dopasować nowe informacje do wszelkich łamańców myślowych, jakie udawało mu się wykombinować.

Pięćdziesiąt tysięcy lat temu Lunarianie byli na Księżycu. Na razie obojętne było, skąd pochodzili; to zupełnie inne zagadnienie. Mniej więcej w tym samym czasie huragan meteorytów zniszczył powierzchnię strony odziemskiej. Czy ów huragan zlikwidował także Lunarian na Księżycu? Być może – ale to nie miałoby żadnego wpływu na pozostałych mieszkańców ich planety. Gdyby zlikwidować wszystkich ludzi SKNZ na Księżycu, nie spowodowałoby to żadnych trwałych zmian na Ziemi. Wobec tego, co się stało z resztą Lunarian? Czemu nikt ich nie widział? Czy przydarzyło im się coś innego, o większym zasięgu niż jakiegokolwiek wypadki na Księżycu? Czy to coś innego mogło spowodować burzę meteorytową? Czy może jeszcze jakieś coś mogło spowodować to pierwsze coś i wygubić Lunarian w innych miejscach? A może nie było tu żadnego związku? Nieprawdopodobne.

A do tego te sprzeczności, o których wspominał Steinfeld... Znikąd pojawiła się nagle absurdalna idea, którą Hunt niecierpliwie odrzucił. Ale w miarę upływu nocy powracała coraz uporczywiej. Podczas śniadania postanowił, że musi poznać dzieje tego, co leżało pod owymi

miliardami ton gruzu. Musi istnieć jakiś sposób uzyskania dostatecznych informacji, aby zrekonstruować wygląd powierzchni tuż przed rozpoczęciem się bombardowania. Nieco później, wróciwszy do laboratorium, postawił to pytanie Steinfieldowi.

Profesor zdecydowanie pokręcił głową.

– Przez ponad rok próbowaliśmy uzyskać taki obraz. Pracowało nad tym dwunastu programistów. Nie dali rady. Tam jest zbyt wielki bałagan, wszystko przeorane. Z komputera uzyskuje się same bzdury.

– Ale chociaż częściowy obraz? – upierał się Hunt. – Czy nie istnieje żaden sposób, by uzyskać mapę warstwicową, ukazującą tylko rozkład źródeł promieniowania bezpośrednio przed bombardowaniem?

– Tego też próbowaliśmy. Owszem, uzyskuje się w pewnym stopniu rozkład prawdopodobieństwa. Ale nie ma sposobu, aby określić, gdzie się znajdowała każda poszczególna próbka w chwili, gdy została napromieniowana. Siły uderowe były w stanie odrzucać je daleko; a całe ich mnóstwo mogło być przerzucane wiele razy przez kolejne zderzenia. Nikt jeszcze nie skonstruował komputera zdolnego rozwikłać tę całą entropię. Przeczy temu drugie prawo termodynamiki; a gdyby nawet taki zbudować, to w ogóle nie byłby komputerem... byłby lodówką.

– A badania składu chemicznego? Jakie są dostępne techniki, pozwalające ustalić, gdzie znajdowały się kraterzy przed bombardowaniem? Czy nie można wykryć ich widm na tysiąc stóp poniżej powierzchni?

– Nie ma sposobu!

– Musi być jakaś metoda umożliwiająca zrekonstruowanie powierzchni.

– Czy próbował pan kiedyś odtworzyć krowę z ładunku ciężarówki z hamburgerami?

Dyskutowali o tym jeszcze przez dwa dni i długo w nocy w mieszkaniu Steinfielda i w hotelu u Hunta. Hunt powiedział profesorowi, do czego potrzebuje tych informacji. Steinfield skomentował to stwierdzeniem, że Hunt ma fioła. Aż wreszcie pewnego ranka, gdy wrócili do laboratorium, Hunt zawołał:

– Osobliwości po stronie przyziemskiej!

– Hę?

– Te kraterzy po naszej stronie, które datowane są na okres huraganu. Niektóre z nich mogą pochodzić z samego jego początku.

– I co?

– Nie zostały pogrzebane, jak pierwsze kraterzy po tamtej stronie. Są nienaruszone.

– Oczywiście... ale nie dowie się pan z nich niczego nowego. Są wynikiem niedawnych uderów, tak samo jak wszystko, co znajduje się po tamtej stronie.

– Powiedział pan, że niektóre z nich wykazują anomalie radiacyjne. Właśnie o tym chciałbym się więcej dowiedzieć.

– Ale nikt i nigdy nie napotkał żadnego śladu tego, o czym pan mówi.

– Być może nie szukano tego, co trzeba. Nigdy nie było po temu powodów.

Wydział fizyki miał obszerną kolekcję próbek skał księżycowych. Znaczna ich część pochodziła z wnętrza i okolic młodych, anomalnych kraterów po stronie przyziemskiej. Pod nieustającym naciskiem Hunta Steinfield zgodził się na przeprowadzenie specjalnie zaprojektowanej serii doświadczeń. Oceniał, że zajmie to cały miesiąc.

Hunt powrócił do Houston, by odrobić zaległości, a w miesiąc później poleciał znów do Omaha. W wyniku doświadczeń Steinfielda komputer wygenerował serię map ukazujących anomalne kraterory po stronie przyziemskiej. Na owych mapach kraterory dzieliły się na dwie kategorie: mające charakterystyczne cechy napromieniowania i nie mające ich.

– I jeszcze coś – poinformował go Steinfield. – Te z pierwszej kategorii pokazanej na mapie wykazują jeszcze pewną cechę, której nie stwierdza się w kraterach kategorii drugiej: szkła w ich centrach zostały uformowane wskutek innego procesu. A więc teraz mamy także anomalne anomalie po tej stronie!

Hunt spędził w Omaha tydzień, a stamtąd udał się wprost do Waszyngtonu, by porozmawiać z grupą rządowych naukowców oraz przestudiować archiwa ministerstwa, które przestało istnieć ponad piętnaście lat temu. Następnie znów wrócił do Omaha i pokazał Steinfieldowi swoje odkrycia. Steinfield przekonał władze uniwersyteckie, by pozwoliły wybrane próbki ze swej kolekcji wypożyczyć Laboratorium Mineralogii i Petrografii SKNZ w Pasadenie, Kalifornia, do dalszych doświadczeń skrajnie specjalistycznego typu. Tylko w niewielu instytucjach na Ziemi istniały potrzebne do tego urządzenia.

Bezpośrednim skutkiem owych eksperymentów było wydanie przez Caldwell'a dyrektywy o najwyższym priorytecie adresowanej do baz SKNZ w Tycho, Mare Crisium oraz kilku innych miejsc na Księżycu, aby przeprowadzono pewne szczególne badania w okolicy niektórych wybranych kraterów. W miesiąc później zaczęły przybywać do Houston pierwsze próbki, które natychmiast przesyłano do Pasadeny. Podobnie postąpiono z wielką liczbą próbek, zebranych z miejsc leżących głęboko pod powierzchnią strony odziemskiej.

Ostateczne wyniki całej tej działalności zostały streszczone w memorandum opatrzonym pieczęcią: TAJNE, a sporządzonym w rocznicę przybycia Hunta do Houston.

9 września 2028 roku

Do G. Caldwell'a

Dyrektora Naczelnego

Oddziału Nawigacji i Transportu

Od Dr. V. Hunta

Szefa Sekcji

Grupa do Specjalnych Zadań L.

ANOMALIE KRATERÓW KSIĘŻYCOWYCH

(1) ANOMALIE WYSTĘPUJĄCE NA PÓLKULACH

Od wielu lat wiadome było, że istnieją podstawowe różnice obejmujące istotę i pochodzenie formacji powierzchniowych po przyziemskiej i odziemskiej stronie Księżyca,

(a) Strona przyziemska:

Pierwotna powierzchnia księżycowa istnieje od 4 miliardów lat. Niemal wszystkie kratery powierzchniowe powstały pod wpływem wybuchowego wyzwolenia energii kinetycznej wskutek uderzeń meteorytowych. Niektóre młodsze, np. Kopernik, liczą 850 milionów lat.

(b) Strona odziemska:

Powierzchnia składa się z wielkiej masy niedawno dodanego materiału sięgającego w głąb średnio około 300 metrów. Kratery zostały uformowane podczas końcowej fazy tego bombardowania. Datowanie tych wydarzeń zbiega się z obecnością Lunarian. Pochodzenie bombardowania niepewne.

(2) ANOMALIE NA STRONIE PRZYZIEMSKIEJ

Wiadomo od około ostatnich trzydziestu lat, że niektóre kratery po stronie przyziemskiej datują się z tego samego okresu co po odziemskiej. Aktualna teoria przypisuje ich powstanie zabłąkanym meteorytom, które zostały przeniesione podczas bombardowania tamtej strony.

(3) WNIOSKI Z OSTATNICH BADAŃ W OMAHA W PASADENIE

Wszystkie anomalie po stronie przyziemskiej dotychczas przypisywano uderzeniom meteorytowym. To mniemanie można już uznać za błędne. Wyróżniono obecnie dwa rodzaje anomalii:

(a) Anomalie grupy I

Stwierdzono, iż są skutkiem uderzeń meteorytowych, które wydarzyły się 50 tysięcy lat temu.

(b) Anomalie grupy II

Różnią się od grupy sposobem napromieniowania, tworzenia szkieł, brakiem potwierdzenia śladów uderzenia oraz pozytywnymi wynikami analiz na obecność następujących pierwiastków: *hyperium*, *bonnevilleum*, *genevium*. Przykład: krater z Katalogu Księżycowego, oznaczony jako MB 3076/K2/E, dotychczas zaklasyfikowany jako meteorytowy. Klasyfikacja błędna. Krater MB 3076/K2/E jest wynikiem eksplozji bomby nukleonowej. Inne przypadki potwierdzone. Badania w toku.

(4) PODPOWIERZCHNIA STRONY ODZIEMSKIEJ

Intensywne próbkowania głębinowe, przybliżone do pierwotnej skorupy, wskazują na dywanowe eksplozje nukleonowe przed bombardowaniem meteorytowym. Przypuszcza się również wystąpienie reakcji termonuklearnych i rozszczepieniowych, ale jest to niemożliwe do potwierdzenia.

(5) IMPLIKACJE LOGICZNE

(a) Nowoczesne rodzaje uzbrojenia były w użyciu na Księżycu podczas obecności Lunarian lub blisko tego okresu – głównie po stronie odziemskiej. Udział w tym Lunarian jest logiczny, lecz nie udowodniony.

(b) Jeśli Lunarianie brali udział, istnieje możliwość szerszego konfliktu, który objął planetę ojczystą Lunarian. Prawdopodobna przyczyna wyginięcia Lunarian.

(c) Charlie nie był członkiem małej, izolowanej wyprawy na nasz Księżyc, lecz większej grupy. Wskazuje to na dość liczną obecność Lunarian na Księżycu. Główne skupisko po stronie odziemskiej. Wszelkie ich ślady starte huraganem meteorytowym.

Rozdział dwunasty

Artykuł na czołówce „New York Timesa”, 14 października 2028 roku:

PLANETA LUNARIAN ZLOKALIZOWANA

Czy wojna jądrowa zniszczyła Minierwę?

„Sensacyjne doniesienie z centrali Sił Kosmicznych NZ w Waszyngtonie, DC nareszcie z całą pewnością zidentyfikowały planetę ojczystą cywilizacji lunariańskiej, o której wiadomo, iż osiągnęła poziom lotów kosmicznych i pięćdziesiąt tysięcy lat temu dotarła do Księżyca Ziemi. Informacje zestawione podczas rocznej intensywnej pracy zespołów naukowców przebywających w Centrali Oddziału Nawigacji i Transportu SKNZ w Houston, Teksas, wskazują w sposób ostateczny, że Lunarianie przybyli z podobnej do Ziemi planety, która niegdyś istniała w naszym systemie słonecznym.

Dziesiąta planeta, nazwana Minierwą od imienia rzymskiej bogini mądrości, istniała, jak obecnie już wiadomo, w odległości około czterystu milionów kilometrów od Słońca, między orbitami Marsa i Jowisza, w miejscu, w którym obecnie znajduje się Pas Asteroidów. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że stanowiła ona centrum cywilizacji lunariańskiej.

W następnym sensacyjnym oświadczeniu rzecznik SKNZ podał, że próbki zebrane niedawno w bazach księżycowych, po badaniach na Uniwersytecie Nebraska oraz w Laboratoriach Mineralogii i Petrografii SKNZ w Pasadenie, Kalifornia, wskazują, że na Księżycu doszło do konfliktu nuklearnego na wielką skalę w okresie, gdy znajdowali się tam Lunarianie. Nie można wykluczyć ewentualności, że Minierwa została zniszczona w powszechnym nuklearnym holokauście na skalę międzyplanetarną.

Bomb nukleonowych użyto w Mare Crisium

Badania przeprowadzone w ostatnich miesiącach na Uniwersytecie Nebraska oraz w Pasadenie dały niezbite dowody, że bomby nukleonowe spowodowały na Księżycu powstanie kraterów, których utworzenie dotychczas przypisywano uderzeniom meteorytów. Podejrzewa się także skutki bomb H i A, ale nie ma na to jeszcze potwierdzenia.

Doktor Saul Steinfield z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Nebraska wyjaśnił: »Od wielu lat wiedzieliśmy, że kratery po odziemskiej stronie Księżyca są o wiele młodsze niż większość

kraterów po stronie przyziemskiej. Wszystkie kratery po tamtej stronie, a także niektóre znajdujące się w części przyziemskiej, pochodzą w przybliżeniu z okresu Lunarian i zawsze uważano je za meteorytowe. Większość z nich, w tym wszystkie po stronie odziemskiej, rzeczywiście mają takie pochodzenie. Obecnie jednak udowodniliśmy, że niektóre po bliższej nam stronie powstały na skutek wybuchu bomb, na przykład kilka na północnym skraju Mare Crisium i parę koło Tycho. Jak dotychczas zidentyfikowaliśmy z całą pewnością dwadzieścia trzy i mamy jeszcze długą listę tych, które musimy zbadać».

Dalsze dowody, zebrane głęboko pod powierzchnią strony odziemskiej, wskazują, że była ona bardziej bombardowana niż bliższa nam. Zniszczenie pierwotnej powierzchni strony odziemskiej przez wielki huragan meteorytowy natychmiast po tych wydarzeniach tłumaczy, czemu dziś znajdują się tam jedynie kratery meteorytowe, i powoduje, że dokładna rekonstrukcja tamtejszych wydarzeń nie wydaje się prawdopodobna. »Dowody na większą aktywność po stronie odziemskiej mają głównie charakter statystyczny – powiedział wczoraj Steinfield. – Nie mamy sposobu na to, by wyliczyć coś dokładniej, na przykład pełną liczbę kraterów, pod tym całym śmietnikiem«.

Nowe odkrycia nie wyjaśniają, czemu huragan meteorytowy nastąpił w owym czasie. Profesor Pierre Guillemont z Obserwatorium Hale skomentował to następująco: »Jasne, że może to mieć związek z ówczesną obecnością Lunarian. Osobiście byłbym zaskoczony, gdyby zgodność dat okazała się tylko zbiegiem okoliczności, choć i to, oczywiście, jest możliwe. W obecnej fazie to pytanie musi pozostać bez odpowiedzi«.

Z czym przybędzie statek Iliada!

Zaskakujące potwierdzenie tego, iż Minerwa rozpadła się, tworząc Pas Asteroidów, otrzymano w przestrzeni kosmicznej. Badania próbek materii asteroidów, przeprowadzone na pokładzie statku kosmicznego Iliada, który piętnaście miesięcy temu został wystrzelony z Księżyca w celu zbadania części Pasa, dowiodły, że wiele asteroidów powstało stosunkowo niedawno. Dane, przekazane radiopromieniem do Centrum Kierowania Wyprawy w Sztabie Oddziału Operacyjnego SKNZ w Galveston w Teksasie, zawierają wyliczenia, które dotyczą okresu wystawienia na promieniowanie kosmiczne oraz statystyki ruchów orbitalnych, i wyznaczają datę rozpadu Minerwy: pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

Naukowcy na Ziemi niecierpliwie wyczekują nadejścia pierwszych materiałów z asteroidów. Ma je przywieźć statek *Iliada*, który powinien przybyć na Księżyc za sześć tygodni.

Pochodzenie Lunarian w dalszym ciągu tajemnicą

Naukowcy nie są zgodni w przypuszczeniach, czy Lunarianie z pewnością pochodzą z Minerwy. Szczegółowe badania ciała Charliego (»Times«, 7 listopada 2027) wykazały, że anatomia lunariańska jest identyczna z ludzką i że nie mogła być wynikiem odrębnego procesu ewolucyjnego. Co do tego wszystkie przyjęte teorie zgadzają się. Natomiast brak

śladów pobytu Lunarian na Ziemi wydaje się wykluczać jakąkolwiek możliwość ich ziemskiego pochodzenia. To właśnie stanowi główną kość niezgody między badaczami.

W udzielonym nam na wyłączność wywiadzie doktor Victor Hunt, urodzony w Wielkiej Brytanii ekspert w dziedzinie nukleoniki, koordynujący z Houston badania nad Lunarianami, wyjaśnił reporterowi »Timesa«, co następuje: »Obecnie wiemy już bardzo dużo o Minerwie. Znamy jej wielkość, masę, klimat, czas obrotu wokół osi i orbitowania wokół Słońca. Zbudowaliśmy już dokładny, prawie dwumetrowy model tej planety, ukazujący wszystkie kontynenty, oceany, rzeki, łańcuchy górskie, miasta i miasteczka. Wiemy też, że była siedliskiem wysoko rozwiniętej cywilizacji. Dowiedzieliśmy się mnóstwo rzeczy o Charliem, znamy nawet miejsce urodzenia wymienione w paru jego dokumentach osobistych; jest to miasto łatwe do zidentyfikowania na Minerwie. Ale to niewiele dowodzi. Mój zastępca urodził się w Japonii, lecz oboje jego rodzice pochodzą z Brooklynu. Dopóki więc nie dowiemy się o wiele więcej, nie możemy nawet z całą pewnością twierdzić, że cywilizacja Minerwy i cywilizacja Lunarian to jedna i ta sama cywilizacja.

Jest możliwe, że Lunarianie pochodzą z Ziemi, i albo zamieszkali na Minerwie, albo spotkali się z inną rasą, która już tam zamieszkiwała. Być może Lunarianie pochodzą z Minerwy. Tego po prostu nie wiemy. Bez względu na to, którą możliwość się wybierze, napotyka się problemy«.

Obce morskie istoty pochodzą z Minerwy

Profesor Christian Danchecker, wybitny biolog z Instytutu Biologicznego Westwood, Houston, również od samego początku biorący udział w badaniach lunariańskich, potwierdził, że pozaziemski gatunek ryb, odkryty w składnicy żywności w ruinach bazy Lunarian na odziemskiej stronie Księżyca kilka miesięcy temu (»Times«, 6 lipca 2028), ma cechy istoty pochodzącej z Minerwy. Oznaczenia na pojemnikach, w których ryby były przechowywane, wskazują, że pochodziły one ze ściśle określonej grupy równikowych wysp na Minerwie. Wedle profesora Dancheckera »nie ma najmniejszej wątpliwości, że ten gatunek ewoluował na innej niż Ziemia planecie. Jasne jest, iż te ryby należą do linii ewolucyjnej, która rozwijała się na Minerwie, i że były złowione przez członków grupy kolonistów z Ziemi, którzy tam postanowili przedłużyć swą cywilizację«.

Sugestię, że również Lunarianie mogli pochodzić z Minerwy, profesor określił jako »bzdurną«.

Dlatego też, pomimo bogactwa nowych informacji na ten temat, wiele pozostaje do wyjaśnienia w związku z niedawnymi wydarzeniami w systemie słonecznym. Z całą pewnością w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy dowiemy się o dalszych emocjonujących wydarzeniach.

(Patrz też na s. 14: Specjalny Dodatek naszego Redaktora Działu Naukowego)».

Rozdział trzynasty

Kapitan Hew Mills z Sił Kosmicznych NZ, obecnie przydzielony do wyprawy na księżyc Jowisza w ramach Programu Badań Systemu Słonecznego, spoglądał przez przezroczystą ścianę kopuły wieńczącej dwupiętrowy budynek Kierownictwa Operacji Terenowych. Budynek stał tuż na skraju lodu, na kamienistym pagórku, wznoszącym się ponad chaotyczne skupisko kopuł, pojazdów, bud i zbiorników, które miały tworzyć dowodzoną przez niego bazę. W mętym, szarym tle wokół bazy niewyraźne cienie skalnych skarp i lodowych urwisk pojawiały się i ginęły wśród posępnych, ruchomych oparów metanowo-amoniakalnej mgły. Choć kapitan odznaczał się wyższą od przeciętnej odpornością psychiczną i miał za sobą lata surowego treningu, gdy pomyślał o cienkiej potrójnej ścianie kopuły – jedynej rzeczy, która oddzielała go od wrogiego, trującego, obcego świata, tak zimnego, że w parę sekund mógł go zmrozić na bryłę czarną jak węgiel i kruchą jak szkło – mimowolny dreszcz przeleciał mu po plecach. Pomyślał, że Ganimedes, największy z księżyców Jowisza, jest okropnym miejscem.

– Radary naprowadzające w kontakcie. Sekwencja lądowania w toku. Przewidywany czas lądowania: trzy minuty, pięćdziesiąt sekund. – Głos dyżurnego kontrolera, który siedział przy jednej z konsol za plecami Millsa, przerwał jego zamyślenie.

– Bardzo dobrze, poruczniku – potwierdził odbiór. – Czy macie kontakt z Cameronem?

– Kanał otwarty na trzecim ekranie, sir.

Mills przeszedł do konsoli pomocniczej. Na ekranie widać było puste krzesło, za nim zaś pokój kierownictwa na dole. Nacisnął guzik wezwania i po paru sekundach w polu widzenia pojawiła się twarz porucznika Camerona.

– Grube ryby mają się pojawić za trzy minuty – powiadomił go Mills. – Wszystko okay?

– Wygląda w porządku, sir.

Mills wrócił na miejsce przy ścianie kopuły i z zadowoleniem zauważył, że trzy pojazdy gąsienicowe ustawiają się w linii, aby utworzyć szyk powitalny. Upływały minuty.

– Sześćdziesiąt sekund – ogłosił dyżurny kontroler. – Krzywa opadania w normie. W każdej chwili wejdą na optyczną.

Ławica mgły nad lądowiskiem w centralnym obszarze bazy pociemniała i powoli zmaterializował się w niej niewyraźny zarys ładownika średniego zasięgu, wynurzającego się z mroku z całkowicie rozłożonymi podporami ładowniczymi, utrzymując równowagę na swych płomieniach wylotowych. Gdy ładownik spoczął na jednej z platform, a jego amortyzatory ugięły się, by wygasić resztę pędu, witające pojazdy ruszyły do przodu. Mills z zadowoleniem kiwnął do siebie głową i opuścił kopułę, schodząc po schodach wiodących na parter.

W dziesięć minut później pierwszy pojazd witający przybyłych zatrzymał się przed budynkiem Kierownictwa Operacji i wysunął rurę komunikacyjną do sprzężenia ze służą powietrzną. Major Stanisław, pułkownik Peters i kilku ich pomocników przeszli do zewnętrznego pomieszczenia wejściowego, gdzie spotkał ich Mills oraz paru innych oficerów. Nastąpiły wzajemne powitania i bez dalszych wstępów cała grupa wspięła się na pierwsze piętro, a stamtąd, podwieszonym przejściem, do przyległej kopuły wzniesionej nad wylotem szybu numer trzy. Labiryntem schodów i kładek dotarli wreszcie do przedsionka służby powietrznej górnego poziomu. Za służą już czekała na nich kapsuła komunikacyjna. Przez następne cztery minuty lecieli w dół, w dół, w głąb lodowej pokrywy Ganimedesa.

Kolejną służą dotarli do przedsionka numer trzy dolnego poziomu. Powietrze wibrowało od brzęku i pulsowania niewidocznych maszyn. Krótki korytarz za przedsionkiem doprowadził ich wreszcie do pomieszczenia kierownictwa dolnego poziomu. Znajdował się tam labirynt konsol i szafek rozdzielczych obsługiwanych przez tuzin pracowników, całkowicie pogrążonych w swych zadaniach. Jedna z dłuższych ścian, zbudowana w całości ze szkła, otwierała panoramiczny widok na prace toczące się na zewnątrz pokoju kierownictwa. Gdy goście ustawili się wzdłuż szyby, aby napawać wzrok rozgrywającym się za nią spektaklem, dołączył do nich porucznik Cameron.

Mieli przed sobą podłogę potężnej katedry, długiej na ponad trzysta metrów, a wysokiej na trzydzieści pięć metrów, wyrąbanej i wytopionej w twardym lodzie. Jej nierówne ściany błyszczały bielą i szarością w blasku niezliczonych lamp łukowych. Podłoga była kłębowiskiem stalowych kładek, dźwigów, suwnic, dźwigarów, przewodów, rur i maszynierii wszelkiego rodzaju. Lewa ściana, ciągnąca się aż do tylnego skraju tunelu, dźwigała na sobie koronkę drabin, rusztowań, kładek i kabin sięgających aż pod sufit. A wśród tego wszystkiego tuziny postaci w niezgrabnych kombinezonach kosmicznych o dużej odporności uwijały się gorączkowo, pracując w atmosferze sprężonego argonu, aby uniknąć jakiegokolwiek ryzyka wybuchu metanu i innych gazów wydzielanych przez stopiony lód. Ale wszyscy mieli oczy wlepione w prawą ścianę tunelu.

Przez niemal całą jego długość wznosiła się od podłogi, zaginając ku górze i do tyłu, potężna, majestatyczna ściana gładkiego czarnego metalu, ginąc z pola widzenia pod dachem jaskini. Była ogromna, a stanowiła tylko część czegoś kolosalnego leżącego na boku. Całość tego cylindra musiała sięgać głęboko w lód poniżej poziomu podłogi. Przy bliższym jego

końcu, koło pomieszczenia kierownictwa, z cylindra wystawało masywne, zagięte skrzydło, rozciągnięte nad ich głowami jak most i ginące w lodzie wysoko po lewej stronie. U podstawy ściany jaskini, gdzie spotykał się lód i metal, w pewnych odstępach ciągnęły się jeden za drugim otwory o średnicy dwóch metrów. Były to wyloty całej sieci tuneli kontrolnych wywierconych wokoło obiektu oraz nad i pod nim.

Był znacznie większy od rakiety Vega. Jak długo tu leżał, pogrzebany pod odwiecznymi pokładami lodu Ganimedesa, nie wiedział nikt. Ale zestawienia wypadkowych wektorów pola, zebranych przez satelity, były jednoznaczne: z całą pewnością znajdowało się tu coś wielkiego i bynajmniej nie złoża rud.

– Człowieeeeku – westchnął Stanisław po długiej chwili zapatrzenia. – Więc to jest to, he?

– To jest wielkie! – dodał, gwizdnawszy, Peters.

Pomocnicy sumiennie podzielili ich uczucia.

Stanisław zwrócił się do Millsa.

– A więc, kapitanie, jest pan gotów na wielką chwilę?

– Tak, sir – potwierdził Mills. Wskazał miejsce odległe o jakieś siedemdziesiąt metrów, gdzie przy ścianie kadłuba skupiła się grupa postaci otoczona różnorodnym sprzętem. Obok nich wycięto w powłoce jakby niewielkie okienka.

– Pierwsze wejście będzie znajdować się tutaj – wyjaśnił kapitan – mniej więcej na śródkręciu. Kadłub zewnętrzny jest dwuwarstwowy; przebito obie warstwy. Za nim znajduje się kadłub wewnętrzny... – Aby w pełni poinformować gości, wskazał ekran, umieszczony obok okna panoramicznego, ukazujący otwór w zbliżeniu. – Wstępne wiercenia wykazały, że tamten jest jednowarstwowy. Zawory wystające z kadłuba wewnętrznego zostały zainstalowane w celu pobrania próbek atmosfery wewnętrznej, nim go otworzymy. Także wnęka za punktem wejścia została napełniona argonem.

Przed przystąpieniem do opisu dalszych szczegółów operacji Mills zwrócił się do Camerona:

– Poruczniku, proszę przeprowadzić końcową kontrolę linii łączności.

– Aye, aye, sir. – Cameron przeszedł do konsoly nadzoru w końcu pokoju i omiół wzrokiem szeregi ekranów.

– Dziura Lodowa do Podziemia. Proszę się zgłosić.

W polu widzenia pojawiła się zamknięta w hełmie twarz komandora Straceya dowodzącego akcją przy kadłubie.

– Sprawdzenie ukończone, połączenie czynne – zameldował. – Stan gotowości do działania.

– Dziura Lodowa do Wylotu Szybu. Zameldować jakoś przekazu.

– Całkowicie wyraźny, wizja i audio – odparł dyżurny kontroler z kopuły wysoko nad nimi.

– Dziura Lodowa do Ganimedesa Głównego – zwrócił się Cameron do trzeciego ekranu, na którym widać było Foster w Bazie Głównej leżącej o siedemset mil na południe.

– Wyraźny.

– Dziura Lodowa do Jowisza Cztery. Proszę zameldować.

– Wszystkie kanały wyraźne, kontrola jakości pozytywna.

Ostatnie potwierdzenie nadeszło na czwartym ekranie od zastępcy szefa ekspedycji, który rozmawiał z centrum w samym sercu długiego na półtora kilometra statku dowodzenia Czwartej Wyprawy Jowiszowej, w tej chwili orbitującego o ponad trzy tysiące kilometrów nad Ganimesem.

– Wszystkie kanały sprawdzone i gotowe do akcji, sir! – zawołał Cameron do Millsa.

– Więc proszę działać, poruczniku.

– Aye, aye, sir.

Cameron przekazał rozkaz Straceyowi. Na zewnątrz, koło kadłuba, niezgrabne postacie ruszyły do działania, posuwając do przodu zawieszoną na suwnicy wiertarkę do kamienia. Skupiona przy oknie grupa w milczeniu śledziła wzrokiem, jak wiertło nieustępliwie wgryza się w wewnętrzną powłokę. Na koniec wiertarkę cofnięto.

– Wstępna penetracja zakończona – poinformował ich głos Straceya. – Wewnątrz nic nie widać.

W godzinę później na odsłoniętym fragmencie metalu pojawił się układ otworów. Gdy zabłysło w nich światło i wpuszczono sondę z kamerą telewizyjną, na ekranie ukazały się urywane obrazy obszernego pomieszczenia zatłoczonego przewodami i mechanizmami. Zaraz potem zespół Straceya zaczął wycinać płaszczyznę palnikami. Mills zaprosił Petersa i Stanisława, by wyszli i naocznie przyjrzeni się operacji. Cała trójka opuściła pomieszczenie kierownictwa, zeszła na niższe piętro, a w kilka minut później, odziana w skafandry, wynurzyła się ze śluzy na podłogę tunelu. Gdy dotarli do otworu, metaliczny prostokąt właśnie odchyłano na bok.

Reflektory potwierdziły ogólne wrażenie, jakie odniesiono na podstawie widoków przez wywiercone otwory. Po ukończeniu wstępnych badań wizualnych wystąpiło dwóch czekających w pogotowiu sierżantów. Do ich tornistrów podłączono linie łączności oraz wręczono im kamery telewizyjne z ciągnącymi się za nimi przewodami, latarki oraz torby z narzędziami i przyrządami. Równocześnie inni członkowie zespołu wyrównywali poszarpane brzegi otworu, oklejając je ochronnym samoprzylepnym plastykiem, aby zapobiec przerwaniu linii. Do otworu opuszczono rozsuwaną aluminiową drabinę, którą w nim umocowano. Pierwszy sierżant, wchodząc, odwrócił się na brzegu otworu, ostrożnie wymacał nogą górny szczebel i wreszcie cal po calu zaczął znikać we wnęce. Gdy stanął na twardym gruncie, podążył za nim drugi.

Przez dwanaście minut gramolili się w mechanicznej dżungli, przeciskając się i obracając w chaosie cieni wywołanych wlewającym się z zewnątrz światłem. Posuwali się powoli; mieli

trudności w odnajdywaniu poziomych płaszczyzn do chodzenia, ponieważ statek, jak się zdawało, leżał na boku. Ale stopa za stopą linie łączności przerywanymi ruchami wsuwały się w ciemność. Wreszcie sierżanci zatrzymali się przed grodzią, która zamykała pomieszczenie od strony dziobu. Ekran zewnętrzny pokazały, że drogę tarasują im drzwi prowadzące do czegoś, co znajdowało się z przodu. Wykonane były ze stalowoszarego metalu i wyglądały na solidne. Były wysokie na ponad trzy metry, a szerokie prawie na półtora metra. W wyniku długiej narady zdecydowano, że nie ma innego wyboru, jak powrót obu sierżantów do wyciętego otworu, by zabrać wiertarki, palniki i wszelkie inne przybory potrzebne, aby od początku zacząć całe wiercenie, oczyszczanie, napełnianie argonem i cięcie. Sądząc z wyglądu drzwi, mogła to być długa robota. Mills, Stanislaw i Peters powrócili do pomieszczenia kierownictwa, przywołali resztę swego towarzystwa i wyjechali na powierzchnię, by zjeść lunch. Wrócili w trzy godziny później.

Za grodzią znajdowała się kolejna maszynownia, równie zagmatwana jak pierwsza, ale jeszcze większa od niej. Znajdowało się tam wiele drzwi, wszystkie pozamykane. Sierżanci na chybił trafił wybrali jedno z nich, nad swymi głowami, a w czasie, gdy zaczęli je przecinać, inni członkowie zespołu weszli do pierwszego i drugiego pomieszczenia, układając tam rolki, aby zmniejszyć opór ciągnących się za nimi kabli, które już zaczynały poważnie utrudniać ruchy. Gdy drzwi zostały przecięte, sierżantów zmienili następni.

Ci posłużyli się drugą drabiną, by wspiąć się przez drzwi. Będąc już za nimi stwierdzili, że stoją na czymś, co zapewne było ścianą długiego korytarza, który prowadził w stronę dziobu statku. Na ekranach zewnętrznych ukazały się szeregi zamkniętych drzwi, znajdujących się pod ich stopami i nad głowami. Od wyciętego w kadłubie wejścia już ponad siedemdziesiąt metrów okablowania znikło we wnętrzu statku.

– Właśnie przechodzimy przez piątą grodz od chwili wkroczenia do korytarza – poinformowali obserwatorów na kanale audio. – Ściany są gładkie i wydają się metaliczne, ale pokrywa je materiał plastyczny, który w wielu miejscach odpada. Podłoga, leżąca z boku, jest czarna i wygląda na elastyczną. W obu ścianach jest masa drzwi, wszystkie takiej samej wielkości jak pierwsze. Niektóre mają...

– Chwileczkę, Joe – odezwał się głos jego towarzysza. – Poświeć wielkim reflektorem prosto w dół... koło twoich nóg. Popatrz, drzwi, na których stoisz, przesuwają się na jedną stronę. Nie są domknięte.

Na ekranie pojawiła się para ciężkich, regulaminowych butów SKNZ, stojących na metalowej płycie pośrodku plamy światła. Buty przesunęły się na jedną stronę i ukazała się czarna luka, szeroka na jakieś trzydzieści centymetrów, ciągnąca się po jednej stronie płyty. Następnie buty zeszły z płyty na bok, podczas gdy ich właściciel, co było widać wyraźnie, badał sytuację.

– Masz rację – oświadczył wreszcie głos Joego. – Sprawdźmy, czy się poruszają.

Ukazała się chaotyczna sekwencja ramion, nóg, ścian, sufitów, jasności i ciemności, w miarę jak podawano sobie z ręki do ręki kamery telewizyjne i lampy, machając nimi wokół. Gdy wreszcie pojawił się stabilny obraz, były na nim grubo odziane ręce napięte nad luką. I na koniec głos:

- Nie ma sposobu. Uwięzły.
- A może by tak lewarem?
- Ano, może. Podrzucić mi go, co?

Nastąpił długi dialog, podczas którego lewar wmanewrowywano na miejsce i rozsuwano. Ześlizgnął się. Przytłumione przekleństwa. Jeszcze jedna próba. I wreszcie:

– Ruszył się! Jazda, dziecino... trochę więcej światła... myślę, że teraz pójdzie... Zobacz, czy możesz tu postawić stopę...

Na monitorach szara płyta z wolna usuwała się z pola widzenia. Pod nią leżała czarna, bezdenna głębia.

– Drzwi są na jakieś trzy czwarte odsunięte – zakomunikował zdyszany głos. – Teraz się zacięły i nie pójda dalej. Rzucimy szybko okiem z góry, a potem musimy wrócić po następną drabinę. Czy ktoś może ją przynieść do drzwi prowadzących w górę, na korytarz?

Kamera zbliżyła się do czarnego jak smoła prostokąta. W parę chwil potem pojawił się krąg światła obejmujący część ściany w głębi. Światło zaczęło się poruszać wewnątrz pomieszczenia, kamera za nim podążyła. Szeregi czegoś, co wyglądało na sprzęt elektroniczny... kanty szafek... nogi mebli... sekcje grodzi – wszystko po kolei wsuwało się w krąg światła.

- W tym końcu jest cała masa luźnego szmelcu... Obleć to trochę światłem...

Ukazał się stos kolorowych cylindrów wielkości, w przybliżeniu, słoików z dżemem... coś podobnego do plecionego pasa leżącego jak węzeł... małe szare pudełko z przyciskami na jednej ze ścian...

– Co to takiego? Daj trochę tu, Jerry... Nie, odrobinę bardziej w lewo. Coś białego. Smuga bieli.

– Jezuuu! Popatrz na to! Jerry, widzisz ty to? Czaszka z wyszczerzonymi zębami wyłaniająca się z plamy niesamowitego, białego światła, przeraziła nawet tych na zewnątrz, w tunelu. Ale oszałamiająca była wielkość całego szkieletu: żaden mężczyzna nie był w stanie pochwalić się taką klatką piersiową jak te masywne kościane koła. Prócz tego nawet najmniej świadomi rzeczy obserwatorzy mogli zauważyć, że kimkolwiek mieli okazać się pasażerowie tego statku, nie byli podobni do ludzi.

Potok danych uchwyconych przez kamerę przeskoczył do preprocesorów w pomieszczeniu kierownictwa dolnego poziomu, a stamtąd kablem na powierzchnię Ganimedesa. Po zakodowaniu przez komputery w budynku Kierownictwa Operacji Miejscowych został przekazany przez wzmacniacze mikrofalowe o siedemset mil dalej, do

Głównej Bazy Ganimedesa, gdzie przywrócono mu pierwotne natężenie i skierowano do orbitującego statku dowodzenia. Tutaj wiadomość wprowadzono do układu złożonego z wymiennika informacji i procesora szeregującego, przekształcono w modulację promienia laserowego wielkiej mocy i skierowano w stronę Ziemi. Przez ponad godzinę dane, z szybkością niemal trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, przemierzały Układ Słoneczny, póki nie wyłowiły ich z próżni czujniki dalekosiężnej stacji przekaźnikowej, stojącej na orbicie okołosłonecznej w odległości kilku milionów kilometrów od Marsa. Miały wówczas mikroskopijny ułamek swej mocy wyjściowej. Retransmitowano je do Stacji Łączności Dalekiego Kosmosu, umieszczonej na stabilnej orbicie Lagrange'a między Ziemią i Księżycem, a na koniec do synchronicznego satelity komunikacyjnego, zawieszono wysoko nad centralnymi Stanami Zjednoczonymi, który wreszcie przekazał je w dół, do stacji naziemnej koło San Antonio. Siecią przewodową dotarł do Kierownictwa Wyprawy SKNZ w Galvestonie, gdzie informację chciwie połknęły komputery Sztabu Oddziału Operacyjnego.

Dotarcie do gigantycznej planety zabrało statkowi dowodzenia Jowisz Cztery aż jedenaście miesięcy. W przeciągu czterech godzin od wydarzenia na Ganimedesie najnowsze informacje zebrane przez wyprawę były już bezpiecznie złożone w bankach danych Sił Kosmicznych NZ.

Rozdział czternasty

Odkrycie gigantycznego statku kosmicznego, zamrożonego pod lodowcami Ganimedesa, było sensacją, ale w pewnym sensie zupełnie nieoczekiwaną. Świat nauki tak czy inaczej musiał uznać fakt, że niegdyś na Minerwie kwitła rozwinięta cywilizacja. A prawdę powiedziawszy, gdyby zaakceptować argumenty ortodoksyjnych ewolucjonistów, to przynajmniej dwie planety – Minerwa i Ziemia – były mniej więcej w tym samym czasie siedzibami wysoko rozwiniętych technicznych cywilizacji. Nie stanowiło więc niespodzianki to, że uporczywe węszenie przez człowieka w całym Układzie Słonecznym musiało doprowadzić do odkrycia większych jeszcze dowodów istnienia jego wcześniejszych mieszkańców. Natomiast za niespodziankę powszechnie uznano oczywiste różnice anatomiczne między Ganimedanami – jak wkrótce zaczęto nazywać istoty znalezione na pokładzie statku – a wspólną postacią Lunarian i ludzi.

W ten sposób, do ciągle nie rozstrzygniętej kwestii, czy Lunarianie i Minerwianie należeli do jednego i tego samego gatunku, dołączyła natychmiast kolejna zagadka: skąd pochodzili Ganimedanie i czy mieli jakikolwiek związek z jednymi i drugimi? Jeden z oszołomionych naukowców z SKNZ podsumował tę sytuację stwierdzając, że nadszedł już czas, aby SKNZ utworzyły Oddział Obcych Cywilizacji w celu uporządkowania tego całego cholernego bajzlu!

Odłam prodancheckerowski szybko zinterpretował nowe wydarzenia jako ostateczne uzasadnienie teorii ewolucji oraz argumentów, jakie w jej obronie przez cały czas wysuwano. Jasne było, że na dwóch planetach Układu Słonecznego mniej więcej w tym samym okresie przeszłości ewoluowało życie rozumne: Ganimedanie na Minerwie, a Lunarianie na Ziemi. Pochodzili z dwóch niezależnych linii i dlatego byli tak różni. Lunariańscy pionierzy zetknęli się z Ganimedanami i osiedlili na Minerwie – dlatego właśnie Charlie tam się urodził. W pewnym momencie wybuchła najostrzejsza walka między obu cywilizacjami; w jej wyniku obie wyginęły, Minerwa zaś została zniszczona. To rozumowanie było spójne, przekonujące i prawdopodobne. Przeciw niemu istniał tylko jeden argument: nigdy nie wykryto najmniejszych nawet śladów cywilizacji Lunarian na Ziemi. Ale był to argument jedyny i z

dnia na dzień stawał się jak gdyby coraz słabszy. Dezerterzy zaczęli opuszczać obóz „nie-mogli-pochodzić-z-Ziemi” całymi stadami, by przyłączyć się do rosnących w siłę legionów Dancheckera. Zyskał on już tyle prestiżu i wiarygodności, iż stało się zupełnie naturalne, że to jego dział przyjmie odpowiedzialność za wstępną ocenę danych napływających z Jowisza.

Pomimo swego wcześniejszego sceptycyzmu Hunt również uznał przypuszczenie za nieodparty argument. Wraz z dużą częścią personelu Grupy L poświęcił wiele czasu na przeszukiwanie wszelkich dostępnych archiwów i zapisków z takich dziedzin, jak archeologia i paleontologia, aby odnaleźć jakąkolwiek wskazówkę, że niegdyś istniała na Ziemi rasa zaawansowana cywilizacyjnie. Zagłębili się nawet w starożytną mitologię i przeczesywali najróżniejsze publikacje pseudonaukowe, by przekonać się, czy cokolwiek da się z nich wyciągnąć na ten temat; coś, co mogłoby potwierdzić albo przynajmniej sugerowałoby działania superistot przeszłości. Ale wyniki zawsze były negatywne.

Gdy toczyły się te wszystkie wypadki, zaczęło się coś dziać tam, gdzie jakiegokolwiek postępy od wielu miesięcy były zahamowane. W kłopoty popadła Lingwistyka. Szczupła zawartość dokumentów znalezionych przy Charliem po prostu nie dostarczała dość informacji, aby dokonać wielkiego przełomu odszyfrowując zupełnie nowy, pozaziemski język. Z dwóch książeczek jedna – ta zawierająca mapy i tablice, a wyglądająca na podręczny kieszonkowy informator – wraz z luźnymi dokumentami została po części przetłumaczona i dostarczyła większości podstawowych danych o Minerwie i całkiem sporo o Charliem. Druga książka zawierała szereg datowanych, odrębnych zapisów, ale pomimo powtarzanych prób uparcie opierała się odszyfrowaniu.

W parę tygodni po otworzeniu podziemnych resztek zniszczonej bazy Lunarian na odziemskiej stronie Księżyca sytuacja zmieniła się dramatycznie. Wśród wyposażenia, odkrytego w tym wykopalisku, znajdował się metalowy bęben, zawierający komplety szklanych płyt, bardzo przypominające magazynki slajdów do rzutnika. Bliższe badanie płyt ujawniło, że istotnie są to slajdy, a każdy z nich zawiera gęsto upakowaną matrycę mikropunktowych obrazów, które pod mikroskopem okazały się stronicami drukowanego tekstu. Skonstruowanie układu lamp i soczewek w celu uzyskania ich projekcji na ekranie było prostym zadaniem i nagle, za jednym zamachem, Lingwistyka stała się właścicielką miniaturowej lunariańskiej biblioteki. W parę miesięcy pojawiły się wyniki.

Don Maddson, szef Sekcji Lingwistyki, poszperawszy w stosach papierów i teczek zasypujących ogromny stół pod lewą ścianą jego biura, wydobyl wreszcie plik spiętych, luźnych kartek maszynopisu i powrócił z nim na swe miejsce za biurkiem.

– W drodze do ciebie jest kopia tego tutaj – powiedział Huntowi siedzącemu w fotelu naprzeciw. – Sam sobie przeczytasz później wszystko i szczegółowo. W tej chwili streszczę tylko ogólny zarys.

– Doskonale – odparł Hunt. – Strzelaj.

– A więc, na początek, wiemy nieco więcej na temat Charliego. Jeden z dokumentów, znalezionych w kieszeni tornistra, wygląda podobnie jak wojskowa książeczka żołdu. Zawiera skrót historii tego, co robił, oraz spis miejsc, gdzie stacjonował... tego rodzaju rzeczy.

– Wojskowa? Więc służył w wojsku?

Maddson pokręcił głową.

– Niezupełnie. Z tego, co zdołaliśmy zrozumieć, oni, w sensie struktury społecznej, nie robili większej różnicy między personelem cywilnym i wojskowym. Wygląda to raczej tak, jakby każdy należał do różnych oddziałów jednej wielkiej organizacji.

– Coś w rodzaju najsłabszego totalitaryzmu?

– Ano, tak to mniej więcej wygląda. Państwo kierowało nieomal wszystkim; dominowało nad wszystkimi rolami życiowymi ludności i wszędzie narzucało twardą dyscyplinę. Trzeba było iść tam, gdzie posyłano, i robić to, co polecono. W większości wypadków oznaczało to przydział do przemysłu, rolnictwa lub sił zbrojnych. Czymkolwiek się zajmowałeś, tak czy inaczej Państwo było twoim szefem. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że wszyscy oni byli zatrudnieni w różnych oddziałach tej samej wielkiej organizacji.

– Okay. A co powiesz na temat zapisów żołdu?

– Charlie urodził się na Minerwie, to już wiemy. Jego rodzice także. Jego ojciec był jakimś operatorem maszyn, matka również pracowała w przemyśle, ale jakie były dokładnie ich specjalności, nie potrafimy określić. Zapisy mówią również, gdzie chodził do szkoły, jak długo, gdzie odbył przeszkolenie wojskowe – wszyscy, jak się zdaje, przechodzili jakiś rodzaj tego przeszkolenia; gdzie wreszcie uczył się elektroniki. Podane są także wszystkie daty.

– A więc był jakimś inżynierem elektronikiem, tak? – zapytał Hunt.

– Jakims. Raczej technikiem utrzymania ruchu niż inżynierem projektantem czy pracownikiem ośrodka rozwojowego. Wygląda na to, że specjalizował się w sprzęcie wojskowym, bo istnieje tam długi spis kolejnych przydziałów do jednostek bojowych. Ostatnia pozycja jest interesująca...

Maddson wybrał arkusz i podał go przez biurko Huntowi.

– To jest przekład ostatniej stronicy z jego listy przydziałów. Ostatni zaś wpis podaje nazwę miejsca, a wraz z nim określenie, które, przetłumaczone dosłownie, oznacza „poza planetą”. Prawdopodobnie jest to określenie miejsca na naszym Księżycu, na który został wysłany.

– Interesujące – zgodził się Hunt. – Wykryliście na jego temat całą masę dodatkowych danych.

– Tak, całkiem nieźle go opukaliśmy. Jeśli przeliczysz ich daty na nasze jednostki czasu, to się dowiesz, że w chwili otrzymania ostatniego przydziału miał około trzydziestu dwu lat. Zresztą to są wszystko drobiazgi, szczegóły sobie wyczytasz. Chciałem ci dać ogólny obraz tego, co uzyskaliśmy na temat jego rodzimej planety. – Maddson przerwał, by zajrzeć do

notatek. Po czym kontynuował: – Minerwa była światem umierającym. W czasie, o którym mówimy, ostatni zimny okres epoki lodowej zbliżał się do swego szczytu. Powiedziano mi, że epoki lodowe są zjawiskiem układowym; Minerwa znajdowała się o wiele dalej od Słońca niż my, więc, jak możesz sobie wyobrazić, sprawy wyglądały tam całkiem niewesoło.

– Wystarczy rzucić okiem na wielkość tamtych czap lodowych – dodał Hunt.

– O, właśnie. I robiło się coraz gorzej. Lunariańscy uczeni wyliczyli, że za mniej niż sto lat obie pokrywy lodowe połączą się i okryją całą planetę. A że, jak można się tego było spodziewać, od wieków studiowali astronomię, to znaczy od wieków przed czasami, w których żył Charlie, wiedzieli więc od dawna, że będzie coraz gorzej, nim się polepszy. Wobec tego już o wiele wcześniej doszli do wniosku, że jedynym wyjściem będzie ucieczka na inną planetę. Cały problem był oczywiście w tym, że od chwili narodzin tego pomysłu przez całe pokolenia nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Odpowiedzi mogły dostarczyć tylko lepiej rozwinięta nauka i lepsza technologia. Stało się to celem całego gatunku, jedyną rzeczą, która się liczyła, dla której trudziły się pokolenia za pokoleniami: osiągnąć taki poziom nauki, aby umożliwiła im dotarcie do miejsca, o którego istnieniu wiedzieli, zanim lód zetrze wszystkich z powierzchni planety.

Maddson wskazał inny stos papierów na rogu biurka.

– Taki był podstawowy cel, który wytyczyło sobie Państwo, a ponieważ stawka była aż tak wysoka, wszystko zostało podporządkowane jego osiągnięciu. Dlatego od urodzenia do śmierci każdy osobnik był podporządkowany wymaganiom Państwa. Ta teza była zawarta we wszystkim, co pisali i co im wbijano do głowy od małości. Te papiery to przekład swego rodzaju katechizmu, którego w szkołach musieli się uczyć na pamięć. Czyta się to tak, jak hitlerowską propagandę z lat trzydziestych. – Przerwał, spoglądając na Hunta w oczekiwaniu.

Hunt zrobił zdziwioną minę. Po chwili się odezwał:

– To mi się nie trzyma kupy. To znaczy, jak mogli poświęcać tyle wysiłku na wynalezienie techniki lotów kosmicznych, jeśli byli kolonistami z Ziemi? Już musieli je znać.

Maddson kiwnął głową z aprobatą.

– Spodziewałem się, że właśnie to powiesz.

– Ale... to jakaś cholernie głupia sprawa.

– Wiem. Wynika z tego logicznie, że mogli ewoluować tylko na Minerwie... Chyba że przybyli z Ziemi, zapomnieli o wszystkim, co wiedzieli, i musieli się uczyć na nowo. Ale to mi wygląda na czyste wariactwo.

– Mnie też. – Hunt zamyślił się na dłuższy czas. Wreszcie z westchnieniem pokręcił głową. – To bez sensu. A poza tym, co tam jeszcze jest?

– A więc mamy ogólny obraz totalnie autorytarnego Państwa, wymagającego od każdej jednostki ślepego posłuszeństwa i kontrolującego mniej więcej wszystko, co żyje. Wszystko wymaga zezwolenia. Są zezwolenia na podróż, zezwolenia na odpoczynek, zezwolenia na dietę chorobową, nawet zezwolenia na prokreację. Wszystkiego brak i wszystko jest

racjonowane za pomocą zezwoleń: żywność, wszelkie towary, paliwo, światło, cokolwiek byś wymyślił. Po to, żeby nikt nie śmiał się wychylić, Państwo posiadało maszynę propagandową, jaka ci się nawet nie marzyła. Sprawę pogarszało jeszcze i to, że na całej planecie straszliwie brakowało jakichkolwiek minerałów. To ich bardzo opóźniało. Pomimo wielkiej koncentracji wysiłków tempo ich rozwoju było zapewne wolniejsze, niż można by sobie wyobrazić. Być może dla nich stuletni termin nie był wcale tak odległy. – Maddson przewrócił kilka kartek, rzucił okiem na kolejną, po czym kontynuował: – A sytuację pogarszało w dodatku to, że mieli wielkie problemy polityczne.

– Dalej.

– Jak dotąd zakładaliśmy, że ich cywilizacja rozwijała się w podobny sposób jak nasza: najpierw plemiona, potem wioski, miasteczka, narody i tak dalej. Wyglądało to rozsądnie. Gdzieś po drodze zaczęli odkrywać różne nauki podobnie jak my. Jak można się było spodziewać, różnym ludziom w różnych miejscach zaczęły świtać te same myśli: na przykład, że powinni dać stamtąd dyla. Gdy te myśli zostały powszechnie zaakceptowane, Lunarianie obliczyli, jak się zdaje, że nie mają dość środków na to, by uciec zdołało więcej niż tylko paru szczęśliwców. Nie było sposobu, aby wydostać stamtąd całą ludność planety.

– Wobec tego zaczęli się o to bić – podsunął Hunt.

– Zgadza się. Wygląda na to, że wyrosła tam cała masa narodów, a wszystkie rzuciły się do wyścigu o przewagę technologiczną, jak również do wyścigu z lodem. Lunarianie stali się rywalami, wobec tego zaczęli między sobą walczyć. A dodatkową przyczyną walki był niedobór minerałów, w szczególności rud metali. – Maddson wskazał mapę Minerwy zawieszoną nad stołem. – Widzisz te kropki na pokrywie lodowej? Większość z nich to połączenia fortecy i miasteczka górniczego. Aby dostać się do złóż, kopali w dół, przez lód, a armia była tam po to, aby zapewnić, że materiał wydobędą.

– I tak wyglądało ich życie. Paskudne typy, co?

– Ano, i to pokolenie za pokoleniem. – Maddson wzruszył ramionami. – Kto wie? Może gdybyśmy szybko zamarzali i nas zmusiłoby to do rozwoju w tym kierunku. Tak czy inaczej sytuacja stała się skomplikowana. Ich problem polegał na konieczności podziału sił i środków równocześnie między dwie różne potrzeby: pierwsza to rozbudowanie technologii umożliwiającej masowe podróże międzyplanetarne, a druga to zbrojenia i utrzymywanie organizacji zbrojnej do ich obrony. Ale przede wszystkim brakowało środków do takiego podziału. No i jak byś rozwiązał taki problem?

Hunt zastanawiał się przez chwilę.

– Mogli współpracować – zaproponował.

– Daj sobie spokój. Oni nie myśleli takimi kategoriami.

– Pozostaje więc tylko jedna możliwa strategia: najpierw zniszczyć przeciwników, a potem skupić wszelkie wysiłki na głównym celu.

Maddson potwierdził energicznym skinieniem.

– I dokładnie to zrobili. Wojna albo stan prawie wojny był dla nich przez całą historię naturalnym trybem życia. Stopniowo mniejsze rybki zostały wyeliminowane aż do okresu, w którym pojawia się Charlie. Pozostały wtedy tylko dwa supermocarstwa, każde panujące nad jedną z dwóch wielkich mas kontynentalnych w pobliżu równika... – Znow wskazał na mapę.

– ...Cerios i Lambia. Z różnych źródeł wiemy, że Charlie był Cerianinem.

– I wszystko było gotowe do ostatecznej rozgrywki.

– Zgadza się. Cała planeta zmieniła się w jedną wielką fortecę-fabrykę. W każdy cal kwadratowy powierzchni były wycelowane wrogie pociski, niebo pełne było orbitujących bomb, które można było rzucić gdziekolwiek. Odnieśliśmy wrażenie, że w porównaniu z naszym wzorcem cywilizacyjnym ich programy zbrojeniowe pochłaniały więcej niż badania nad podróżami kosmicznymi, a także szybciej się rozwijały. – Maddson po raz kolejny wzruszył ramionami. – Reszty możesz się domyślić.

Hunt w zamyśleniu wolno pokiwał głową.

– Wszystko się zgadza – rzekł w zadumie. – Ale i tak było to gigantycznym oszustwem. To znaczy, że nawet gdyby jedna ze stron zwyciężyła, w końcu uciec stamtąd zdołałaby tylko garstka. Przypuszczam, że byłaby to klika rządząca i jej służalcy. Chryste! Nie ma się co dziwić, że potrzebowali dobrej propagandy, oni...

Hunt zamilkł w pół zdania i spojrzął ciekawie na Maddsona.

– Chwileczkę... jest w tym wszystkim jeszcze coś, co się nie zgadza. – Przerwał, by zebrać myśli. – Przecież już znali podróże międzyplanetarne... jakim innym sposobem dostaliby się na nasz Księżyc?

– My też zastanawialiśmy się nad tym – odrzekł Maddson. – Wymyśliliśmy jedynie, że być może oni już sobie wyliczyli, że w końcu muszą udać się na Ziemię. Taki wybór musiał być oczywisty. Może byli zdolni wysłać grupę zwiadowczą do objęcia jej w posiadanie, ale nie mieli jeszcze możliwości masowego transportu. Zapewne byli już bliscy osiągnięcia celu, gdy ich diabli wzięli. Może gdyby w tym momencie połączyli swe siły, zamiast rozpoczynać szaleńczą wojnę, sprawy potoczyłyby się inaczej.

– To wygląda prawdopodobnie – zgodził się Hunt. – Wobec tego Charlie mógł być członkiem wyprawy zwiadowczej wysłanej przodem; tylko że przeciwnicy wpadli na taki sam pomysł i zderzyli się z sobą. A potem zaczęli wybijać dziury w naszym Księżycu. Obrzydliwe.

Zapadło krótkie milczenie.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która mi się tu nie zgadza – powiedział wreszcie Hunt, trąc podbródek.

– Co takiego?

– No, ta opozycja... Lambianie. Wszyscy w Nawtransie w kółko gadają, jak to wojna, która znokautowała Minerwę, toczyła się między kolonistami z Ziemi, a to musiała być paka Charliego, czyli Cerianie, i obcą rasą zamieszkującą Minerwę: Ganimedanami. A

Ganimedanie, według tego co mówisz, to właśnie Lambianie. Przed chwilą stwierdziliśmy, że myśl o przybyciu Cerian z Ziemi nie ma sensu, bo gdyby z niej pochodzili, nie musieliby dopiero zastanawiać się nad tworzeniem możliwości podróży kosmicznych. Oczywiście tego nie możemy być na sto procent pewni, bo mogło się wydarzyć coś niezwykłego, na przykład odcięcie kolonii z jakichś powodów na parę tysięcy lat. Ale przecież nie odnosi się to do Lambian; nie mogli ścigać się z nimi łeb w łeb do wyjścia w kosmos.

– Bo z pewnością już znali loty kosmiczne – dopowiedział za niego Maddson. – Przecież, u licha, znaleźliśmy ich na Ganimesie.

– Właśnie. A ten ich statek to też nie jest jakaś prototypowa konstrukcja. Wiesz, zaczynam dochodzić do wniosku, że kimkolwiek byli Lambianie, nie mogli być Ganimedanami.

– Myślę, że masz rację – zgodził się Maddson. – Ganimedanie byli zupełnie odrębnym biologicznie gatunkiem. Przecież, gdyby byli tym samym, co lambijscy wrogowie Cerian, jakoś by to się musiało odbić w lunariańskich zapisach. Ale tak nie było. Wszystko, co dotychczas zbadaliśmy, wskazuje, że Cerianie i Lambianie to były po prostu dwa narody w ramach tej samej rasy. Na przykład odnaleźliśmy coś, co wygląda na wycinki z ceriańskich gazet. Są tam karykatury polityczne, zawierające postacie Lambian, a te mają na rysunkach kształty ludzkie. To byłoby niemożliwe, gdyby Lambianie w jakikolwiek sposób byli podobni do Ganimedan.

– Wygląda więc, że z wojną Ganimedanie nic wspólnego nie mieli – dokończył Hunt.

– Zgadza się.

– No to więc jak ich wpasować w ten obraz?

Maddson pokazał puste dłonie.

– Na tym ten dowcip polega. Oni w ogóle nie pasują do niczego... W każdym razie, jak dotąd, nie znaleźliśmy w zapisach czegokolwiek, co odnosiłoby się do nich.

– Wobec tego cała sprawa Ganimedan może się okazać absolutnie fałszywym tropem. Myślę o tym, że tylko przypuszczaliśmy, iż pochodzą z Minerwy, ale brakuje jakichkolwiek wskazówek, by tak naprawdę było. Być może z tamtym miejscem nigdy nie mieli nic wspólnego.

– Bardzo prawdopodobne. Ale nie mogę powstrzymać się od myśli, że...

Dyskusję przerwał dzwonek dobiegający z konsoli na biurku Maddsona. Przeprósł i nacisnął guzik przyjęcia rozmowy.

– Cześć, Don – powiedział z ekranu asystent Hunta znajdujący się na górze, w biurach Grupy L. – Czy Vic tam jest? – Mówił podnieconym głosem. Maddson obrócił ekran w stronę Hunta.

– To do ciebie – dodał niepotrzebnie.

– Vic – odezwała się bez żadnych wstępów twarz z ekranu – właśnie widziałem komunikaty o ostatnich badaniach, które nadesłano dwie godziny temu z Jowisza Cztery.

Idzie o ten statek pod lodem i tych wielkich facetów w środku... właśnie zakończono testy na datowanie. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Wygląda, że w całej sprawie Charliego możemy sobie w ogóle dać spokój z Ganimedanami. Vic, jeśli wszystkie liczby mówią prawdę, statek tam leżał przez jakieś dwadzieścia pięć milionów lat!

Rozdział piętnasty

Caldwell podszedł o krok bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się plastikowemu modelowi stojącemu pośrodku jednego z laboratoriów Instytutu Biologicznego Westwood. Danchekker, nim ponownie zabrał głos, zostawił dyrektorowi mnóstwo czasu na zapoznanie się ze szczegółami.

– Naturalnej wielkości kopia szkieletu Ganimedanina – powiedział. – Dwa metry siedemdziesiąt pięć centymetrów! Zbudowany na podstawie danych przetransmitowanych z Jowisza. Pierwsza niewątpliwie pozaziemska forma życia, którą może zbadać człowiek.

Caldwell popatrzył na górujący nad nim szkielet, ściągnął wargi do bezgłośnego gwizdnięcia i obszedłszy model w kółko, wrócił do miejsca, gdzie stał profesor. Hunt zaś, stojąc bez ruchu, po prostu mierzył model wzrokiem od stóp do głów, pogrążony w niemym podziwieniu.

– Ta struktura nie jest w żadnym stopniu spokrewniona z jakimkolwiek i kiedykolwiek badanym na Ziemi zwierzęciem żywym czy wymarłym – poinformował ich Danchekker. Wskazał model gestem. – Istota ta ma wewnętrzny szkielet kostny, postawę wyprostowaną jak każdy dwunóg i głowę u góry, co widać. Ale jeśli nie brać pod uwagę tego rodzaju powierzchniowych podobieństw, oczywiste jest, że pochodzi z całkowicie innej linii ewolucyjnej. Weźmy, jako oczywisty przykład, jej głowę. Układ czaszki w żaden sposób nie da się pogodzić z układem jakiegokolwiek znanego kręgowca. Twarz nie cofnęła się w dolnej części czaszki, jest natomiast długim, skierowanym ku dołowi ryjem, który rozszerza się ku górze, co zapewnia szerokie rozstawienie oczu i uszu. Tylne zaś części czaszki powiększyła się, by zapewnić miejsce rozwijającemu się mózgowi, jak to było i w wypadku człowieka. Ale zamiast przyjąć zaokrąglony zarys, wyduła się do tyłu nad karkiem, aby zrównoważyć wystającą twarz i żuchwę. Spójrzcie też na otwór w czaszce mieszczący się pośrodku czoła. Uważam, że mógł się tam znajdować organ zmysłu, jakiego my nie mamy; być może czujnik podczerwieni odziedziczony po mięsożernym przodku prowadzącym nocny tryb życia. Hunt zbliżył się do Caldwell'a i, stojąc obok niego, wpatrzył się uważnie w barki.

– One też nie są podobne do niczego, z czym miałem kiedykolwiek do czynienia – zauważył. Są jakby zbudowane z... jakichś zachodzących na siebie płyt kostnych. W ogóle niepodobne do naszych.

– Absolutnie – potwierdził Danchecker. – Być może jest to przystosowanie reliktyw zewnętrznej zbroi przodków. Reszta korpusu jest również całkowicie obca. Jak panowie widzą, istnieje kręgosłup z układem żeber poniżej kości łopatkowych, ale dolne żebro, tuż nad jamą brzuszną, rozbudowało się w masywną obręcz kostną, przez której środek przechodzi ku przodowi wspornik przekształcony z wyrostka powiększonego kręgu. Proszę też zauważyć dwa układy mniejszych, połączonych kości po obu bokach obręczy... – Nie omieszkał ich wskazać. – Zapewne odgrywały one rolę wspomagającą oddychanie, wspierając rozszerzanie się przepony. We mnie wzbudzają one podejrzenie, że są to zdegenerowane pozostałości szkieletu dwóch kończyn. Innymi słowy, choć ta istota miała, podobnie jak my, dwie ręce i chodziła na dwóch nogach, któryś z jej odległych przodków musiał mieć trzy pary kończyn, a nie dwie. Już to samo natychmiast wyklucza jakiegokolwiek pokrewieństwo z którymkolwiek kręgowcem naszej planety.

Caldwell zatrzymał się, by z bliska obejrzeć miednicę, która była po prostu grubym rusztem kostnym z układem wsporników; w nim zaś mieściły się stawy biodrowe. Było to zupełnie niepodobne do pochylonej miski mieszczącej się u dołu ludzkiego torsu.

– Musiał także mieć nader szczególne wnętrzości – zauważył.

– Mogło być tak, że organy wewnętrzne raczej utrzymywane były w zawieszeniu na górnej obręczy, a nie podtrzymywane od dołu – rzucił myśl Danchecker. Cofnął się o krok i wskazał ręce i nogi istoty. – I na koniec proszę zwrócić uwagę na kończyny. Obie dolne mają po dwie kości, podobnie jak my; ale ramię i udo różnią się, bo mają również podwojone kości długie. Skutkiem tego musieli mieć o wiele lepszą ruchliwość oraz zdolność do wykonywania całego szeregu ruchów, których istota ludzka w ogóle nie potrafiłaby naśladować. Ręka zaś ma sześć palców, dwa z nich przeciwstawne; w ten sposób ich posiadacz w pełni cieszył się korzyściami płynącymi z tego, że miał dwa kciuki. Dzięki temu mógł, być może, zasznurować sobie obuwie, używając tylko jednej dłoni.

Danchecker zaczekał, aż Caldwell i Hunt przestudiują ku swojemu pełnemu zadowoleniu cały szkielet. Gdy wreszcie znów popatrzyli na niego, podjął temat na nowo.

– Od chwili gdy ustalono, z jakiej epoki pochodzą Ganimedanie, pojawiła się powszechna tendencja do lekceważenia ich, traktowania jak zaledwie przypadkowe znalezisko, nie mające bezpośredniego związku z problemem Lunarian. Uważam, panowie, że obecnie znalazłem się w sytuacji pozwalającej na wykazanie, że w istocie mieli oni bardzo realne powiązanie.

Hunt i Caldwell popatrzyli na niego z oczekiwaniem. Danchecker podszedł do konsoli ekranu przy ścianie pokoju, wprowadził rozkaz i czekał, aż ekran ożyje, ukazując obraz szkieletu ryby. Odwrócił się z zadowoleniem ku swym gościom.

– Co panowie zauważają? – zapytał.

Caldwell posłusznie gapił się na ekran przez parę sekund, Hunt czekał w milczeniu.

– To jakaś dziwna ryba – powiedział wreszcie Caldwell. – Okay... powiedz mi, co to jest.

– Nie jest to oczywiste na pierwszy rzut oka – odparł Danhekker – ale dokładne porównanie pozwala powiązać szkielet tej ryby, kość po kości, ze szkieletem Ganimedanina. Pochodzą z tej samej linii ewolucyjnej.

– To jedna z tych ryb, które znaleziono w bazie Lunarian na odziemskiej stronie Księżyca – odezwał się nagle Hunt.

– Dokładnie, doktorze Hunt. Ryba pochodzi sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat, natomiast szkielet Ganimedanina sprzed dwudziestu pięciu milionów czy coś koło tego. Na podstawie rozważań anatomicznych staje się ewidentne, że te istoty są ze sobą spokrewnione i wywodzą z linii, które odszczepiły się od wspólnie odziedziczonej formy życia, datującej się z bardzo odległej przeszłości. Wynika z tego, że łączy je także miejsce pochodzenia. Wiemy już, że ta ryba rozwinęła się w oceanach Minerwy; wobec tego Ganimedanie także pochodzą z Minerwy. Mamy więc dowód na coś, co dotychczas było tylko spekulacją. Jedynym błędem, który powodował w tym zakresie niepowodzenia naszych założeń, było niedocenianie przedziału czasu między obecnością Ganimedan na Minerwie i Lunarian.

– Okay – zgodził się Caldwell. – Ganimedanie pochodzą z Minerwy, ale żyli tam znacznie wcześniej, niż myśleliśmy. Na czym jednak polega sensacyjna wiadomość i dlaczego wezwaleś nas tutaj?

– Konkluzja sama w sobie jest interesująca i nic więcej – odrzekł Danhekker. – Ale blado wygląda w porównaniu z tym, co nastąpi. Prawdę powiedziawszy – rzucił spojrzenie Huntowi – reszta mówi nam wszystko, czego potrzebujemy, aby całą kwestię rozwiązać raz na zawsze.

Goście popatrzyli na niego z uwagą. Profesor oblizał wargi i kontynuował:

– Statek Ganimedan został już całkowicie otworzony i praktycznie, w efekcie pełnego remanentu, mamy już wszystko, co zawiera. Statek ten został zbudowany do przewożenia wielkich ładunków, a gdy spotkał się ze swym losem na Ganimedesie, był załadowany. To, co na nim znaleziono, stanowi, w mojej ocenie, najsensacyjniejsze odkrycie, jakie zostało kiedykolwiek dokonane w dziedzinie paleontologii i biologii. Otóż, panowie, wśród różnych rzeczy na statku znajdowała się ogromna przesyłka okazów botanicznych i zoologicznych, niektórych w klatkach, innych zakonserwowanych w pojemnikach. Prawdopodobnie był to plon ambitnej ekspedycji naukowej czy czegoś podobnej natury, ale w tej chwili to doprawdy jest bez znaczenia. Natomiast ma znaczenie to, że dysponujemy obecnie kolekcją trofeów zwierzęcych i roślinnych, jakich nigdy dotychczas nie oglądało oko ludzkie: pełnego przekroju licznych form życia, które istniało na Ziemi na przełomie późnego oligocenu i wczesnego miocenu, dwadzieścia pięć milionów lat temu!

Hunt i Caldwell wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Danhekker założył ręce na piersi i czekał.

– Ziemi! – Caldwellowi z trudem udało się wypowiedzieć to słowo. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że ten statek był na Ziemi?

– Nie dostrzegam innego możliwego wytłumaczenia – odparował Danchecker. Bez żadnych wątpliwości statek wiozł w wielkim wyborze gatunki zwierzęce, które pod względem wyglądu identyczne są z gatunkami znanymi od stuleci dzięki ziemskim wykopalskom skamieniałości. Biologowie wyprawy Jowisz Cztery są całkowicie pewni swych wniosków, a na podstawie nadesłanych przez nich informacji nie widzę żadnego powodu, by wątpić w ich opinię. – Danchecker wyciągnął rękę do klawiatury. – Pokażę panom kilka przykładów tego, o czym mówiłem – dodał.

Obraz rybiego szkieletu znikł, zastąpiony wizerunkiem masywnego, bezrogiego, podobnego do nosorożca stworzenia. W tle widać było olbrzymi otwarty pojemnik, z którego zwierzę zapewne wydobyto. Sam zaś pojemnik spoczywał przed czymś, co wyglądało na ścianę lodową; otaczały go kable, łańcuchy i część jakiejś koronki zbudowanej z metalowych wsporników.

– Oto *Baluchitherium*, panowie – poinformował ich Danchecker – lub coś tak go przypominające, że różnica mi umyka.

Zwierzę miał pięć i pół metra wysokości w kłębie, a objętością znacznie prześcigał słonia.

– Jest to dobry przykład Titanoheres, czyli tytanicznych zwierząt, od których roilo się w obu Amerykach w oligocenie, lecz bardzo szybko wymarły.

– Chcesz powiedzieć, że to dzieciątko było żywe, gdy statek się wywalił? – spytał niedowierzająco Caldwell.

Danchecker potrząsnął głową.

– Ten okaz na pewno nie. Jak panowie widzicie, dotarł do nas w tak samo dobrym stanie jak za życia. Wydobyto go z widocznego w tle pojemnika, w którym był zapakowany i zakonserwowany, aby przetrwać długi czas. Na szczęście ten, kto go tam zapakował, był ekspertem. Ale, jak już wspominałem, są na statku klatki i zagrody, w których przewożono żywe okazy. Lecz w chwili, gdy je odkryto, pozostały z nich już tylko szkielety; tak jak i z załogi. W zagrodach znajdowało się sześć sztuk tego właśnie gatunku.

Profesor zmienił obraz, ukazując wizerunek małego czworonoga z długimi, wiotkimi nogami.

– *Mesohippus*... przodek współczesnego konia. Wielkości, w przybliżeniu, psa collie, poruszający się na trójpalczastych stopach, ze środkowym palcem mocno wydłużonym. Oczywisty poprzednik jednokopytnego konia dzisiejszego. Istnieje długa lista podobnych przykładów, a każdy z nich może być natychmiast rozpoznany przez badaczy wczesnych form życia na Ziemi.

Hunt i Caldwell oniemiaли przyglądali się nowemu widokowi. Tym razem obraz przedstawiał coś, co na pierwszy rzut oka przypominało średniej wielkości małpę człekokształtną, spokrewnioną z gibbonem lub szympansem. Ale po bliższym przyjrzeniu się

widać było różnice dzielące ten okaz od szerzej pojętych małp. Czaszka była lżejsza, szczególnie w okolicach żuchwy, gdzie podbródek cofnął się na tyle, że wypadł mniej więcej w linii pionowej z końcem nosa. Ręce były krótsze niż u małp, proporcjonalnie do reszty ciała; klatka piersiowa szersza i bardziej płaska, nogi dłuższe i prostsze. Wielki palec u nogi już utracił przeciwstawność.

Nim przeszedł do dalszej części komentarza, Danchekker pozostawił im mnóstwo czasu na zauważenie tych wszystkich szczegółów.

– Jasne jest, że stworzenie, które macie panowie przed sobą, należy do wielkiej linii hominidów, w której znajduje się zarówno człowiek, jak i małpy człekokształtne. Ale zwróćcie uwagę, iż ten okaz datuje się w przybliżeniu z początków miocenu. Z tego mniej więcej okresu odnaleziono, jak dotąd, na Ziemi, w Afryce Wschodniej, skamieliny najbardziej rozwiniętego z hominidów znanego jako Proconsul. Przyjmuje się powszechnie, że Proconsul wprawdzie stanowi znaczny krok naprzód w porównaniu z formami, które go poprzedziły, ale zdecydowanie jest jeszcze małpą. Tutaj natomiast mamy do czynienia z istotą z tego samego okresu, ale ze znacznie wyraźniejszymi cechami ludzkimi niż Proconsul. Uważam, że jest to okaz czegoś zajmującego pozycję równoległą z Proconsulem, ale już z gałęzi, która oddzieliła się, gdy małpa i człowiek podążyły własnymi drogami. Innymi słowy, jest to bezpośredni przodek hominidów! – zakończył Danchekker swe kwieciste przemówienie i z nadzieją popatrzył na obu gości.

Caldwell odwzajemnił mu się spojrzeniem szeroko otwartych oczu, a gdy nieprawdopodobne myśli zaczęły gonitwę w jego mózgu, opadła mu szczęka.

– Chcesz powiedzieć... że ferajna Charliego... mogła... od tego?

– Tak! – Danchekker jednym pstryknięciem wyłączył ekran i odwrócił się, patrząc na nich triumfalnie. – Przyjęta teoria ewolucji jest tak pewna, jak to zawsze twierdziłem. Zdanie, że Lunarianie mogli być kolonistami z Ziemi, zaiste, okazało się słuszne, ale nie w swoim początkowym sformułowaniu. Na Ziemi nie można odnaleźć żadnych śladów ich egzystencji, bo ich cywilizacja na Ziemi nigdy nie istniała; ale nie byli też wynikiem jakiegokolwiek procesu ewolucji równoległej. Cywilizacja Lunarian rozwinęła się niezależnie na Minerwie, pochodząc od tych samych przodków co my i wszelkie inne ziemskie kręgowce... Od przodków przetransportowanych dwadzieścia pięć milionów lat temu na Minerwę przez Ganimedan! – Danchekker wyzywająco zadarł głowę i chwycił klapy swej marynarki. – I to, doktorze Hunt, wygląda na rozwiązanie pańskiego problemu!

Rozdział szesnasty

Błyskawicznie następujące wypadki w miarę rozwoju pozostawiały za sobą szlak zasypany porzuconymi zwłokami zmarłych pomysłów. Siłą rzeczy musiało to naukowcom przypomnieć, jakie pułapki czekają na nieostrożnych, gdy zbyt popuszcza się cugli spekulacjom, a wyobraźni pozwala się wzbijać coraz to wyżej, ponad twardy grunt obiektywnych dowodów i rygorów nauki. Dlatego też usiłowania Dancheckera, by uznać cały spór za zakończony, spotkały się powszechnie z reakcją chłodniejszą, niż oczekiwano. Do tej chwili zbadano już tyle ślepych uliczek, że wszelkie nowe sugestie natrafiały na instynktownie sceptyczne przyjęcie i żądania dodatkowych dowodów.

Odkrycie wczesnych ziemskich zwierząt na statku Ganimedan dowodziło w sposób ostateczny jednej tylko rzeczy: że na statku Ganimedan znajdowały się wczesne ziemskie zwierzęta. Natomiast nie dowodziło, iż ponad wszelką wątpliwość inne przesyłki bezpiecznie dotarły na Minerwę, a nawet tego, że ten ładunek był dla Minerwy przeznaczony. Przede wszystkim Jowisz wydawał się nader dziwnym miejscem odnalezienia statku, który miał lecieć z Ziemi na Minerwę. Wobec tego uznano, że pewne jest tylko to, iż ładunek nie dotarł tam, gdzie miał dotrzeć.

Natomiast wnioski Dancheckera co do pochodzenia Ganimedan zostały w całości poparte przez komitet ekspertów anatomii porównawczej w Londynie. Potwierdził on pokrewieństwo genetyczne szkieletów Ganimedanina i minerwiańskiej ryby. Ale wniosek z tej dedukcji: że także Lunarianie rozwinęli się na Minerwie z przewiezonego tam z Ziemi rodu hominidów, choć zgrabnie tłumaczył brak śladów po Lunarianach na Ziemi oraz ewidentną nieobecność rozwiniętej lunariańskiej technologii kosmicznej, wymagał o wiele więcej konkretnych dowodów.

Tymczasem Lingwistyka usilnie pracowała nad zastosowaniem wiadomości zaczerpniętych z biblioteki mikropunktów do ostatniej nie rozwiązanej zagadki w papierach Charliego: notesu z jego odręcznymi zapiskami. Zaczęła się z tego wyłaniać relacja w jasny sposób potwierdzająca ogólny obraz – już wydedukowany w chłodnych i obiektywnych słowach przez Hunta i Steinfielda; był to bowiem opis ostatnich dni życia Charliego.

Rewelacje zawarte w pamiętniku okazały się jeszcze jednym intelektualnym granatem, ciśniętym w już i tak pogrążone w zamęcie szeregi badaczy. Ale tym, kto ostatecznie wyciągnął zawleczkę, był Hunt.

Trzymając pod pachą obwolutę z luźnymi kartkami papieru, Hunt spacerowym krokiem podązał głównym korytarzem trzynastego piętra budynku dyrekcji Nawtransu w stronę działu lingwistycznego. Zatrzymał się przed gabinetem Dona Maddsona, aby z zaciekawieniem przyjrzeć się przypiętej do drzwi wywieszce z rządkiem dwucalowych lunariańskich znaków. Wzruszywszy ramionami i potrząsnąwszy głową, wszedł do środka. Maddson z jednym z asystentów siedział przy zasłanym, jak zwykle, stosami papierzysek stole, z dala od biurka. Hunt przyciągnął sobie krzesło i przysiadł się do nich.

– Przejrzałeś tłumaczenia – zauważył Maddson, dostrzegłszy zawartość obwoluty, z której Hunt zaczął wszystko systematycznie wykladać na stół.

Hunt kiwnął głową.

– To bardzo interesujące. Ale jest kilka rzeczy, które chciałbym omówić po prostu po to, by się upewnić, że je dobrze zrozumiałem. Pewne fragmenty zwyczajnie nie trzymają się kupy.

– Powinienem był się tego domyślić – westchnął zrezygnowany Maddson. – Okay, strzelaj.

– Przejdźmy przez te zapisy po kolei – zaproponował Hunt. – Zatrzymam się, gdy dojdę do dziwnych. A nawiasem mówiąc... – tu skłonił głowę w stronę wejścia – co to za zabawny szyld na zewnątrz?

Maddson uśmiechnął się z dumą.

To moje nazwisko po lunariańsku. Dosłownie oznacza: *Uczony Chłopiec-Wariat*. Chwytasz? *Don Mad-Son*.^{*} Rozumiesz?

– O, Chryste – jęknął Hunt. Wrócił do swoich papierów.

– Zapisy lunariańskich dat podałeś po prostu w postaci kolejnych liczb zaczynających się od Dnia Pierwszego, ale te dni zostały podzielone na nasze godziny.

– Zgadza się – potwierdził Maddson. – A także tam, gdzie były wątpliwości co do przekładu, zdanie zostało wzięte w nawias ze znakiem zapytania. To pozwala upraszczać sprawę.

Hunt wyciągnął pierwszy arkusz.

– Okay – powiedział – zacznijmy od początku. – Przeczytał na głos:

– *Dzień Pierwszy. Zgodnie z oczekiwaniami otrzymaliśmy szczegółowe rozkazy (alarmu mobilizacyjnego?). Zapewne oznacza to przeniesienie w jakieś miejsce. Koriel... – Idzie zapewne o kumpla Charliego, o którym jest dalej mowa?*

^{*} Ściśle rzecz biorąc ang. *don* oznacza wykładowcę uniwersyteckiego; urobiony od tego przymiotnik *donnish* to pedantyczny, profesorski. W mowie potocznej określenia „*synek*” i „*chłopiec*” są wymienne, stąd Maddson przetłumaczył ang. *son* na lunariański jako *chłopiec*.

– Słusznie.

– ...uważa, że może to być jedno z (gniazd lodowych przechwytywania dalekiego zasięgu?) – Co to takiego?

– To trudne miejsce – odparł Maddson. – Idzie o słowo złożone; przekład jest dosłowny. Uważamy, że może się odnosić do baterii raketowej, która należała do zewnętrznego skrajów obrony i stacjonowała na pokrywie lodowej.

– Mmm... brzmi prawdopodobnie. Zresztą: – *Mam taką nadzieję. Byłaby to zmiana pozwalająca uciec od monotonii tego miejsca. Większe racje żywnościowe w (strefie frontowej pola lodowego?).* – Ale... – Hunt podniósł wzrok – on mówi „monotonii tego miejsca”. W jakim stopniu jesteście pewni, że wiemy, gdzie „to miejsce” się znajduje?

– Całkowicie – odparł Maddson, zdecydowanie kiwnąwszy głową. – Nazwa miasta jest zapisana na początku, nad datą. Odpowiada nazwie miasta na wybrzeżu morskim na Cerios, a także miejscu wymienionym w jego książeczce żołądka jako przedostatni przydział.

– Więc jesteś pewien, że robiąc ten wpis, znajdował się na Minerwie?

– Tak, jestem pewien.

– Okay. Pominę następny fragment, który dotyczy jego osobistych odczuć.

– *Dzień Drugi. Po raz pierwszy przecucia Koriela nie sprawdziły się. Przenosimy się na Księżyc.*

Hunt znowu podniósł wzrok, oceniwszy to miejsce jako ważne.

– Skąd wiesz, że on tu pisze o Księżycu Ziemi?

– Ano, pierwszym dowodem jest to, że użyte przez niego słowo jest identyczne z wymienionym w jego książeczce żołądka jako ostatni przydział. Uważamy, że jest to Księżyc, ponieważ tam go znaleziono. Jako drugi dowód traktuję jego późniejsze słowa, które musiałeś przeczytać, o skierowaniu do bazy zwanej Seltar. My zaś znaleźliśmy wśród rzeczy odkrytych po tamtej stronie Księżyca wzmiankę o spisie baz w miejscu „X”, a nazwa Seltar znajduje się w tym spisie. „X” jest tym samym słowem, które figuruje w książeczce żołądka oraz w zdaniu przed chwilą przeczytanym. Wniosek: „X” jest lunariańską nazwą Księżyca Ziemi.

Hunt przez chwilę głęboko się namyślał.

– A więc on także przybył do Seltaru, tak? – powiedział na koniec. – Wobec tego, jeśli już tak wcześnie wiedział, dokąd zostaje wysłany, a ty masz pewność, że wysłano go na Księżyc, a on dotarł tam, gdzie miał dotrzeć... to wszystko wyklucza inną możliwość, jaka mi się nasunęła. Czy nie ma szans, by został skierowany na Księżyc, ale w ostatniej chwili przeniesiony gdzie indziej, bez wprowadzania zmian w jego książeczce żołądka? Co? Maddson potrząsnął głową.

– Żadną miarą. A po co ci potrzebny taki obrót spraw?

– Bo szukam sposobu obejścia tego, co następuje potem, a zakrawa na czyste szaleństwo.

Maddson popatrzył pytająco na Hunta, ale powstrzymał się od stawiania pytań. Hunt znów skierował wzrok na papiery.

– Dni Trzeci i Czwarty – nowe komunikaty o walkach na Minerwie. Oczywiście jest, że wybuchły tam działania wojenne na wielką skalę. Wszystko wskazuje, że już użyto broni atomowych... na przykład ten fragment pod koniec Dnia Czwartego: – *Wygląda, że Lambianom udało się splątać (sieci powietrzne?) nad Paverolem...* – to jest ceriańskie miasto, prawda? – *W jednej chwili wyparowała ponad połowa miasta.* – To nie brzmi jak nieduża potyczka. Co to takiego ta sieć powietrzna? Jakiś elektroniczny ekran obronny?

– Zapewne – zgodził się Maddson.

– Dzień Piąty spędził, pomagając w załadunku statków. Sądząc z opisu pojazdów i sprzętu, wygląda, jakby ładowali znaczne siły zbrojne jakiegoś rodzaju. – Hunt szybko przeleciał spojrzeniem po następnej kartce. – A, tak. To jest miejsce, gdzie wymienia on Seltar. – *Jedziemy z Czternastą Brygadą, by dołączyć do stanowiska Anihilatora w Seltarze.* – Z tym Anihilatorem to jakieś wariactwo. Ale wrócimy do tego za chwilę.

– *Dzień Siódmy. Załadowaliśmy się zgodnie z planem cztery godziny temu. Ciągle tu siedzimy. Start opóźniony, ponieważ cały obszar pod ciężkim atakiem raketowym. Wszystkie góry w głębi lądu w ogniu. Podziemne wyrzutnie nietknięte, ale sytuacja nad nami skomplikowana. Nie zneutralizowane satelity lambiańskie w dalszym ciągu śledzą nasz tor lotu.*

Później. Nagle otrzymaliśmy zezwolenie na start i w parę minut cała eskadra odleciała. W ogóle nie zatrzymaliśmy się na orbicie okołoplanetarnej – wciąż niezbyt zdrowej – więc od razu weszliśmy na kurs. Zameldowano stratę dwóch statków w drodze do góry. Koriel przyjmuje zakłady, ile statków z naszej eskadry wyląduje na Księżycu. Lecimy otoczeni szczelnym ekranem obronnym, ale na lambiańskich radarach śledzących musimy być bardzo wyraźnie widoczni. – Dalej jest kawałek o tym, jak Koriel flirtuje z jedną dziewczyną z jednostki łączności... niezły typek z tego Koriela, co...? W drodze otrzymali dalsze komunikaty wojenne... A teraz to miejsce, o którym mówiłem. – Hunt przesunął palcem po kartce i znalazł właściwy fragment.

– *Dzień Ósmy. Wreszcie na orbicie okołoksiężycowej!* – Doktor odłożył arkusz na stół i popatrzył najpierw na jednego lingwistę, potem na drugiego. – Wreszcie na orbicie okołoksiężycowej. A teraz wyjaśnijcie mi, jakim to sposobem statek przebył trasę z Minerwy do naszego Księżycyca w czasie krótszym niż dwa nasze dni? Albo mieli jakiś system napędu, który SKNZ powinny odkryć, albo przez cały czas głęboko myliliśmy się co do lunariańskiej techniki. Ale to się zupełnie nie chce zgodzić. Jeśli potrafili zrobić coś takiego, nie mogli mieć żadnych problemów z lotami kosmicznymi dalekiego zasięgu i znacznie nas wyprzedzali. W to jednak nie wierzę; ze wszystkich danych wynika, że mieli ten problem.

Maddson zrobił gest bezsilności. Sam wiedział, że to jest wariactwo. Hunt popatrzył pytająco na jego asystenta, który tylko skrzywił się i wzruszył ramionami.

– I jesteście pewni, że on ma na myśli orbitę księżycową? Naszego Księżycyca?

– Jesteśmy pewni. – Maddson był pewien.

– I nie ma żadnych wątpliwości co do daty jego startu? – upierał się Hunt.

– Data załadunku jest wstemplowana do jego książeczki żołdu i zgadza się z datą zapisu, w którym Charlie podaje, że odlecieli, i nie zapomnij o sformułowaniu z Dnia... gdzie to jest?... tutaj. *Dzień Siódmy: Załadowaliśmy się zgodnie z planem cztery godziny temu.* Widzisz, „zgodnie z planem”. Nie ma mowy o jakiejś zmianie harmonogramu.

– A w jakim stopniu pewna jest data jego dotarcia do Księżyca? – spytał Hunt.

– No, ustalenie tego było troszeczkę trudniejsze. Po prostu na podstawie dat zapisów. Są one datowane co jeden lunariański dzień, tak jest. Oczywiście możliwe, że on stosował czas minerwiański na Minerwie, ale dotarłszy do Księżyca, przeszedł na jakiś miejscowy system podziału czasu. Jeśli tak jest, to ta zgodność byłaby niesłychanym zbiegiem okoliczności, ale – tu wzruszył ramionami – jest to możliwe. Lecz w tej sprawie najbardziej mnie niepokoi brak jakichkolwiek zapisów od chwili startu do dnia przybycia na Księżyc. Wszystko wskazuje, że Charlie starannie prowadził swój dzienniczek. Jeśli podróż trwałaby całe miesiące, jak twierdzisz, dziwne byłoby to, że między tymi dwiema datami nie zapisał niczego. Bo przecież nie brakowałoby mu wówczas wolnego czasu.

Hunt przez parę chwil zastanawiał się nad wszystkimi możliwościami. Wreszcie się odezwał:

– Ale teraz następują jeszcze gorsze rzeczy. Pośpieszmy się. – Wziął do ręki notatki i kontynuował czytanie: *Wreszcie, przed pięciu godzinami, wylądowaliśmy. (Wykrzyknik zdziwienia) co za bałagan! Gdy zbliżaliśmy się po (trasie lądowania?) cały krajobraz pod nami, wokół całego Seltaru, żarzył się czerwono na całe mile. Jeziora stopionej skały jaskrawopomarańczowe. Do niektórych z nich waliły się pionowo ściany skalne w miejscach, gdzie całe góry zostały zmiecione. Baza jest pokryta grubą warstwą pyłu, a część instalacji zewnętrznych została zniszczona lecącym gruzem skalnym. Obrona trzyma się, ale jej przedni skraj został (zmiażdżony?). Lecz co najważniejsze: (słowo nieczytelne) średnicy talerz Anihilatora jest nietknięty i działa. Ostatnia grupa statków naszej eskadry została zmieciona atakiem nieprzyjacielskim wyprowadzonym z głębokiego kosmosu. Koriel zbiera wygrane ze wszystkich stron.*

Hunt odłożył papier i popatrzył na Maddsona.

– Don – zapytał – ile wiadomości na temat owego Anihilatora zdołałeś poskładać?

– To była jakaś superbroń. W jednym z innych tekstów jest więcej informacji na ten temat. Miały ją obie strony, ulokowaną na Minerwie oraz, jak wynika z tego, co teraz czytasz, także na Księżycu. – Po namyśle dodał: – Może i gdzie indziej.

– Czemu na Księżycu? Masz jakiś pomysł?

– Przypuszczamy, że zarówno Cerianie, jak Lambianie bardziej rozwinęli loty kosmiczne, niż myśleliśmy początkowo – rzekł Maddson. – Być może obie strony wybrały Ziemię jako ostateczny cel wielkiej przeprowadzki i obie wysłały oddziały przednie na Księżyc w celu utworzenia przyczółków oraz... zabezpieczenia inwestycji.

– Więc czemu nie na samą Ziemię?

– Nie mam pojęcia.

– Na razie, tak czy inaczej, trzymajmy się tego – rzekł Hunt. – Ile mamy wiadomości o Anihilatorach?

– Z określenia talerz wynika, że był to jakiś miotacz promieniowania. Z innych wzmianek wynikałoby, że wystrzelili wysokoenergetyczny promień fotonowy, zapewne uzyskany przez intensywną reakcję materia – antymateria. Jeśli tak, to nazwa Anihilator jest szczególnie trafna, ma dwa znaczenia.

Hunt skinął głową.

– Okay. Ja też tak myślałem. Ale teraz już wszystko robi się idiotyczne. – Zajrzał do swych notatek. – Dnia Dziewiątego organizowali się i uzupełniali straty. Ale w takim razie co z Dniem Dziesiątym, he?

Zaczął znów czytać na głos:

– *Dzień Dziesiąty. Dziś Anihilator został użyty po raz pierwszy. Trzy piętnastominutowe uderzenia wycelowane w Calvares, Paneris i Sellidorn.* – To są miasta Lambian, zgadza się? A więc mieli stanowisko Anihilatora, usytuowane na naszym Księżycu, wesolutko wybierającego sobie miasta na powierzchni Minerwy?

– Na to wygląda – zgodził się Maddson. Ale nie miał zupełnie uszczęśliwionej miny.

– No, a ja w to nie wierzę – oświadczył zdecydowanie Hunt. – Nie wierzę, żeby byli zdolni wycelować broń tak dokładnie na taką odległość, a gdyby nawet mogli, nie wierzę, aby potrafili utrzymywać promień tak wąski, by nie spalił całej planety. I nie wierzę, aby gęstość energii na taką odległość mogła być dostatecznie wysoka, by spowodować jakiegokolwiek szkody. – Popatrzył błagalnie na Maddsona. – Chryste, gdyby dysponowali taką techniką, nie próbowaliby udoskonalać podróży międzyplanetarnych... Już by się rozleźli po całej cholernej Galaktyce!

Maddson rozłożył szeroko ręce.

– Ja tylko tłumaczę to, co mówią słowa. A ty obliczaj, co z tego wynika.

– Za chwilę będzie kompletny już idiotyzm – ostrzegł Hunt. – Gdzie to ja byłem przed momentem...?

Kontynuował głośne czytanie opisu pojedynku między Anihilatorem Cerian w Seltarze i ostatnim jeszcze istniejącym stanowiskiem Lambian na Minerwie. Dysponując bronią prowadzącą ogień z głębi kosmosu i trzymającą na muszce całą powierzchnię Minerwy, Cerianie mieli w rękach klucz do wygrania wojny. Dla sił zbrojnych Lambian zniszczenie go miało oczywiście najwyższy priorytet i było najważniejszym celem dla ich własnego Anihilatora na Minerwie. Anihilatory wymagały około godziny ładowania między poszczególnymi strzałami i zapiski Charliego żywo malowały napięcie rosnące w Seltarze w miarę, jak na to czekali wiedząc, że w każdej chwili może ich dosięgnąć uderzenie odwetowe. Wokół bazy bitwa doszła do szaleństwa, gdy lambiańskie naziemne i kosmiczne siły zbrojne

rzuciły na szalę wszystko, by zniszczyć Seltar, nim Anihilator zdoła wystrzelić do swego odległego celu. Umiejętność operowania tą bronią polegała na obliczaniu i wprowadzaniu poprawek na zniekształcenia wywoływane w systemie celowniczym przez nieprzyjacielskie środki odwetowe. W jednym miejscu Charlie opisał skutki bliskiego chybienia promieniem z Minerwy emitowanym przez szesnaście minut. Przez ten czas zdołał on stopić łańcuch górski, o jakieś piętnaście mil od bazy Seltar, wraz z Dwudziestą Drugą oraz Dziewiętnastą Dywizją Pancerną i Czterdziestym Piątym Dywizjonem Rakiet Taktycznych, które tam stacjonowały.

– O, mam – powiedział Hunt, powiewając w powietrzu jednym z arkuszy. – Posłuchajcie tego.

– *Dogodziliśmy im! Cztery minuty temu wystrzeliliśmy skoncentrowany ładunek maksymalnej mocy. Przez głośnik właśnie otrzymaliśmy wiadomość o stuprocentowym trafieniu. Wszyscy śmieją się, poklepują po plecach, niektóre kobiety płaczą z ulgi.*

– To – oświadczył Hunt, z trzaskiem rzucając papiery na stół i osuwając się na krzesło w skrajnej irytacji – to cholerny absurd! W cztery minuty od wystrzelenia otrzymują potwierdzenie trafienia! Jak? W jaki sposób, na litość boską, mogli je dostać? Wiemy, że gdy Minerwa i Ziemia były w maksymalnym zbliżeniu, odległość między nimi wynosiła od dwustu czterdziestu do dwustu sześćdziesięciu milionów kilometrów. Do przebycia takiego dystansu promieniowanie potrzebowałoby około trzynastu minut i musiałoby upłynąć co najmniej drugie trzynaście, zanim ktokolwiek na Księżycu mógł mieć najmniejsze pojęcie, gdzie trafiło. A więc, nawet przy największym zbliżeniu planet, potrzebowałiby przynajmniej dwudziestu sześciu minut, aby otrzymać ten meldunek. A Charlie twierdzi, że nie upłynęły nawet cztery! To jest absolutnie, w stu procentach wykluczone! Don, w jakim stopniu jesteś pewien tych liczb?

– Tak pewien, jak wszelkich innych lunariańskich jednostek czasu. Jeśli zostały błędnie obliczone, możesz sobie podrzeć ów kalendarz, od którego zacząłeś, i cofnąć się do okrągłego zera.

Hunt przez długi czas wpatrywał się w stronicę, jakby czystą siłą skupienia mógł zmienić wiadomość zawartą w porządnie sformatowanych stronicach maszynopisu. Te liczby mogły mieć tylko jedno znaczenie, a z tego wynikało, że muszą zacząć wszystko od początku.

– Następnym kawałkiem opowiada, jak cały obszar Seltaru znalazł się pod długotrwałym ostrzałem. Oddział, w którym znaleźli się Charlie i Koriel, został wysłany na powierzchnię, aby obsadzić wysunięty punkt dowodzenia około jedenastu mil od bazy Seltar... Pominę szczegóły tego wydarzenia... Tak, mam tu kolejny fragment, który mnie niepokoi. Pod datą Dnia Dwunastego.

– *Wyruszyliśmy o czasie niewielkim konwojem, złożonym z dwóch wozów zwiadowczych i trzech ciężarówek gąsienicowych. Podróż była straszna – całe mile osmałonych skał i żarzących się dolów. Czuliśmy gorąco wewnątrz ciężarówki. Mam nadzieję, że osłona wytrzyma. Naszym nowym miejscem jest kopuła, a pod nią poziomy schodzące w dół na jakieś*

piętnaście metrów. Dokola w górach okopane jednostki armii lądowej. Z Seltarem mamy połączenie linią naziemną, ale wygląda, że tam utracili łączność z Kwaterą Główną w Gordzie. Oznacza to prawdopodobnie, że żadna z długodystansowych linii naziemnych nie działa, a nasze satelity komunikacyjne są zniszczone. Znowu nie ma audycji radiowych z Minerwy. Cała masa zniekształconych radiogramów wojskowych. Musieli dostać (pierwszeństwo częstotliwości?). Dziś po raz pierwszy od wielu dni znaleźliśmy się na powierzchni. Twarz Minerwy jest brudna i plamista.

– O to idzie – powiedział Hunt. – Gdy czytałem to po raz pierwszy, sądziłem, że mówi on o transmisji wideo. Ale po zastanowieniu pytam, czy opowiedziałby on to w tym kontekście w taki sposób? Czemu bezpośrednio po słowach „po raz pierwszy od wielu dni na powierzchni”? Przecież stąd nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów na Minerwie, prawda?

– Mógł się posłużyć całkiem zwyczajnym teleskopem – podsunął asystent Maddsona.

– Przypuszczam, że mógł – zgodził się Hunt. – Ale można sądzić, że w takiej sytuacji miałby większe zmartwienia niż zabawianie się w astronoma. Zresztą on kontynuuje:

– Około dwóch trzecich jej powierzchni zasłonięte ogromnymi brązowymi i szarymi chmurami. Linie brzegowe widoczne tylko w niektórych miejscach. Przez chmury prześwieca dziwny czerwony punkt, gdzieś tuż na północ od równika, a stamtąd godzina po godzinie rozszerza się czerń. Koriel uważa, że jest to płonące miasto, ale pożar musiałby być straszliwy, aby widać go było przez to wszystko. Patrzyliśmy na niego podczas obrotu Minerwy, przez cały dzień. Potężne eksplozje za urwiskiem, gdzie znajduje się baza Seltar.

Charlie kontynuował opowiadanie aż do potwierdzenia, że Seltar został całkowicie zniszczony, gdy bitwa osiągnęła swój punkt szczytowy. Przez dwa dni cały ich teren był systematycznie bombardowany, ale cudownym zrzędzeniem część podziemna pozostała nie tknięta, choć górne poziomy zostały zmiecione. Następnie resztki rozbitych jednostek, stacjonujących na okolicznych wzgórzach, zaczęły się wycofywać, niektóre w pojazdach, a wiele pieszo w stronę kopuły, która była teraz na obszarze całych mil jedynym nadającym się do zamieszkania miejscem.

Oczekiwane fale zwycięskich lambiańskich transporterów i kolumn pancernych nie pojawiły się. Wnioskując z regularności padających salw, ceriańscy oficerowie z wolna zdali sobie sprawę, że z nieprzyjacielskiej armii, posuwającej się przez góry otaczające Seltar, nie pozostało nic. W bitwie z obroną ceriańską Lambianie odnieśli niebywałe straty, a ci, co przeżyli, wycofali się, pozostawiając baterie raketowe zaprogramowane na ogień automatyczny, aby osłonić odwrót.

Dnia Piętnastego Charlie zapisał: – *Na Minerwie dwa nowe czerwone punkty, jeden na północny wschód od pierwszego, drugi daleko na południu. Pierwszy wydłużył się z północnego zachodu na południowy wschód. Cała powierzchnia planety jest już tylko masą*

brudnego brązu pomieszaną z ogromnymi obszarami czerni. Żadnych wiadomości z Minerwy przez radio ani wideo; słycać tylko zakłócenia atmosferyczne.

W Seltarze nie było już nic do roboty. Nadające się do zamieszkania części tego, co przedtem było kopułą, były zatłoczone rannymi i uciekinierami; już i tak wielu musiało zamieszkać w różnych pojazdach stłoczonych wokół niej. Zapasy żywności i tlenu, nie obliczone na więcej niż mały oddziałek, zapewniały tylko krótką zwłokę. Jediną nadzieją, choćby i nikłą, było dotarcie po powierzchni do Bazy Kwatery Głównej w Gordzie; podróż, którą oceniono na dwadzieścia dni.

Dnia Osiemnastego Charlie opisał wyruszenie z kopuły następującymi słowami:

– Sformowaliśmy dwie kolumny pojazdów. Nasze wyruszyły pół godziny wcześniej, jako mały oddział zwiadowczy przed główną grupą. Dotarliśmy do urwiska o jakieś trzy mile od kopuły i stamtąd ujrzelśmy, jak główna kolumna kończy załadunek i ustawia się w szyku. A wtedy uderzyły rakiety. Pierwsza salwa trafiła ich na otwartym terenie. Nie mieli najmniejszych szans. Przez krótką chwilę nastawiliśmy odbiorniki na ten obszar, ale nic nie usłyszeliśmy. Jedinym sposobem wydostania się z tego śmiertelnego kotła było dotarcie do statków pozostawionych w Gardzie, jeśli jeszcze się tam znajdują. O ile wiem, pozostało nas trzystu czterdziestu, w tym ponad sto dziewcząt. Kolumna składa się obecnie z pięciu wozów zwiadowczych, ośmiu ciężarówek gąsienicowych i dziesięciu ciężkich czołgów. Będzie to ponura podróż. Nawet Koriel nie przyjmuje zakładów, ilu tam się przedostanie.

Minerwa jest już tylko czarną dymiącą kulą, trudną do odróżnienia na tle nieba. Dwie z czerwonych plam połączyły się, tworząc linię biegnącą pod kątem do równika. Muszą mieć setki mil długości. Na północy rośnie druga czerwona linia. Od czasu do czasu, na kilka godzin, ich fragmenty rozpalają się pomarańczowo przez chmury dymu, a potem znowu gasną. Musi tam być całkiem paskudnie.

Kolumna posuwała się powoli przez pustynię osmalonego szarego pyłu. Jej liczebność szybko spadała, gdy rany i choroba popromienna zbierały swoje plony. Dnia Dwudziestego Szóstego natknęli się na siły lądowe Lambian i przez trzy godziny zaciekle walczyli wśród skał i turni. Bitwa skończyła się, gdy pozostałe lambiańskie czołgi wyszły z ukrycia i przypuściły szarżę wprost na pozycję Cerian tylko po to, aby ulec całkowitemu zniszczeniu na przednim skraju obrony, którą stanowiły ceriańskie kobiety prowadzące ogień bezpośredni z laserowych dział. Po bitwie pozostało przy życiu stu sześćdziesięciu pięciu Cerian, ale brakowało pojazdów, by wszystkich zabrać.

Po naradzie oficerowie ceriańscy wypracowali plan kontynuowania podróży skokami. Połowa oddziału miała być przetrucana na odległość pół dnia drogi i pozostawiona tam z jedną ciężarówką do zakwaterowania, natomiast pozostałe pojazdy miały wracać, by zabrać drugą grupę. I tak miało się dziać przez całą drogę do Gordy. Charlie i Koriel znaleźli się w pierwszej grupie przetrucanej do przodu.

– *Dzień Dwudziesty Ósmy. Jazda bez wydarzeń. Rozbiliśmy obóz w cienistym wąwozie i patrzyliśmy, jak konwój robi w tył zwrot i zaczyna długą podróż po pozostałych. Powinni powrócić jutro o tej samej porze. Nie było wiele roboty do tego czasu. Dwóch zmarło podczas jazdy, pozostało więc nas tutaj pięćdziesięciu ośmiu. Na zmianę odpoczywamy i pożywiamy się w ciężarówce. W czasie oczekiwania na naszą kolejkę trzeba się ulokować tak wygodnie między skałami, jak się potrafi. Koriel jest wściekły. Właśnie spędził dwie godziny, siedząc na zewnątrz z czterema dziewczynami z artylerii. Twierdzi, że ten, kto zaprojektował skafandry kosmiczne, powinien był pomyśleć o podobnych sytuacjach.*

Konwój już nie powrócił.

Posługując się jedyną pozostałą ciężarówką, oddział stosował w dalszym ciągu tę samą taktykę: przewoził jedną grupę naprzód, pozostawiał ją i wracał po resztę. Dnia Trzydziestego Trzeciego choroby, nieszczęśliwe wypadki i jedno samobójstwo zredukowały ich liczbę w takim stopniu, że zaprzestano stosować skoki, gdyż wszyscy, którzy przeżyli, mogli już być równocześnie przewożeni ciężarówką. Oceniali, że jadąc bez przerwy, powinni dotrzeć do Gordy w Dniu Trzydziestym Ósmym. Ale Dnia Trzydziestego Siódmego ciężarówka zepsuła się. Potrzebnych do naprawy części zamiennych nie mieli.

Wielu osłabło. Stało się jasne, że próba dotarcia do Gordy piechotą będzie się ciągnęła tak długo, że nikt jej nie podola.

– *Dzień Trzydziesty Siódmy. Siedmioro z nas – czterech mężczyzn (ja, Koriel i dwóch szeregowców z oddziałów szturmowych) oraz trzy dziewczyny – mamy przelecieć się do Gordy, podczas gdy inni pozostaną w ciężarówce i czekają na oddział ratowniczy. Nim wyruszyliśmy, Koriel ugotował posiłek. Opowiadał, co myśli o życiu w piechocie. Wygląda, że ceni je niezbyt wysoko.*

W kilka godzin po opuszczeniu ciężarówki jeden z szeregowców wspiał się na turnię, by obejrzeć ciągnącą się przed nimi drogę. Poślizgnął się, rozciął skafander i zmarł w jednej chwili wskutek wybuchowej dekompresji. Później jedna z dziewczyn zraniła sobie nogę i w miarę nasilania się bólu pozostawała coraz bardziej w tyle. Słońce skłaniało się ku zachodowi i nie było czasu, by opóźnić marsz. Każdy w ich grupie borykał się w myślach z tym samym równaniem: jedno życie czy dwadzieścia osiem? Ale nikt się nie odezwał. Dziewczyna rozwiązała problem za nich; gdy zatrzymali się na odpoczynek, po cichu zamknęła swój zawór powietrza.

– *Dzień Trzydziesty Ósmy. Pozostaliśmy tylko Koriel i ja – jak za dawnych czasów. Szeregowiec nagle zgiął się wpół, wymiotując do wnętrza hełmu. Staliśmy i patrzyliśmy, jak umiera, nie mogąc nic zrobić. W parę godzin później jedna z dziewczyn załamała się i oświadczyła, że nie jest w stanie iść dalej. Druga nalegała, by ją z nią zostawić, póki nie przyślemy pomocy z Gordy. Nie mogliśmy się o to kłócić – były siostrami. Od tej pory upłynęło trochę czasu. Zatrzymaliśmy się na krótką przerwę, jestem u kresu sił. Koriel*

niecierpliwie spaceruje obok i chce, abyśmy ruszyli z miejsca. Ten człowiek ma siłę dwunastu (lwów?).

Później. Wreszcie zatrzymaliśmy się na kilka godzin snu. Jestem pewien, że Koriel jest robotem – tylko idzie naprzód i naprzód. Ludzki czołg. Słońce bardzo nisko na niebie. Musimy dotrzeć do Gordy, nim zapadnie księżycowa noc.

Dzień Trzydziesty Dziewiąty. Obudziłem się w przejmującym zimnie. Musiałem odkręcić ogrzewanie skafandra do maksimum – wciąż jednak nie czuję się dobrze. Myślę, że ogrzewanie zaczyna się psuć. Koriel mówi, że za dużo się martwię. Czas znowu ruszać w drogę. Jestem zupełnie zeszywniały. Poważnie zastanawiam się, czy dam radę. Ale nic na ten temat nie powiedziałem.

Później. Marsz zmienił się w koszmar. Bez przerwy się przewracam. Koriel się upiera, że naszą jedyną szansą jest wydostanie się z wąwozu, w którym jesteśmy, i próba pójścia na skróty przez wysokie urwisko. Udało mi się dotrzeć mniej więcej do połowy rozpadliny prowadzącej na urwisko. Za każdym krokiem wzdłuż rozpadliny widziałem Minerwę, stojącą dokładnie nad środkiem urwiska, całkiem pokrytą ranami oranżu i czerwieni jak (makabryczna?) twarz drwiąco wykrzywiona. Wtedy zemdlałem. Oprzytomniałem w jakimś próbnym wykopie, do którego zaciągnął mnie Koriel. Być może ktoś chciał tu umieścić wysuniętą placówkę Gordy. Ale od tej pory upłynęło już nieco czasu. Koriel odszedł mówiąc, że ani się obejrzę, jak przyśle pomoc. Robi się coraz zimniej. Nogi bez czucia, ręce sztywne. Wewnątrz helmu zaczyna tworzyć się zamróz – trudno przezeń patrzeć.

Rozmyślam o wszystkich tych ludziach uwięzionych za nami, wśród zapadającej nocy, wszystkich podobnych do mnie, zastanawiających się, czy ktoś po nich przybędzie. Jeśli potrafimy wytrzymać, wszystko będzie dobrze. Koriel to załatwi. Jeśli nawet do Gordy byłoby tysiąc mil, Koriel je przejdzie.

Rozmyślam o tym, co wydarzyło się na Minerwie, i zastanawiam się, czy po tym wszystkim nasze dzieci będą żyły na słonecznej planecie. A jeśli nawet tak się stanie, czy kiedykolwiek dowiedzą się, co myśmy zrobili.

Rozmyślam o sprawach, o których, prawdę powiedziawszy, nigdy jeszcze nie myślałem. Ludzie powinni móc inaczej spędzać życie niż w fabrykach, kopalniach i obozach wojskowych. Ale nie wiem jak – przecież tylko to znaliśmy zawsze. Lecz jeśli w tym wszechświecie jest ciepło, barwy i światło, to może warto było przejść przez to wszystko, przez co przeszliśmy.

Zbyt wiele rozważań na jeden dzień. Teraz muszę się trochę przespać.

Hunt nagle połapał się, że przeczytał do końca cały pamiętnik, pochłonięty patosem tych ostatnich dni. Wreszcie opanował głos. Zapadło długie milczenie.

– I to by było wszystko – zakończył odrobinę weselszym tonem. – Czy zwróciliście uwagę na ten końcowy fragment? W ostatnich liniijkach znowu mówi o oglądaniu powierzchni Minerwy. Otóż wcześniej mogli posługiwać się teleskopami, ale w tej jego

sytuacji trudno przypuszczać, aby ciągnęli ze sobą pół obserwatorium astronomicznego, prawda?

Asystent Maddsona zamyślił się.

– A może to urządzenie wideo w jego helmie? – podsunął. – Może coś jest nie tak z przekładem. Czy on nie wspomina o oglądaniu transmisji przy jego użyciu?

Hunt pokręcił głową.

– Nie wyobrażam sobie. Słyszałem o ludziach oglądających telewizję w najdziwniejszych miejscach, ale nigdy w połowie drogi na szczyt cholernej góry. I jeszcze jedno: on opisuje Minerwę jako stojącą nad urwiskiem. Z tego wynika, że naprawdę tam się znajdowała. Gdyby to był obraz wideo, nigdy by tego tak nie sformułował. Zgadza się, Don?

Maddson kiwnął głową ze zmęczeniem.

– Tak sądzę – powiedział. – No i co zrobimy dalej?

Hunt popatrzył na Maddsona, na asystenta i znów na Maddsona. Oparł się łokciami o krawędź stołu i potarł palcami twarz i oczy. Wreszcie westchnął i wyprostował się na krześle.

– Co wiemy z całą pewnością? – spytał na koniec. – Wiemy, że te lunariańskie statki kosmiczne dotarły do naszego Księżyca w czasie krótszym niż dwa dni. Wiemy, że oni potrafili dokładnie naprowadzić broń, ułożoną na Księżycu, na cel znajdujący się na Minerwie. Wiemy także, że droga, tam i z powrotem, fal elektromagnetycznych była o wiele krótsza, niż z jakimkolwiek prawdopodobieństwem mogła być, gdybyśmy rozmawiali o właściwym miejscu. Wreszcie, nie możemy udowodnić, ale sądzimy, że Charlie, stojąc na naszym Księżycu, mógł całkiem wyraźnie widzieć formacje powierzchniowe Minerwy. Więc co z tego wszystkiego wynika?

– Istnieje tylko jedno miejsce we wszechświecie, które pasuje do tych wszystkich liczb – odezwał się sztywno Maddson.

– Najdokładniej... i my się w nim znajdujemy! Być może poza orbitą Marsa istniała planeta zwana Minerwą i być może istniała na niej cywilizacja. Być może Ganimedanie zabrali stamtąd nieco zwierząt, a być może nie. Ale to już jest bez znaczenia, prawda? Bo jedyną planetą, z której mógł wystartować statek Charliego, i jedyną, na którą mogli wycelować ów Anihilator, oraz jedyną, której szczegóły mógł widzieć z Księżyca... jest ta właśnie!

– Więc jednak oni pochodzili z Ziemi!

– Gdy to się rozejdzie po Nawtransie, wszyscy zaczną skakać z dachów i ze wszystkich okien tego gmachu.

Rozdział siedemnasty

Wraz z ukończeniem pierwszego pełnego tłumaczenia zapisów pamiętnika paradoks stał się całkowity. Teraz już istniały dwa spójne i nieodparte zespoły świadectw. Jeden udowadniał, że Lunarianie musieli rozwinąć się na Ziemi, drugi zaś dowodził, że nie mogli.

Nagle ogólna konsternacja i dyskusja rozgorzały na nowo. Przez całą noc w Houston i w innych miejscach paliły się światła, gdy przewijano znowu i znowu nieodparte łańcuchy dowodzenia, a te same szeregi faktów badano pod kątem nowych możliwości i interpretacji. Ale odpowiedzi zawsze wypadały jednakowo. Wyglądało na to, że tylko mniemanie o tym, iż Lunarianie byli wynikiem równoległej linii ewolucyjnej, zostało całkowicie porzucone. Już zbyt wiele teorii było w obiegu, aby ktokolwiek miał przywoływać jeszcze i tę. Braterski zakon Nawtransu rozpadł się na tysiące klik i odłamów zabiegających o przyłączenie się najpierw do jednej idei, a potem do drugiej. Gdy zamęt ucichnął, ostatecznie linie obronne wybudowano wokół czterech głównych obozów.

Czysto Ziemsy przyjmowali bez żadnych zastrzeżeń wnioski z pamiętnika Charliego i twierdzili, że cywilizacja Lunarian rozwinęła się na Ziemi, kwitła na Ziemi, sama zniszczyła się na Ziemi i koniec. Dlatego wszelkie wzmianki o Minerwie i jej rzekomej cywilizacji to czysty nonsens; nigdy nie było jakiegokolwiek cywilizacji na Minerwie prócz ganimedańskiej, ta zaś istniała w zbyt odległej przeszłości, aby mogło to mieć jakikolwiek związek z problemem Lunarian. Planeta odrysowana na mapach Charliego była Ziemią, a nie Minerwą; wobec tego musiał zostać popełniony gruby błąd w obliczeniach, które lokowały ją czterysta milionów kilometrów od Słońca. Że ta odległość zgadzała się z promieniem średniej orbity Pasa Asteroidów, było czystym zbiegiem okoliczności. Asteroidy zawsze się tam znajdowały, a wszelkie doniesienia ze statku Iliada, że było inaczej, są podejrzane i wymagają ponownego sprawdzenia.

Pozostawało bez odpowiedzi tylko jedno pytanie: czemu mapy Charliego są tak niepodobne do Ziemi? Aby na to odpowiedzieć, Czysto Ziemsy podjęli serię komandoskich rajdów na bastiony przyjętych teorii geologicznych i metod datowania geologicznego. Oparli się na hipotezie, że pierwotnie kontynenty uformowały się z jednej masy granitu,

która została strzaskana pod ciężarem ogromnych czap lodowych i rozepchnięta na części przez lody polarne, które natychmiast zaczęły wypełniać pęknięcia, powoływali się na wielkość czap lodowych ukazanych na mapach i podkreślali, o ile przekraczały one swymi rozmiarami wszystko, co wedle przypuszczeń kiedykolwiek znajdowało się na Ziemi. Wobec tego, jeśli istotnie mapy ukazywały Ziemię, a nie Minerwę, oznaczało to, że epoka lodowa była o wiele surowsza, niż przypuszczano dotychczas, a jej skutki, dostrzegalne na powierzchni Ziemi, musiały być odpowiednio gwałtowniejsze. Jeśli dodać do tego efekty fraktur skorupy i aktywności wulkanicznej, opisywanych w obserwacjach Ziemi Charliego (nie Minerwy), to zapewne wszystko razem wystarczyło, by przekształcić Ziemię Charliego w Ziemię nam współczesną. Wobec tego, czemu dziś nie można znaleźć jakichkolwiek śladów cywilizacji Lunarian? Odpowiedź: z map jasno wynika, że jej większość skupiona była w pasie równikowym. Dziś ten region w całości pokrywają: ocean, gęste dżungle oraz pustynie lotnych piasków, co zupełnie adekwatnie tłumaczy zatarcie wszystkich pozostałości po wojnie i katastrofie klimatycznej.

Odłam Czysto Ziemskich skupiał głównie fizyków i inżynierów, z wielkim zadowoleniem zrzucających na barki geologów i geografów zadręczanie się kłopotliwymi szczegółami. Główną troską tego obozu było to, aby świętej zasady stałej szybkości światła nie wrzucono do hutniczego tygla podejrzeń wraz ze wszystkim innym.

Okopawszy się wokół idei ziemskiego pochodzenia, Czysto Ziemscy obsadzili pozycję, której poprzednio fanatycznie bronili biologowie. Gdy drogę wskazał Danchecker swą koncepcją floty ganimedańskich Ark Noego, biologowie zrobili gwałtowny w tył zwrot i skupili swe siły wokół nowego twierdzenia, iż Minerwianie pochodzą od przeniesionych tam ziemskich przodków. A co z czasem przelotu Charliego na trasie Minerwa – Księżyc i przekazaniem tam i z powrotem wiadomości o skutkach ostrzału z Anihilatora? Obie te sprawy tłumaczą się tym, że coś spieprzono, interpretując jednostki czasu Minerwian. Okay, jak wobec tego Charlie mógł z Księżyca widzieć Minerwę? Transmisja wideo. Okay, jak mogli wycelować Anihilator na taką odległość? Nie mogli. Talerz w Seltarze stanowił tylko stację zdalnego sterowania. Sama broń była zamontowana na satelicie orbitującym wokół Minerwy.

Trzeci sztandar powiewał nad Teorią Odciętej Kolonii. Zgodnie z nią Minerwę skolonizowała wczesna cywilizacja ziemska, która następnie upadając, cofnęła się do Epoki Mroku, podczas której utracono kontakt z kolonią. Później pogarszające się warunki epoki lodowej wymusiły odrodzenie na obu planetach, z tą różnicą, że Minerwa znalazła się w sytuacji śmiertelnego zagrożenia i rozpoczęła walkę o odzyskanie zaginionej wiedzy, aby móc zrealizować powrót na Ziemię. Ale i dla Ziemi nastały ciężkie czasy i gdy strażę przednie z Minerwy wreszcie skontaktowały się z macierzystą cywilizacją, perspektywa dodatkowego żywienia całej ludności drugiej planety nie wywołała przyjaznych reakcji. Dyplomacja zawiodła i Minerwianie zajęli na Księżycu przyczółek w celu inwazji na Ziemię.

Wobec tego Anihilator w Seltarze ostrzeliwał cele na Ziemi; tłumaczy zwiody identyczne nazwy miast na obu planetach. Podobnie jak Boston, Nowy Jork, Cambridge i setki innych miejscowości w Stanach Zjednoczonych zostało nazwanych wedle miast angielskich, tak i wiele nazw na Minerwie powtarzało miana ziemskie z okresu zakładania kolonii.

Obrońcy tych argumentów czerpali pełną garścią z twierdzeń Czysto Ziemskich, by wytłumaczyć brak relikwów lunariańskich na Ziemi. W dodatku dostarczyli na ich poparcie nowych danych zaczerpniętych z zaskakującej dziedziny: badania skamieniałych koralowców Pacyfiku. Od dawna wiadomo, że analiza dziennych pierścieni wzrostowych na starożytnych skamieniałych koralach pozwala zmierzyć, ile w różnych okresach przeszłości mieściło się dni w roku, z tego zaś wyliczyć, jak szybko siły tarć pływowych hamowały obrót Ziemi wokół osi. Te badania ukazały, na przykład, że trzysta pięćdziesiąt milionów lat temu rok miał około czterystu dni. Przed dziesięciu zaś laty prace przeprowadzone przez Instytut Oceanografii imienia Darwina w Australii, przy użyciu subtelniejszych i dokładniejszych technik, ujawniły, iż ciągłość zmian od starożytności do czasów współczesnych nie przebiegała gładko. W niedalekiej przeszłości – około pięćdziesięciu tysięcy lat temu – nastąpił okres zakłóceń, podczas którego krzywa zmian wykazywała nieciągłość i nastąpiło względnie nagle wydłużenie się dnia. Co więcej, stopień zmniejszenia prędkości obrotu Ziemi po tej nieciągłości był wyraźnie większy niż przedtem. Nikt nie wiedział, czemu coś takiego mogło się zdarzyć, ale wszystko wskazywało, że nastąpił wówczas okres gwałtownych katastrof klimatycznych, a koralce potrzebowały całych pokoleń, by wreszcie odzyskać stabilny model przyrostu. Te dane zdawały się wskazywać, że około tego tajemniczego momentu na Ziemi nastąpiły rozległe zmiany, prawdopodobnie z towarzyszeniem potopu globalnego, a biorąc wszystko to pod uwagę, mogło się za tym kryć wystarczająco dużo, by wyjaśnić całkowite zniknięcie wszelkich śladów istnienia Lunarian.

Czwartą główną koncepcją była Teoria Powracających Wygnańców. Uznawała ona wszystkie poprzednie próby wyjaśnienia zniknięcia ziemskich Lunarian za sztuczne i nieadekwatne do rzeczywistości. Podstawowy dogmat owej teorii brzmiał, że istnieje tylko jeden zadowalający powód nieobecności wszelkich śladów Lunarian na Ziemi: nie było na Ziemi żadnych godnych uwagi Lunarian. Wobec tego rozwinęli się na Minerwie, jak to twierdzi Danchecker, i wytworzyli zaawansowaną cywilizację w przeciwieństwie do współczesnych im braci ziemskich, którzy pozostali zacofani. Na koniec, pod naciskiem groźby zniszczenia przez epokę lodową, pojawiły się dwa supermocarstwa – Cerios i Lambia – i rozpoczęły wyścig do Słońca w sposób opisany przez Lingwistykę. Natomiast Lingwistyka pomyliła się, nie zauważywszy, że w epoce opowiadania Charliego wydarzenia te były już historyczne; cel był osiągnięty. Lambianie uzyskali niewielką przewagę i zaczęli budować osiedla na Ziemi, nazwawszy kilka z nich wedle swych miast na Minerwie. Cerianie następowali im na pięty i na Księżycu wybudowali stanowiska strzeleckie, których celem

było zniszczenie wysuniętych placówek Lambian na Ziemi, zanim sami się tam przeprowadzą.

Ta jednak teoria nie wyjaśniała czasu przelotu statku Charliego, lecz jej zwolennicy przypisywali trudność nie znanym różnicom pomiędzy minerwiańskim i lokalnym (księżycowym) systemem datowania. Z drugiej strony wystarczyło, aby w okresie wojny na Ziemi istniało tylko parę pilotowych baz Lambian; wobec tego to, co z nich pozostało po ataku Cerian, mogło w oczywisty sposób zniknąć w przeciągu pięćdziesięciu tysięcy lat.

Gdy w ten sposób wyznaczono linie frontów, a przez korytarze Nawtransu zaczęły ze świstem przelatywać pierwsze próbne pociski, na ziemi niczyjej zasiadł Hunt. Był jakoś przekonany, że wszyscy mają rację. Znał kompetencje otaczających go ludzi i nie miał żadnych wątpliwości, że potrafią dokonywać prawidłowych obliczeń. Jeśli po tygodniach czy miesiącach wytrwałej pracy któryś z nich ogłaszał, że x równa się dwa, Hunt był całkiem gotów zgodzić się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie on wynosił dwa. Wobec tego paradoks musiał być złudzeniem. Próby wyklócania się, która strona ma rację, a która nie, miały się z celem. Gdzieś w tym labiryncie krył się błąd, zapewne tak podstawowy, że nikt nawet nie próbował go zakwestionować – jakieś błędne założenie, wydające się wszystkim taką oczywistością, że nie zdawali sobie sprawy, iż je przyjmują. Gdyby tylko potrafili się cofnąć do podstaw i zidentyfikować ów jeden jedyny błąd, paradoks musiałby zniknąć i wówczas wszystko, co było przedmiotem sporów, gładko połączyłoby się w jedną spójną całość.

Rozdział osiemnasty

– Chcesz, abym poleciał na Jowisza? – powtórzył powoli Hunt, upewniając się, że się nie przesłyszał.

Caldwell popatrzył na niego beznamiętnie zza biurka.

– Piąta Wyprawa Jowiszowa odleci z Księżyca za sześć tygodni – oświadczył. – Danchecker przebadał Charliego tak starannie, jak tylko się dało. Wszelkie pozostałe detale można powierzyć jego personelowi w Westwood. Ma do wykonania ważniejsze i ciekawsze dla siebie prace na Ganimesie. Znajduje się tam cała kolekcja szkieletów oraz pełen ładunek okrętowy zoologii z pradawnych czasów; czegoś takiego nikt jeszcze nie oglądał w historii. To go wzburzyło. Chce na tym położyć ręce. Jowisz Pięć tam się udaje, wobec tego Danchecker zbiera zespół biologów na tę wyprawę.

O tym wszystkim Hunt już wiedział. Pomimo to udał, że zastanawia się głęboko nad nowiną, jakby próbował wykryć w niej jakiś przeoczony szczegół. Po należycie obliczonej przerwie odparł:

– To pięknie... Mogę zrozumieć jego punkt widzenia. Ale co to ma wspólnego ze mną?

Caldwell zmarszczył brwi i zaczął bębnić palcami po biurku, jak gdyby spodziewał się takiego pytania, ale miał nadzieję, że nie zostanie postawione.

– Pomyśl o tym jako o przedłużeniu twego zadania – odezwał się wreszcie. – Sądząc z kłótni, które się tutaj toczą, wszyscy różnią się w poglądach na związek zachodzący między Ganimesami a sprawą Charliego. Być może w nich tkwi większość odpowiedzi na pytania, być może nie. Nikt nie jest pewien.

Hunt skinął głową.

– Prawda.

Caldwell uznał to za całkowitą zgodę, której oczekiwał.

– Okay – oświadczył z gestem kończącym sprawę. – Jeśli idzie o Charliego, zrobiłeś jak dotąd dobrą robotę. Zapewne przyszedł czas na drobne zrównoważenie sprawy i powinieneś mieć możliwość popatrzenia na nią z drugiej strony. Ale – wzruszył ramionami – potrzebne

do tego informacje nie znajdują się tutaj, są na Ganimesesie. Za sześć tygodni Jowisz Pięć wyrusza tam. Wydaje mi się rozsądne, abyś ty z nimi poleciał.

Czoło Hunta ciągle pokrywały głębokie zmarszczki, które miały sygnalizować, że nie wszystko jeszcze rozumie. Zadał oczywiste pytanie.

– A co z moją robotą tutaj?

– Co z nią? Jej istota polega na zestawianiu informacji wpływających z różnych stron. Te informacje będą napływać niezależnie od tego, czy ty będziesz w Houston, czy na pokładzie Jowisza Pięć. Twój asystent na pewno może cię zastąpić, by zapewnić gładki tok rutynowych badań drugoplanowych i korelowanie ich przez Grupę L. Nie ma żadnego powodu, abyś nie był informowany na bieżąco podczas wyprawy. Zresztą zmiana otoczenia nigdy nikomu nie zaszkodziła. A ty siedziałeś na tym stanowisku od półtora roku.

– Ale przecież mówimy o przerwie, która może potrwać wiele lat.

– Niekoniecznie. Jowisz Pięć jest późniejszym modelem niż Jowisz Cztery; do Ganimesesa dotrze szybciej niż w sześć miesięcy. Zresztą z Piątą Wyprawą Jowiszową leci cała grupa statków, by rozpocząć tworzenie floty, która będzie tam stacjonowała. Gdy tylko uzyskamy dostateczną rezerwę, rozpocznie się regularne, dwukierunkowe połączenie z Ziemią. Innymi słowy, gdy tamto miejsce ci się znudzi, wyciągniemy cię bez żadnych trudności.

Huntowi przyszło na myśl, że w obecności Caldwell'a nic nie trwa długo w normalnym stanie. Nie miał ochoty spierać się z tą nową dyrektywą. Wręcz przeciwnie, widoki na przyszłość były podniecające. Ale w uzasadnieniach Caldwell'a coś niezupełnie się zgadzało. Już w czasie poprzednich z nim kontaktów Hunt odnosił to samo wrażenie: że kryją się za tym jakieś głębsze motywy. Lecz to, prawdę powiedziawszy, nie miało znaczenia. Caldwell, co było widoczne, już podjął decyzje, a Hunt z doświadczenia wiedział, że gdy Caldwell je podejmuje, to na mocy jakichś tajemniczych, z góry zapadłych rozstrzygnięć, zawsze są realizowane.

Caldwell jeszcze czekał na ewentualne zarzuty. Widząc jednak, że Hunt nie wysuwa żadnych, zakończył:

– Gdy przystąpiłeś do nas, powiedziałem ci, że twoje miejsce w SKNZ jest przed frontem. To stwierdzenie zawierało w sobie obietnicę. Zawsze dotrzymuję obietnic.

Przez następne dwa tygodnie Hunt gorączkowo pracował, reorganizując działanie Grupy L i podejmując własne przygotowania do długiej nieobecności na Ziemi. Następnie wysłano go na dwa tygodnie do Galvestonu.

W trzeciej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku w każdej przyzwoitej agencji podróży można było sobie zarezerwować prywatny przelot na Księżyc, z miejscem na stałych liniach SKNZ lub na statkach wyczarterowanych z załogą od SKNZ. Przeloty pasażerskie

miały zapewniony komfort, a pomieszczenia w większych bazach księżycowych były bezpieczne. Dzięki temu wyjazdy na Księżyc stały się dla wielu biznesmenów zajęciem rutynowym, a dla niejednego przypadkowego gościa były wydarzeniem godnym pamięci. Podróże te nie wymagały żadnej specjalistycznej wiedzy ani treningu. Nawet pewne przedsiębiorcze konsorcjum, złożone z sieci hoteli, międzynarodowego towarzystwa lotniczego, agencji turystyki oraz korporacji budowlanej, rozpoczęło na Księżycu budowę wczasowiska, i na nadchodzący sezon wszystkie miejsca zostały już zarezerwowane.

Ale obszary takie jak Jowisz nie były jeszcze ogólnodostępne. Osoby odkomenderowane do udziału w wyprawach SKNZ w daleki kosmos musiały wiedzieć, co robią, i jak się zachować w nagłych sytuacjach. Lodowce Ganimedesa i wrzący kocioł Wenus nie były miejscami dla turystów.

W Galvestonie zapoznano Hunta z użytkowaniem skafandrów kosmicznych SKNZ wraz z ich standardowym wyposażeniem pomocniczym; nauczono go posługiwania się urządzeniami łączności, zestawami przeżycia, systemami podtrzymywania życia w nagłych wypadkach oraz zestawami naprawczymi; zdobył umiejętność ich sprawdzania, poznał procedury radiolokacyjne oraz techniki diagnozowania uszkodzeń sprzętu.

– Wasze życie może zależeć od tego pudełeczka – powiedział grupie słuchaczy jeden z instruktorów. Możecie znaleźć się w sytuacji, gdy zawiedzie, a każdy z was może być jedyną w promieniu stu kilometrów osobą, mogącą je naprawić.

Wysłuchali wykładów o podstawach medycyny kosmicznej i zalecanych metodach postępowania w wypadkach głodu tlenowego, udaru cieplnego i hipotermii. Fizjologowie opisywali wpływ długotrwałego zmniejszenia wagi ciała na wapń kostny i wskazywali, jak jego należyty poziom może być utrzymywany dzięki specjalnie opracowanej diecie oraz lekom. Oficerowie SKNZ dawali pożyteczne wskazówki, które dotyczyły całej gamy sposobów utrzymania się przy życiu i zdrowych zmysłach w obcym środowisku naturalnym – od pieszej nawigacji po wrogich powierzchniach, wykorzystując radiolatarnie satelitarne jako punkty orientacyjne, aż do sztuki umycia sobie twarzy w zerowej grawitacji.

I tak, ledwie minęły cztery tygodnie od polecenia Caldwell, Hunt znalazł się piętnaście metrów pod poziomem gruntu, koło wyrzutni numer dwanaście terminalu numer dwa, o trzydzieści kilometrów od Houston, idąc jedną z ramp wejściowych łączących ściany silosu z błyszczącym kadłubem Vegi. W godzinę później tłoki hydrauliczne pod platformą, na której spoczywał ogon statku, wypchnęły go powoli do góry i na zewnątrz, poza dach całej konstrukcji. Po paru minutach Vega mknęła ku ciemniejszej pustce nad głowami. W pół godziny później, z dwuipółsekundowym opóźnieniem, zadekowała przy satelicie przesiadkowym Kepler, o średnicy ośmiuset metrów.

Na Keplerze pasażerowie podróżujący na Księżyc przesiedli się do brzydkiego i niezgrabnego statku księżycowego klasy Capella. Miał on ich przenieść w pozostałej części podróży na powierzchnię Księżyca. Należeli do nich: Hunt, trzech specjalistów systemów

napędu, którzy gorąco pragnęli zapoznać się z rzekomym napędem grawitacyjnym Ganimedan; dwóch inżynierów budowlanych oraz zespół Danchekkera – wszyscy mieli przydział na wyprawę Jowisz Pięć.

Podróż trwała trzydzieści godzin i nie zakłóciły jej żadne wypadki. Po spędzeniu dwudziestu minut na orbicie Księżyca przez głośniki usłyszano komunikat, że pojazd otrzymuje zezwolenie na lądowanie.

Wkrótce potem nie kończąca się procesja równin, gór, turni i pagórków, sunąca na ekranach kabinowych, zwolniła i wreszcie stanęła w miejscu. Widok zaczął się wyraźnie przybliżać. Zanim statek przesunął się na północ i wszystkie formacje szerokiego krajobrazu zaczęły ustępować coraz bliższemu szczegółom, Hunt zdążył zauważyć bliźniacze, otoczone pierścieniami ścian równiny Ptolemeusza i Albategniusa wraz z ich centralnie położonymi stożkami górskimi oraz kraterem Klein przerywającym ciągłość ich ściany zewnętrznej. Obraz na ekranach zamarł, pokazując strzaskaną i rozsypującą się ścianę górską, oddzielającą Ptolemeusza od południowego krańca Równiny Hipparcha. To, co z daleka wydawało się równym terenem, obecnie zmieniło się w dżunglę poszarpanych urwisk i dolin. W środku zaś zaczęło przebłyskiwać światło słoneczne, odbite od metalowych konstrukcji ogromnej bazy pod statkiem.

W miarę jak zarysy instalacji powierzchniowych wyłaniały się z szarego tła i rozrastały, coraz jaśniej zapalał się żółty blask w ich centrum, stopniowo przyjmując kształt otwartego wejścia do podziemnego schronu statków księżycowych. Przez chwilę przemykały widoki kolejnych kondygnacji ramp ładunkowych, aż wreszcie potężne bramy wejściowe rozsunęły się, by przyjąć statek. Wszystko zaalał jaskrawe światło lamp łukowych, a potem widok zatarł się w chmurach spalin silników hamowniczych. Lekki wstrząs zasygnalizował, że podwozie zetknęło się z księżycową skałą. Silniki wyłączono i wewnątrz nagle zapanowała cisza. Nad tępym nosem statku masywne stalowe zasuwę połączyły się i odcięły widok gwiazd. Gdy komora lądowania zaczęła napierać się powietrzem, pojawiły się zupełnie nowe dźwięki. Wkrótce rampy pasażerskie gładko wysunęły się ze ścian komory, łącząc statek z salami recepcji.

W pół godziny po dopełnieniu formalności przylotowych Hunt wysiadł z windy pod szczytem jednej z kopuł widokowych górujących nad powierzchnią głównej bazy Ptolemeusza. Przez dłuższy czas spoglądał trzeźwym wzrokiem na dzikie pustkowia, w którym człowiek wykroił dla siebie oazę życia. Pokryta pasmami błękitu i bieli tarcza Ziemi, wisząca nieruchomo nad horyzontem, nagle uświadomiła mu, jak daleko pozostały: Houston, Reading, Cambridge i podobne im miejscowości dające poczucie bliskości, którą dotychczas uważał za coś oczywistego. W swych wędrówkach po świecie nigdy nie uznawał żadnego określonego miejsca za swój dom; podświadomie zawsze przyjmował, że jakiegokolwiek miejsce na świecie równie dobrze jest mu domem jak każde inne. A teraz nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest z dala od domu.

Gdy Hunt odwrócił się, by objąć wzrokiem inną część krajobrazu, spostrzegł, że nie jest tu sam. Po drugiej stronie kopuły stała chuda, łysiejąca postać pogrążona w myślach, w milczeniu wpatrując się w pustynię. Hunt długo się wahał. Wreszcie ruszył z miejsca, by stanąć obok samotnej postaci. Dokoła kilometrami ciągnęły się geometryczne, srebrzystoszare kształty splątanych rur, dźwigarów, wsporników i anten otaczających bazę. Na górujących wieżach radary nieustannie przemiatały krąg horyzontu, a wysokie, podobne do modliszek lasery nadawczo-odbiorcze wpatrywały się nieruchomo w niebo, wsłuchując się w nieustający dialog między komputerami bazy i niewidocznymi satelitami komunikacyjnymi zawieszonymi w górze i oddalonymi o osiemdziesiąt kilometrów. W dali poszarpane bastiony otaczającej Ptolemeusza górskiej ściany wyrastały wysoko nad równinę. Z czarnego tła nad nimi wychynął transporter księżycowy, który podchodził do lądowania w bazie.

Wreszcie Hunt się odezwał.

– I pomyśleć tylko... jedno pokolenie temu wszystko to stanowiło tylko pustynię. – Była to raczej głośno wypowiedziana myśl niż zaproszenie do rozmowy.

Danchecker długo nie odpowiadał. Gdy wreszcie się odezwał, nie odwrócił spojrzenia od widoku na zewnątrz.

– Ale człowiek ośmielił się marzyć... – mruknął powoli. A po chwili dodał: – A to, o czym człowiek marzy dziś, jutro staje się rzeczywistością.

Znowu zapadło długie milczenie. Hunt wyciągnął papierosa z pudełka i zapalił.

– Wie pan – powiedział wreszcie, wydmuchnąwszy powoli słup dymu w stronę szklanej ściany kopuły – podróż na Jowisza długo potrwa. Moglibyśmy wypić na dole drinka... strzeżennego, że tak powiem.

Wydawało się, że Danchecker przez chwilę zastanawiał się nad propozycją. Wreszcie oderwał wzrok od krajobrazu na zewnątrz kopuły i odwrócił się do Hunta.

– Nie sędzę, doktorze Hunt – powiedział spokojnie.

Hunt westchnął i zrobił ruch w stronę wyjścia.

– Niemniej jednak... – ton głosu Dancheckera wstrzymał go w połowie zwrotu. Spojrzał na profesora – ...jeśli pański metabolizm jest w stanie wytrzymać niezwykajny szok napojów bezalkoholowych, mocna kawa mogłaby, ach, okazać się niezwykle pożądana.

Był to żart. Danchecker naprawdę zdobył się na żart!

– Wszystkiego gotów jestem spróbować po raz pierwszy – odparł Hunt.

Ruszyli ku drzwiom windy.

Rozdział dziewiętnasty

Załadunek ładownika orbitującego statku dowódczego Jowisz Pięć zaplanowano dopiero za parę dni. Danchecker był zajęty ostatnimi przygotowaniem do przewiezienia swego zespołu i jego wyposażenia z powierzchni Księżyca. Hunt, nie biorąc w tym udziału, wybrał sobie trasę do miejsc, które chciał zwiedzić w ciągu kilku dni, jakie pozostały mu do dyspozycji.

Przede wszystkim poleciał do Tycho transporterem księżycowym, aby przyjrzeć się wykopaliskom, ciągle jeszcze prowadzonym w okolicy, gdzie znaleziono pewne ślady po Lunarianach, oraz spotkać się osobiście z ludźmi, którzy do tej pory byli dla niego tylko twarzami na ekranach. Chciał także obejrzeć głębokie szyby i wiercenia prowadzone niedaleko od Tycho, gdzie inżynierowie mieli zamiar dotrzeć do okolic jądra Księżyca. Uważali, że muszą się tam znajdować skupiska bogatych rud metalicznych. Jeśli tak się okaże, w ciągu paru dziesięcioleci Księżyc przekształci się w gigantyczną wytwórnię statków kosmicznych, a ich części, prefabrykowane w odlewniach i zakładach przetwórczych, będą wysyłane na orbitę księżycową do końcowego montażu. Korzyści ekonomiczne z budowania statków do lotów w dalekim kosmosie, właśnie tutaj i z miejscowych materiałów, bez konieczności wyciągania wszystkiego ze studni grawitacyjnej Ziemi, zapowiadały się olbrzymie.

Następnie Hunt złożył wizytę w wielkim obserwatorium radiowym i optycznym Giordana Bruna mieszczącym się po stronie odziemskiej. Tutaj czułe odbiorniki, działając za pełną osłoną od nieustannych zakłóceń płynących z Ziemi, oraz gigantyczne teleskopy, wolne od jakiegokolwiek atmosfery i nie nękane dystorsją, wywołaną ich własną wagą, przesuwały coraz dalej granice poznanego wszechświata, o wiele dalej, niż mogli tego dokonać ich przywiązani do Ziemi poprzednicy. Zafascynowany Hunt siedział przed ekranami monitorów i oglądał widoczne na nich planety niektórych z bliższych gwiazd. Pokazano mu jedną, dziewięć razy większą od Jowisza, i drugą, która zakreślała zwariowaną ósemkową orbitę wokół gwiazdy podwójnej. Patrzył daleko w głąb Mgławicy Andromedy i jeszcze dalej, na ledwie widoczne plamki na samym progu rozpoznawalności. Naukowcy i fizycy opisali mu nowy, niezwykle

obraz kosmosu, który zaczął się wyłaniać z ich prac w tym miejscu. Wyjaśnili niektóre z ekscytujących, najnowszych koncepcji mechaniki czasoprzestrzeni, wskazujących praktyczne metody deformowania astronomicznych linii geodezyjnych w taki sposób, że granica, która, jak kiedyś mniemano, określa najwyższą osiągalną szybkość, może zostać przełamana. A jeśli tak, podróże międzygwiazdne staną się dostępne. Jeden z naukowców, całkowicie wierząc w to, co mówi, oświadczył, że człowiek będzie zdolny przemierzyć całą Galaktykę za pięćdziesiąt lat.

Końcowy przystanek wycieczki Hunta znajdował się znowu na przyziemskiej stronie, w bazie na Koperniku, blisko miejsca, gdzie znaleziono Charliego. Naukowcy na Koperniku zajmowali się studiowaniem opisu terenu, przez który podróżował Charlie, i szkiców terenowych sporządzonych na podstawie informacji z jego dziennika, przetransmitowanej z Houston. Biorąc pod uwagę odcinki czasowe podróży, odległości oraz podawane przez niego przybliżone szybkości, zaczęli podejrzewać, że trasa Charliego zaczynała się gdzieś na tamtej stronie i doprowadziła go poprzez Góry Jura, Sinus Iridum i Mare Imbrium do Kopernika. Jednak nie wszyscy zgadzali się z tą opinią; pojawił się bowiem problem. Z jakichś niezrozumiałych przyczyn kierunki i strony świata, wspomniane w notatkach Charliego, nie zgadzały się z przyjętym konwencjonalnie księżycowym kierunkiem północ-południe, obliczonym w odniesieniu do jego osi obrotu. Jedyna trasa wędrówki Charliego, którą można było sensownie zinterpretować, prowadziła ze strony odziemskiej przez Mare Imbrium. Ale nawet i ją można było uznać za prawidłowo wytyczoną tylko pod warunkiem, że dla osi północ-południe przyjmie się zupełnie inny kierunek.

Próby zlokalizowania Gordy jak dotąd nie przyniosły żadnego sukcesu. Sądząc z nastroju ostatnich wpisów do dziennika, nie mogła być bardzo odległa od miejsca, gdzie znaleziono Charliego. O jakieś dwadzieścia pięć kilometrów stamtąd znajdował się obszar pokryty zachodzącymi na siebie kraterami; wszystkie, jak stwierdzono, były pochodzenia meteorytowego i bardzo niedawne. Większość badaczy uważała, że tam właśnie musiała znajdować się Gordy, później całkowicie zmieciona z powierzchni przez dziwną koncentrację meteorytów, które spadały huraganowo z nie wyjaśnionej jak dotąd przyczyny.

Przed odjazdem z Kopernika Hunt przyjął zaproszenie na przejażdżkę po powierzchni, aby odwiedzić miejsce, gdzie znaleziono Charliego. Towarzyszył mu stacjonujący w bazie profesor Alberts i załoga pojazdu geodezyjnego SKNZ.

Pojazd kiwnął się i zahamował w szerokim wąwozie między potrzaskanymi skałami ciemnoszarego koloru. Wszędzie dokoła pył tworzył oszłamiająco skomplikowane wzory kolein i wybrzuszeń wskutek zrycia gąsienicami pojazdów, kołami, śladami ładowników oraz ludzkimi stopami – dowód, że w ciągu ubiegłych osiemnastu miesięcy miejsce to było areną intensywnych działań. Z kopuły obserwacyjnej górnej kabiny Hunt natychmiast rozpoznał, gdzie się znajdują – ujrzał tę okolicę po raz pierwszy w gabinecie Caldwell. Zidentyfikował

duży pagórek gruzu przy bliższej ścianie wąwozu, a nad nim rozpadlinę prowadzącą w górę urwiska.

Z dołu zawołano. Hunt wyprostował się. W niewygodnym skafandrze próżniowym poruszał się powoli, niezgrabnie, przeciskając przez właz podłogowy i schodząc po krótkiej drabince do kabiny sterowania. Kierowca leżał rozciągnięty na swym miejscu, popijając wielkimi łykami gorącą kawę z termosu. Za nim, przy ekranie wideo, sierżant dowodzący pojazdem meldował bazie, za pośrednictwem satelity komunikacyjnego, że dotarli do celu bez żadnych nieszczęśliwych wypadków. Trzeci członek załogi, kapral, który miał towarzyszyć Huntowi i Albertsowi na zewnątrz, i już był do tego przygotowany, pomagał profesorowi przymocować hełm. Hunt wziął swój własny z półki obok wyjścia i założył. Gdy wszyscy trzech byli gotowi, sierżant jeszcze raz sprawdził systemy podtrzymywania życia i łączności i zezwolił im wyjść pojedynczo przez służę.

– No i jesteś tu, Vic. Teraz już naprawdę na Księżycu – dobiegł głos Alberta z głośniczka w hełmie Hunta.

Hunt poczuł, że elastyczny pył ugina się pod jego butami i spróbował zrobić kilka eksperymentalnych kroków.

– To jest podobne do plaży w Brighton – ocenił.

– Z wami wszystko w porządku? – spytał głos kaprała SKNZ.

– Okay.

– Oczywiście.

– No to chodźmy.

Trzy jaskrawo ubarwione postacie: pomarańczowa, czerwona i zielona zaczęły powoli posuwać się pod górę głęboką koleiną wrytą przez środek pagórka gruzu. Na jego szczycie zatrzymały się, by popatrzeć z góry na pojazd geodezyjny podobny już do zabaweczki pośrodku wąwozu.

Przeszli do rozpadliny, wspinając się między pionowymi ścianami skalnymi, które zbliżały się z obu stron w miarę, jak podchodzili do zakrętu. Za nimi rozpadlina wyprostowała się, a w oddali Hunt ujrzał potężną ścianę poszarpanych skarp górującą nad nią – oczywiście było to urwisko opisane w notatkach Charliego. Mógł sobie wyraziście wyobrazić scenę, która tak dawno temu rozegrała się w tym miejscu, gdzie dwie postacie w skafandrach z wysiłkiem torowały sobie drogę przed siebie i w górę, z oczami wlepionymi w ten sam punkt orientacyjny. Nad nimi czerwony i czarny, złowieszczy wizerunek umęczonej planety spoglądał z góry, w ostatecznej agonii, jak...

Hunt zatrzymał się zdumiony. Znowu popatrzył na urwisko, następnie odwrócił się, by spojrzeć na jasny krąg Ziemi, świecący daleko za jego prawym ramieniem. Zrobił zwrot w miejscu, by spojrzeć w jedną stronę, a później znowu w drugą.

– Coś nie tak? – Alberts, który odszedł o kilka kroków, odwrócił się i patrzył na Hunta.

– Nie jestem pewien. Zaczekaj chwileczkę. – Hunt zbliżył się do profesora i wskazał gestem szczyt urwiska. – Znasz to miejsce lepiej niż ja. Spójrz na tę skarpe przed nami... Czy w jakiegokolwiek porze roku Ziemia mogła znaleźć się nad jej szczytem?

Alberts podążył wzrokiem za wskazującym kierunek palcem Hunta, obejrzał się przelotnie na Ziemię za sobą i zdecydowanie pokręcił głową za przyłbicą.

– Nigdy. Pozycja Ziemi, widzianej z powierzchni Księżyca, jest niemal całkowicie stała. W wyniku libracji Księżyc odchyła się odrobinę od średniego położenia, ale w żadnym wypadku nie na tyle. – Znowu spojrział. – Nigdy i nigdzie nie na tyle. Zadałeś dziwne pytanie. O co chodzi?

– Coś mi przyszło do głowy. W tej chwili rzecz bez znaczenia.

Hunt opuścił wzrok i zobaczył otwór u podstawy jednej ze ścian przed nimi.

– To musi być tutaj. Podejźmy tam.

Wgłębienie wyglądało dokładnie tak, jak je pamiętał z niezliczonych fotografii. Pomimo swego wieku kształt otworu zdradzał sztuczne pochodzenie. Hunt zbliżył się niemal z szacunkiem i stanął, aby dotknąć rękawicą jednej strony otworu. Ślady na niej w oczywisty sposób pozostały po czymś, co mogło być świdrem.

– No więc to jest to – dobiegł głos Alberta stojącego o parę stóp za nim. – Nazywamy ją Jaskinią Charliego... Z grubsza musi wyglądać jak wtedy, gdy wraz ze swym towarzyszem ujrzał ją po raz pierwszy. Wrażenie, jakby się wchodziło do świętej komory jednej z piramid, co?

– Można to tak wyrazić.

Hunt schylił się, by zajrzeć do środka. Gdy nagle ciemność oślepiła go na chwilę, zatrzymał się, by po omacku odnaleźć przyczepioną do pasa latarkę.

Kamienne osypisko, które przykrywało ciało w chwili jego odnalezienia, usunięto i wewnątrz okazało się obszerniejsze, niż się spodziewał. Gdy patrzył na miejsce, gdzie tysiące lat przed zapisaniem pierwszej stronicy historii skulona postać z wysiłkiem zapisywała ostatnią kartkę historii, którą Hunt odczytywał tak niedawno w biurze w Houston, odległym o ćwierć miliona mil, ogarnęły go dziwne uczucia. Myślał o czasie, jaki upłynął od tamtych wydarzeń, o imperiach, które wyrosły i upadły, o miastach, które rozpadły się w proch, o życiach, które zabłysły krótką iskierką, nim pochłonęła je przeszłość, a przez cały ten okres tajemnica tych skał leżała niezakłócona. Wiele minut upłynęło, zanim Hunt wyszedł na zewnątrz i wyprostował się w oślepiającym blasku słońca.

Znowu zmarszczył brwi, spoglądając na urwisko. Coś nieuchwytnego wiodło zwodniczy taniec gdzieś na krawędzi jego umysłu, jak gdyby z leżącej poniżej, ciemnej głębi podświadomości coś nalegająco wołało, żądało rozpoznania. Aż znikło.

Przyczepił latarkę z powrotem do pasa i zbliżył się do Alberta, który przyglądał się jakimś formacjom skalnym pod przeciwległą ścianą.

Rozdział dwudziesty

Ogromny statek, który miał przewieźć piątą wyprawę załogową do Jowisza, budowano na orbicie Księżyca ponad rok. Prócz ładownika dowódcy sześć statków towarowych, każdy o pojemności trzydziestu tysięcy ton, wypełnionych zaopatrzeniem i sprzętem, z wolna nabierało kształtu wysoko nad powierzchnią Księżyca. Podczas dwóch końcowych miesięcy przed wyznaczonym odlotem pływająca gmatwanina maszynierii, materiałów, pojemników, pojazdów, cystern, skrzyń, bębnow i tysięcy innych różnorodnych artykułów inżynierskich wiszących wokół statków jak gigantyczne ozdoby choinkowe, była stopniowo wsysana do środka. Promy typu Vega, liniowce kosmiczne i wszelkie inne pojazdy również przydzielone do wyprawy zaczęły się w ostatnich paru tygodniach przemieszczać, aby dołączyć do przeznaczonych im statków-matek. Przez ostatni tydzień co pewien czas statki towarowe opuszczały orbitę Księżyca i brały kurs na Jowisza. W chwili gdy pasażerów i ostatnich członków załogi przywieziono z powierzchni księżycowej, tylko ładownik dowodzenia wisiał samotnie w próżni. Gdy nadchodziła godzina H, stada pojazdów służbowych i satelitów nadzoru zaczęły się wycofywać, a ich miejsce zajął tłum eskortowców, zbliżając się na parę kilometrów z kamerami, w pełnej gotowości, które transmitowały na żywo via Księżyc dla Światowej Sieci Informacyjnej.

Gdy zaczęły upływać ostatnie minuty, na milionach ekranów ukazał się imponujący, długi na dwa kilometry kształt, niemal niedostrzegalnie dryfujący na tle gwiazdzistego nieba. Spokój tego widoku zdawał się w jakiś sposób zapowiadać niewyobrażalną siłę, czekającą na wyzwolenie. Dokładnie według rozkładu komputery kontroli lotów dotarły do końca ostatecznego, wstecznego odliczania, otrzymały z naziemnego centralnego procesora potwierdzenie: „Naprzód” i włączyły główne silniki napędu termonuklearnego w błysku dostrzegalnym nawet z Ziemi.

Piąta Wyprawa Jowisza wyruszyła.

Przez następne piętnaście minut statek nabierał szybkości i wysokości, wchodząc na kolejne, coraz wyższe orbity. Na koniec, zrzucając jednym lekkim ruchem więzy przyciągania księżycowego, Jowisz Pięc skoczył w dal, wyprzedzając stadko swych

frachtowców, w owej chwili rozciągnięte już na półtora miliona kilometrów przestrzeni, by wreszcie stanąć na jego czele. Po chwili eskortowce zawróciły w stronę Księżyca, a ekrany na Ziemi ukazywały już tylko zmniejszający się punkcik światła, jeszcze widoczny przez orbitujące teleskopy. Wkrótce i on znikł, a w coraz głębszej przepaści biegły jedynie sygnały wymieniane przez radary dalekiego zasięgu i łącza laserowe.

Na statku flagowym Hunt i inni naukowcy z SKNZ, siedząc w mesie numer dwadzieścia cztery, widzieli na ściennym ekranie, jak po upływie minut Księżyc przybrał kształt pełnego kręgu, po części zasłaniającego stojącą za nim Ziemię. W następnych dniach oba globy, kurcząc się coraz bardziej, stały się jedną plamką jasności na niebie – znakiem drogi, którą już przebyli. Gdy dni podróży zaczęły przeciągać się w tygodnie, nawet i ona zmaląła do wymiarów jednego wśród milionów podobnych ziarenek gwiazdowego pyłu. A po miesiącu z największym trudem potrafili je odróżnić.

Hunt przekonał się, że przystosowanie do życia w małym, stworzonym przez człowieka świecie wymaga czasu. Otaczał ich niezmierny kosmos, a znajomy świat oddalał się z szybkością ponad piętnaście kilometrów na sekundę. Teraz ich życie zależało jedynie od umiejętności projektantów i budowniczych statku. Życiodajne, zielone wzgórza i błękitne niebo Ziemi zdawały się tylko wspomnieniem wyrazistego snu, łudząco podobnego do rzeczywistości. Hunt poczuł, że jego realny świat stał się czymś względnym, a nie absolutnym; czymś, co można na chwilę opuścić, by potem do tego wrócić. Rzeczywistością był tylko statek; to wszystko, co Hunt pozostawił za sobą, przestało egzystować, przynajmniej na pewien czas.

Doktor spędzał całe godziny w kopolach widokowych zewnętrznego kadłuba. Powoli oswajał się z tym, że jego istnienie zyskało nowy wymiar. Patrzył na jedyną znajomą rzecz: na Słońce. Odwieczna obecność naszej gwiazdy, tryskającej bezgranicznym potokiem życiodajnego ciepła i światła, podnosiła go na duchu. Przypomniawszy sobie starożytnych żeglarzy, nigdy nie oddalających się od lądu tak daleko, by stracić go z oczu. Oni też potrzebowali czegoś dobrze znanego jako podpory. A już wkrótce człowiek skieruje dzioby swych statków ku otwartej przestrzeni i skoczy w próżnię międzygalaktyczną. Nie będzie uspokajającego widoku Słońca, nie będzie innych gwiazd. Same galaktyki zmienią się w ledwie widoczne punkciki, rozrzucone na drodze ku nieskończoności.

Jakie dziwne, nowe kontynenty czekają po drugiej stronie tej przepaści?

Danchecker wypoczywał w okrętowej strefie bezgrawitacyjnej, przyglądając się meczowi trójwymiarowej piłki nożnej, rozgrywanemu przez dwie drużyny wolnych od służby członków załogi. Gra była odmianą futbolu amerykańskiego; mecz rozgrywano w ogromnej kuli przezroczystego, elastycznego plastyku. Gracze pędzili w górę, w dół i we wszystkich innych kierunkach, odbijając się od ścian i od siebie wzajemnie w fantastycznej bójce, której celem – z grubsza rzecz biorąc – było umieszczenie piłki w jednej z dwóch okrągłych bramek

położonych na dwóch krańcach kuli. W rzeczywistości wszystko to miało jedynie rozładować napięcia i ćwiczyć mięśnie, które podczas długiej, monotonnej podróży zaczynały wiotczeć.

Steward postukał naukowca po ramieniu i poinformował, że ma rozmowę w budce video przed pokładem wypoczynkowym. Danchecker skinął głową, odpiął pas bezpieczeństwa od zaczepu fotela, przymocował jego końcówkę do poręczy i jednym swobodnym ruchem pożegłował z wdziękiem w stronę wyjścia. W budce powitała go z ekranu twarz Hunta, który mówił z odległego o półtora kilometra pomieszczenia.

– Doktorze Hunt – odparł profesor – dzień dobry... czy jakkolwiek mamy porę wewnątrz naszego piekielnego pojazdu.

– Hello, profesorze – rzekł Hunt. – Coś mi przyszło do głowy w sprawie Ganimedan. Mam parę rzeczy, co do których chciałbym zasięgnąć pana opinii. Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać i coś przekazać? Powiedzmy, za pół godziny czy coś koło tego?

– Doskonale. A gdzie pan proponuje?

– Jestem w tej chwili w drodze do restauracji w sekcji E. Będę tam przez jakiś czas.

– Dołączę do pana za kilka minut.

Danchecker wyłączył ekran, wyszedł z budki i popłynął korytarzem ku wejściu do jednego z szybów poprzecznych, prowadzących „w dół”, czyli w stronę osi statku. Posługując się poręczami żegłował przez pewien czas w kierunku centrum, póki nie zatrzymał się naprzeciw wyjścia z szybu. Przez służę przejściową koło osi, gdzie różnica szybkości była mała, przedostał się do jednej z wirujących sekcji imitujących swym obrotem przyciąganie ziemskie. Chwytną kolejną poręcz podciągnął się, aż poczuł lekkie przyspieszenie. Wylądował na nogach, o dziesięć metrów dalej, na części konstrukcji, która nagle stała się podłogą. Idąc już normalnie, poszedł za znakami do najbliższego przystanku kolejki wewnętrznej, nacisnął guzik wezwania i odczekał około dwudziestu sekund, nim pojawiła się kapsuła pasażerska. Wewnątrz wgrał na tablicy miejsce, do którego zmierzał, i natychmiast kapsuła zaczęła ślizgać się wzdłuż rury komunikacyjnej w stronę sekcji E.

Otwarta przez całą dobę restauracja samoobsługowa była w połowie wypełniona gośćmi. Z kuchni, która mieściła się za kontuarem w końcu sali, dobiegał szczeł sztucców i talerzy. Trudziło się tam trzech kucharzy SKNZ, nakładających obfite porcje różnych smakołyków kulinarnych: poczynając od jaj SKNZ, przez fasolę SKNZ i kurze nóżki SKNZ, aż po steki SKNZ. Na Jowiszu Cztery wypróbowano automaty żywnościowe z samoobsługowymi kuchenkami mikrofalowymi, ale nie zdobyły one sobie popularności wśród załogi. Wobec tego projektanci Jowisza Pięć wrócili do starych, dobrych sposobów kucharzenia.

Niosąc tace z posiłkiem Hunt i Danchecker przepchnęli się wśród jedzących, grających w karty oraz wrzaskliwie debatujących grup i znaleźli wolny stolik pod ścianą. Usiedli i zaczęli ustawiać talerze na stole.

– A więc – zauważył Danchecker, smarując bułeczkę masłem – nasunęły się panu pewne myśli, dotyczące naszych ganimedańskich przyjaciół.

– Ich, a także Lunarian – odparł Hunt. – W szczególności spodobał mi się pański pomysł, że Lunarianie rozwinęli się na Minerwie z zaimportowanych tam przez Ganimedan ziemskich gatunków zwierzęcych. Jest to jedyne możliwe wytłumaczenie braku jakichkolwiek śladów ich cywilizacji na Ziemi. Wszystkie wysiłki różnych ludzi próbujących dowieść, że mogło być inaczej, zupełnie mnie nie przekonują.

– Jestem głęboko usatysfakcjonowany, słysząc to, co pan powiedział – oświadczył Danchecker. – Ale pozostaje problem: trzeba jeszcze uzasadnić prawdziwość tego.

– No i właśnie nad tym się zastanawiałem. Być może nie będziemy musieli przeprowadzać takiego dowodu.

Danchecker podniósł wzrok i popatrzył badawczo znad okularów. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Naprawdę? A czemu, jeśli wolno zapytać?

– Wpakowaliśmy się w wielki kłopot, próbując wyjaśnić, co mogło się zdarzyć na Minerwie, ponieważ jesteśmy wystarczająco pewni, że nie zostało z niej nic, prócz miliona próbek geologicznych, rozciągniętych kółeczka w Układzie Słonecznym. Ale Lunarianie nie mieli w ogóle takiego problemu. Mieli Minerwę w jednym kawałku pod swymi stopami. Lecz stan ich wiedzy naukowej był bardzo zaawansowany. A w takiej sytuacji, co powinny były ujawnić ich prace, przynajmniej w pewnym zakresie? W oczach Dancheckera zabłysło światło zrozumienia.

– Ach! – wykrzyknął w końcu. – Rozumiem. Jeśli wcześniej na Minerwie kwitła cywilizacja Ganimedan, wobec tego lunariańscy uczeni powinni byli to wydedukować. – Przerwał, zmarszczył brwi, a potem dodał: – Ale, doktorze Hunt, to pana daleko nie zaprowadzi. Nie będzie pan w stanie zbadać archiwów naukowych Lunarian, podobnie jak nie będzie pan w stanie poskładać Minerwy w jedną całość.

– Oczywiście ma pan rację – zgodził się Hunt. – Nie mamy żadnych szczegółowych lunariańskich zapisów naukowych. Ale mamy bibliotekę mikropunktów. Zawiera na ogół nader ogólnikowe teksty. Ale nie potrafię pozbyć się myśli, że jeśli Lunarianie odkryli istnienie na swej planecie wcześniejszego od nich, rozwiniętego gatunku, byłaby to wielka i wzbudzająca podniecenie nowina; coś, o czym wszyscy by wiedzieli. Wystarczy pomyśleć o zamęcie, jaki Charlie wywołał na Ziemi. Być może we wszystkich ich zapisach znalazłyby się wzmianki, wskazujące na istnienie takiej wiedzy... jeśli tylko wiedzielibyśmy, jak je odkryć. – Przerwał, by przełknąć kęs kielbasy. – I dlatego przez ostatnie tygodnie zajmowałem się przeczesywaniem gęstym grzebieniem wszystkiego, co mamy, aby przekonać się, czy istnieje coś, co wskazywałoby ten kierunek. Nie spodziewałem się znaleźć żadnego bezspornego dowodu. Tyle tylko, abyśmy mogli z odrobiną większą pewnością oświadczyć, że wiemy, o jakiej planecie mówimy.

– I znalazł pan coś więcej? – zainteresował się Danchecker.

– Wiele rzeczy – odrzekł Hunt. – Zaczęło się od tego, że istnieje w całym ich języku wiele zwrotów zleksykalizowanych odnoszących się do Gigantów. Na przykład: *tak stare, jak Giganci*. Albo: *dawno temu, w latach Gigantów*, podobnie jak my powiedzielibyśmy *dawno temu, w roku zerowym*. Znalazłem też ustęp zaczynający się od słów: *Dawno, dawno temu, wcześniej nawet niż w czasach Gigantów...* Takich rzeczy jest cała masa. Gdy spojrzeć na nie pod tym kątem, wszystkie nagle zaczynają pasować do siebie. – Hunt przerwał na chwilę, by pozwolić profesorowi zastanowić się nad tym wszystkim, po czym kontynuował: – Są również wzmianki sugerujące superpotęgę lub wielką wiedzę Gigantów. Na przykład: *obdarzony mądrością Gigantów*. Rozumie pan, co mam na myśli? Te zdania wskazują, iż Lunarianie zdawali sobie sprawę, że gatunek olbrzymich istot, zapewne bardzo zaawansowanych pod względem techniki, istniał w odległej przeszłości.

Danchecker przez chwilę żuł w milczeniu.

– Nie chciałbym wywołać wrażenia, że kieruję się wygórowanym sceptycyzmem – powiedział wreszcie. – Ale to wszystko brzmi nader spekulatywnie. Tego rodzaju wzmianki mogą się odnosić zaledwie do tworów mitycznych... podobnych do naszych folklorystycznych herosów.

– Mnie to też przychodziło na myśl – zgodził się Hunt. – Ale po zastanowieniu nie byłbym tego taki pewien. Lunarianie byli gatunkiem skrajnie pragmatycznym. Nie zajmowali się w ogóle romantycznymi rozważaniami, religią, sprawami ducha czy czymkolwiek podobnym. Znaleźli się w sytuacji, w której tylko sami sobie mogli pomóc, i wiedzieli o tym. Nie mogli sobie pozwolić na luksus ani złudzenia związane z wymyślaniem bogów, herosów czy świętych Mikołajów, którzy by za nich załatwili ich sprawy. – Pokręcił głową. – Nie wierzę, by Lunarianie stworzyli jakieś legendy dotyczące owych Gigantów. To by zupełnie do nich nie pasowało.

– Doskonale – zgodził się Danchecker, wracając do jedzenia. – Lunarianie byli więc świadomi wcześniejszego istnienia Ganimedan. Podejrzewam jednak, że zapraszając mnie, miał pan jeszcze coś więcej na myśli.

– Słusznie – powiedział Hunt. – Pracując nad ich tekstami, wykryłem jeszcze inne fragmenty i wzmianki, bliższe pana zakresowi zainteresowań.

– Proszę kontynuować.

– A więc, zakładając chwilowo, że Ganimedianie mieli zamiar przewieźć całe zoo na Minerwę, lunariańscy biologowie musieliby w późniejszej epoce mieć diabelny problem, by się połapać we wszystkim, co ich otaczało, prawda? Oznacza to, że mając wokół siebie uganiające się dwie, zupełnie nie spokrewnione grupy zwierząt, a pamiętajmy, iż nie mogli wiedzieć tego, co my na temat gatunków ziemskich...

– A nawet znacznie gorzej – poparł jego myśl Danchecker. – Powinni byli być zdolni prześledzić linię rozwojową miejscowych, minerwiańskich gatunków aż do ich początków. Natomiast dzieje tych importowanych mogliby odtworzyć, cofając się o jakieś dwadzieścia

pięć milionów lat. Przed tym okresem nie mieliby najmniejszych śladów po przodkach, z których się wywodziły.

To właśnie jest ta sprawa, o którą chciałem pana zapytać – rzekł Hunt. Pochylił się i oparł łokciami na stoliku. – Załóżmy, że jest pan lunariańskim biologiem i zna tylko te fakty, które on mógł znać. Jakiż obraz wtedy by się rysował?

Danchecker przestał żuć i zamyślił się na długo, wbijając wzrok daleko w przestrzeń za Huntem. Wreszcie powoli potrząsnął głową.

– Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. W takiej sytuacji można by, jak przypuszczam, snuć domysły, że to Ganimedanie wprowadzili obce gatunki. Ale z drugiej strony tak pomyślałby biolog z Ziemi; byłby uwarunkowany oczekiwaniem, że znajdzie nieprzerwaną linię skamieniałości, ciągnącą się setki milionów lat. Lunarianin, bez tego rodzaju uwarunkowania, nie musiałby uznać braku kompletnej linii dowodów za coś anormalnego. Gdyby bowiem to było przyjętym sposobem rozumowania na planecie, na której dorastał... – Głos Dancheckera przygasnął na parę sekund. – Gdybym to ja był Lunarianinem – wyrzekł wreszcie zdecydowanie – wytłumaczyłbym to, co widzę, następująco: w odległej przeszłości na Minerwie pojawiło się życie, ewoluowało zgodnie z uznanym następstwem mutacji oraz selekcji i rozgałęziło się na wiele różnorodnych form. Około dwudziestu pięciu milionów lat temu nastąpiły w krótkim czasie gwałtowne mutacje, z których zrodziła się nowa rodzina form, radykalnie różniących się budową od wszystkiego, co ją poprzedzało. Ta rodzina rozgałęziła się, aby wydać własne rozbieżne gatunki, żyjące obok starych typów, a ich szczytowym osiągnięciem było pojawienie się samych Lunarian. Tak, w ten sposób wyjaśniłbym to nowe zjawisko. Jest ono zbliżone do pojawienia się na Ziemi owadów: całej odrębnej rodziny, niepodobnej swą budową do niczego poza nią. – Myślał o tym jeszcze przez chwilę i zdecydowanie skinął głową. – Z pewnością w porównaniu z wyjaśnieniem tego rodzaju, jakiegokolwiek sugestie na temat przymusowych migracji międzyplanetarnych wyglądałyby na mocno naciągnięte.

– Miałem nadzieję, że powie pan właśnie coś takiego. – Hunt z zadowoleniem kiwnął głową. – Bo prawdę mówiąc, jest to prawie dokładnie to, w co oni wierzyli. Nie stwierdzono tego jednoznacznie w niczym, co czytałem, ale rozsypane w różnych miejscach fragmenty składają się właśnie na taki obraz. Lecz jest w tym również coś dziwnego.

– O?

– Jest takie dziwne słowo pojawiające się w licznych miejscach, ale nie mające ścisłego angielskiego odpowiednika. Oznacza coś w rodzaju „człowiekopodobne” oraz „spokrewnione z człowiekiem”. Używali go przy opisywaniu wielu gatunków zwierząt.

– Zapewne szło o zwierzęta, pochodzące od form importowanych i spokrewnione z nimi samymi – podsunął Danchecker.

– O, właśnie. Ale posługiwali się tym samym słowem w całkowicie odmiennym kontekście, w znaczeniu „na brzegu”, „na lądzie”... jakimkolwiek, lecz dotyczącym stałego lądu. Nasuwa się pytanie: czemu słowo stało się homonimem?

Danchecker znowu przestał jeść. Jego czoło pokryło się zmarszczkami.

– Doprawdy, nie potrafię tego sobie wyobrazić. Czy to ważne?

– Ja też nie, ale uważam, że ważne. Wielokrotnie sprawdzałem to w Lingwistyce i wszystko dowodzi bardzo dziwnej rzeczy. „Człowiekopodobne” i „na lądzie” stały się na Minerwie synonimami, ponieważ rzeczywiście oznaczały jedno i to samo. Na Minerwie wszystkie zwierzęta lądowe należały do nowego typu. Aby je opisać po angielsku, moglibyśmy utworzyć słowo *terrestroidalne*.

– Wszystkie? Chce pan powiedzieć, że w czasach Charliego w ogóle nie pozostały żadne z pierwotnych gatunków minerwiańskich?

– Tak właśnie sądzimy. W każdym razie nie na lądzie. Istniała nieprzerwana linia skamieniałości mnóstwa gatunków aż po ów czas, z Ganimedanami włącznie. Ale później, tylko terestroidy.

– A w morzu?

– Tam było inaczej. Stare formy minerwiańskie w dalszym ciągu były kontynuowane, stąd pańska ryba.

Danchecker wpatrywał się w Hunta z miną zdradzającą niemal otwarte niedowierzanie.

– Absolutnie niezwykle! – zawołał.

Profesorowi nagle sparaliżowało rękę. Trzymał w powietrzu widelec, z nabitą nań połówką pieczonego kartofla.

– Chce pan powiedzieć, że wszystkie miejscowe formy życia lądowego na Minerwie znikły... ot, tak sobie?

– W każdym razie w bardzo krótkim czasie. Długo zadawaliśmy sobie pytanie: co się stało z Ganimedanami? Teraz wydaje się, że pytanie powinno być jeszcze szerzej sformułowane: co się stało z Ganimedanami i ich wszystkimi lądowymi krewnymi?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dwaj naukowcy przez całe tygodnie debatowali nad tajemnicą nagłego zniknięcia lądowych mieszkańców Minerwy. Katastrofę fizyczną wykluczyli zakładając, że zjawisko o takim zasięgu powinno było zniszczyć również gatunki terestroidalne. To samo odnosiło się do ewentualnego kataklizmu klimatycznego.

Przez pewien czas zastanawiali się nad możliwością epidemii, wywołanej przez mikroorganizmy przywiezione wraz z importowanymi zwierzętami; miejscowe gatunki mogły nie mieć wrodzonej, odziedziczonej odporności, która chroniłaby je przed działaniem tych drobnoustrojów. Wreszcie jednak odrzucili ten pomysł jako nieprawdopodobny z dwóch przyczyn. Po pierwsze: trudno było sobie wyobrazić epidemię tak złośliwą, by w jej efekcie zostały zmiecione co do jednego wszystkie gatunki, które liczyły miliony osobników. Po drugie: wszystkie jak dotąd napływające z Ganimedesa informacje dowodziły, że Ganimedanie mieli wiedzę znacznie wyprzedzającą zarówno lunariańską, jak i obecną ziemską; z pewnością więc nie mogli popełnić aż takiego błędu.

Wariacje na ten sam temat zakładały, że wybuchła wojna bakteriologiczna, a w wyniku eskalacji wymknęła się spod kontroli. Rozpatrywane w tym kontekście oba poprzednie zastrzeżenia miały mniejszą wagę. Na koniec takie wyjaśnienie uznano za możliwe. Wobec tego pozostała do ustalenia jeszcze jedna sprawa: czy nie nastąpiła jakaś zmiana składu chemicznego atmosfery minerwiańskiej, a miejscowe gatunki nie były w stanie zaadaptować się do niej, choć ziemskie mogły. Ale jaka?

Gdy na pokładzie Jowisza Pięć jeszcze rozważano wszelkie możliwości, łącze laserowe z Ziemią przyniosło wieści o nowej awanturze, która wybuchła w Nawtransie. Czysto Ziemsy ogłosili obliczenia dowodzące, że Lunarianie w ogóle nie byli w stanie przeżyć na Minerwie, a cóż dopiero rozkwitnąć, w tej odległości od Słońca było na to po prostu za zimno. Ten sam obóz twierdził, że na powierzchni Minerwy woda w ogóle nie mogła znajdować się w stanie ciekłym, i uznał to za dowód na poparcie tezy, która głosiła, że bez względu na to, jaką planetę przedstawiały mapy Charliego, w żadnym razie nie mogła się ona znajdować w bliskości Pasa Asteroidów.

Pod wrażeniem tego ataku różne odłamy Minerwianistów pośpiesznie zawarły sojusz i posługując się własnymi obliczeniami otworzyły ogień przeciwartyleryjski, powołując się na efekt cieplarniany atmosferycznego dwutlenku węgla, aby dowieść, że na planecie mogła być nieustannie podtrzymywana znacznie wyższa temperatura. Następnie dowiedli, że procent dwutlenku węgla potrzebny do zapewnienia średniej temperatury, jaką określili innymi sposobami, dokładnie odpowiadał liczbie przedstawionej przez profesora Schorna we wnioskach dotyczących składu minerwiańskiej atmosfery, a wyprowadzonych z komórkowej przemiany materii Charliego oraz jego układu oddechowego. Miną ziemną, która ostatecznie zniszczyła pozycje Czysto Ziemiaków, było kolejne orzeczenie Schorna, że u Charliego stwierdzono wiele cech fizjologicznych, zdradzających adaptację do nienormalnie wysokiego stężenia dwutlenku węgla.

Hunt i Danchecker, których ciekawość znacznie wzrosła pod wpływem owego zainteresowania zawartością dwutlenku węgla w atmosferze Minerwy, obmyślili własny, niezależny eksperyment. Łącząc umiejętności matematyczne Hunta z wiedzą Dancheckera o ilościowej biologii molekularnej, stworzyli komputerowy model uogólnionego minerwiańskiego potencjału reakcji mikrochemicznych, oparty na danych zaczerpniętych z biologii minerwiańskiej ryby. Udoskonalanie modelu zabrało im ponad trzy miesiące. Wreszcie poddali go serii operatorów matematycznych, symulujących efekty zachowania się różnych odczynników chemicznych wobec otoczenia naturalnego. Gdy Danchecker ujrzał wyniki końcowe na ekranie w jednym z pomieszczeń dla komputerów, jego wniosek zabrzmiał jak najbardziej stanowczo.

– Wszelka oddychająca powietrzem forma życia, która ewoluowała od tych samych prymitywnych przodków co ryba, i odziedziczyła ten sam podstawowy system reakcji mikrochemicznych, byłaby skrajnie wrażliwa na rodzinę toksyn zawierających dwutlenek węgla, o wiele bardziej niż jakikolwiek gatunek pochodzenia ziemskiego.

I wreszcie wszystko się wyjaśniło. Około dwudziestu pięciu milionów lat temu stężenie dwutlenku węgla w atmosferze Minerwy nagle i wyraźnie wzrosło, być może z jakichś przyczyn naturalnych, które uwolniły gaz związany chemicznie w skałach, a być może w wyniku jakichś działań Ganimedan. To by również tłumaczyło, czemu Ganimedanie sprowadzili wszystkie te zwierzęta. Może ich podstawowym zamiarem było przywrócenie równowagi przez pokrycie lądów planety przyswajającymi dwutlenek węgla i produkującymi tlen ziemskimi roślinami zielonymi. Zwierzęta zaś włączono po prostu w celu zachowania równowagi czynników ekologicznych, aby rośliny mogły przeżyć. Próba nie powiodła się. Miejscowe formy życia zginęły, a znacznie odporniejsi imigranci rozkwitli i rozprzestrzenili się po całej nowej planecie, pozbawionej obcych współzawodników. Nikt nie miał pewności, czy tak właśnie rozegrały się sprawy na Minerwie. Zapewne nikt jej nigdy nie uzyska.

I nikt nie wiedział, co stało się z Ganimedanami. Być może wyginęli wraz ze swymi krewnymi. Być może, gdy ich wysiłki okazały się daremne, porzucili Minerwę, oddając ją

nowym mieszkańcom, i całkowicie opuścili Układ Słoneczny, by znaleźć gdzieś indziej nowy dom. Hunt miał taką nadzieję. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu żywił dziwne przywiązanie do tej tajemniczej rasy. W jednym z lunariańskich tekstów odnalazł zdanie zaczynające się od słów: *Daleko stąd, wśród gwiazd, gdzie teraz żyją starodawni Giganci...* Miał nadzieję, że jest to prawda.

I w ten sposób, zupełnie nagle, przynajmniej jeden rozdział wczesnej historii Minerwy został wyjaśniony. Teraz wszystko wskazywało, że Lunarianie i ich cywilizacja rozwinęły się na Minerwie, a nie na Ziemi. Tłumaczyło to porażkę Schorna podczas pierwszej próby ustalenia długości dnia w kalendarzu Hunta na podstawie obliczenia czasu snu i czuwania Charliego. Przodkowie Lunarian przybyli z Ziemi mając głęboko zakorzeniony rytm przemiany materii, który wynikał z cyklu dwudziestoczwierogodzinnego. W ciągu następnych dwudziestu pięciu milionów lat niektóre bardziej elastyczne procesy życiowe ich potomków skutecznie zaadaptowały się do trzydziestopięciogodzinnego dnia Minerwy, inne zaś zmieniły się tylko częściowo. W epoce Charliego wszystkie zegary biologiczne Lunarian uległy beznadziejnej desynchronizacji, nic więc dziwnego, że wyniki Schorna okazały się bezsensowne. Ale w dalszym ciągu trzeba było brać pod uwagę zastanawiające cyfry w notatniku Charliego.

Caldwell przeczytał w Houston wspólne sprawozdanie Hunta i Dancheckera z głęboką satysfakcją. Już dawno temu zdał sobie sprawę, że aby uzyskać wyniki, trzeba połączyć zdolności obu naukowców i skierować je na najważniejszy problem, a nie marnować ich talentu na sprzeczki wybuchające z powodu niezgodności usposobień. W jaki sposób mógłby wywołać sytuację, w której to, co mieli ze sobą wspólnego, przeważałoby nad ich różnicami? A cóż mieli wspólnego? Zaczynając od najprostszej i najoczywistszej sprawy – obaj byli istotami ludzkimi z planety Ziemia. Gdzie więc ta fundamentalna prawda mogła pojawić się z taką mocą, by przesłonić wszystko inne? A gdzież, jak nie na jałowych pustyniach Księżyca lub w odległej o sto pięćdziesiąt milionów kilometrów pustce kosmicznej? Wszystko zdawało się zmierzać w kierunku lepszym, niż kiedykolwiek Caldwell ośmielał się spodziewać. – Więc jest tak, jak zawsze mówiłam – oświadczyła Lyn Garland, gdy asystent Hunta pokazał jej kopię sprawozdania. – Gregg jest geniuszem, gdy idzie o postępowanie z ludźmi.

Dla weteranów Wyprawy Jowisz Cztery przybycie siedmiu statków na orbitę Ganimedesa było wielką chwilą; szczególnie dla tych, których okres służby miał się ku końcowi, gdyż teraz mogli oczekiwać, że wkrótce odlecą do domu.

W następnych tygodniach, gdy skomplikowany program przerzucenia zapasów i wyposażenia ze statków do urządzeń na powierzchni zaczął się realizować, sytuacja nad Ganimesem stała się równie chaotyczna, jak nad Księżycem podczas przygotowań do wyruszenia piątej wyprawy. Dwa statki dowodzenia przez kolejne dwa miesiące stały na orbitach w odległości piętnastu kilometrów jeden od drugiego. Następnie Jowisz Cztery, w

towarzystwie dwóch spośród nowo przybyłych statków towarowych, miał zająć stanowisko nad Kalisto, by zacząć rozbudowywać już założoną tam bazę pilotową. Jowisz Pięć miał pozostać nad Ganimesedem, dopóki nie przybędzie tam Saturn Dwa, który już rozpoczął końcowe wsteczne odliczanie przed startem z orbity Księżyca i powinien przybyć za pięć miesięcy. Po spotkaniu nad Ganimesedem jeden z dwóch statków (który z nich, miano jeszcze zdecydować) weźmie kurs na planetę z pierścieniami, udając się w najdalszą, jak dotychczas, wyprawę załogową.

Dni żeglowania na dalekich dystansach skończyły się dla Jowisza Cztery. Zbyt wolny w porównaniu z najnowszymi modelami, zapewne zostanie częściowo zdemontowany, aby zmienić się w stałą bazę orbitalną nad Kalisto. A za parę lat spotka go nędzny los: rozbiórka i kanibalizacja do budowy konstrukcji powierzchniowych.

Z powodu całego rwetesu i zatorów, które nagle nagromadziły się pod niebem Ganimeseda, upłynęły trzy dni, nim grupę naukowców z SKNZ można było przerzucić na powierzchnię. Po całych miesiącach przyzwyczajania się do trybu życia i do towarzystwa na pokładzie statku, Hunt poczuł ukłucie nostalgii, kiedy pakował swe rzeczy w kabinie i później, gdy stał w kolejce do wejścia na pokład Vegi przycumowanej we wnęce dokowania na śródkręciu Jowisza Pięć. Wszystko wskazywało, że po raz ostatni widzi wewnątrz owego potężnego miasta ze stopów metali, gdyż na Ziemię powróci na pokładzie jednego z małych, szybkich liniowców, przywiezionych wraz z wyprawą.

W godzinę później obserwował na ekranie kabinowym Vegi, jak Jowisz Pięć, obwieszony siecią astronautycznych urządzeń technicznych, szybko się zmniejsza. A potem obraz nagle się zmienił i zaczęło szybko rosnać ponure, mroźne oblicze Ganimeseda.

W bloku koszarowym numer trzy Głównej Bazy Ganimeseda, w pokoju urządzonej po spartańsku, Hunt siedząc na brzegu koi, metodycznie przekładał zawartość swej torby podróży do aluminiowej szafki. Nad drzwiami hałasował zasłonięty siatką wylot wyciągu powietrza, które wciągane przez wloty u dołu ścian było ciepłe i odrobinę zalatywało olejem maszynowym. Stalowe płyty podłogowe wibrowały zgodnie z pomrukiem ciężkich maszyn umieszczonych gdzieś niżej. Na przeciwległej koi Danhecker, oparty o poduszkę, przeglądał okładkę pełną faksymilowych notatek i barwnych ilustracji, trajkocząc z podniecenia jak uczeń w dniu Wigilii.

– Tylko pomyśl, Vic, jeszcze jeden dzień i będziemy tam. Zwierzęta, które naprawdę chodziły po Ziemi dwadzieścia pięć milionów lat temu! Każdy biolog dałby sobie odciąć prawą rękę za podobne przeżycie. – Uniósł w górę okładkę. – Tylko popatrz na to. Jestem przekonany, że to znakomicie zachowany okaz *Trilophodona*, mamuta z miocenu wyposażonego w cztery ciosy, a wysokiego na ponad cztery i pół metra. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej podniecającego niż to?

Hunt zrobił kwaśną minę, patrząc na nagie dziewczyny zdobiące przeciwległą ścianę. Była to kolekcja odziedziczona po wcześniejszym lokatorze z SKNZ.

– Szczerze mówiąc, tak – mruknął. – Ale to coś jest zbudowane zupełnie inaczej niż ten cholerny Trilophodon.

– Ee? Co powiedziałeś? – Danchecker zamrugał zza okularów, nic nie rozumiejąc.

Hunt sięgnął po papierośnicę.

– Nieważne, Chris – westchnął.

Rozdział dwudziesty drugi

Lot na północ w stronę Wylotu Szybu trwał niespełna dwie godziny. Po przybyciu grupka z Ziemi zebrała się w mesie oficerskiej budynku sterowni, aby wypić kawę. Podczas tego spotkania naukowcy Jowisza Cztery opowiedzieli nowo przybyłym najświeższe nowiny z Ganimedesa.

Z całą pewnością ganimedański statek przeznaczony był do długodystansowych podróży na wielką skalę, a nie do czegoś takiego, jak ograniczona wyprawa badawcza. Paruset Ganimedan zmarło wraz ze statkiem. Ilość i różnorodność zapasów, materiałów, wyposażenia i zwierząt hodowlanych, które zabrali ze sobą, wskazywały na to, że gdziekolwiek kierowali się, mieli zamiar tam pozostać.

Wszystko, co było związane ze statkiem, w szczególności jego oprzyrządowanie i system sterowania, wskazywało na bardzo zaawansowany stan nauki. Większość zastosowanej elektroniki była tajemnicza, a niektóre komponenty specjalnego przeznaczenia nie były podobne do niczego, co inżynierowie SKNZ kiedykolwiek oglądali. Komputery ganimedańskie zbudowane były na podstawie technologii integracji masy. Miliony komponentów były napyłane, warstwa za warstwą, aż utworzyły jeden monolityczny blok krzemowy. Ciepło rozpraszane wewnątrz było odprowadzane elektroniczną siecią chłodzenia, przeplecioną z obwodami funkcjonalnymi. W niektórych urządzeniach, składających się, jak sądzono, na system nawigacyjny, gęstość upakowania komponentów zbliżała się do gęstości, jaką ma ludzki mózg. Jeden z fizyków podniósł płytę czegoś, co wyglądało na krzem, a było wielkości dużego słownika, i oświadczył, że moc obliczeniowa tego procesora jest większa niż wszystkich razem wziętych komputerów w Centrali Nawtransu.

Statek miał opływowy kształt i solidną budowę, co wskazywało na przystosowanie do lotów w atmosferze oraz do lądowania na planetach, bez groźby złamania się pod własnym ciężarem. Oznaczało to, że inżynieria ganimedańska osiągnęła poziom, na którym funkcje Vegi i międzyorbitalnego transportera dalekiego kosmosu zostały zintegrowane w jednym statku.

System napędu był rewolucyjny. Nie stwierdzono dużych wylotów spalin ani wyraźnych reaktorów, wskazujących na możliwość posuwania statku jakimkolwiek rodzajem reakcji termonuklearnej czy odrzutem fotonowym. Główny układ zbiorników paliwa zaopatrywał szeregowo konwertery i generatory, których celem było wyzwalamie niesłychanych ilości energii elektrycznej i magnetycznej. Te zaś zasilaly układ nadprzewodzących szyn zbiorczych o przekroju prawie dwudziestu centymetrów kwadratowych oraz cały labirynt splecionych uzwojeń, wykonanych z grubych miedzianych prętów, otaczających coś, co wyglądało na silniki głównego napędu. Nikt nie był całkiem pewien, w jaki sposób ten układ powodował ruch statku, choć niektóre ze stworzonych na ten temat teorii były zaskakujące.

Czy mógł to być naprawdę statek międzygwiazdny? Czy Ganimedanie wyruszyli masowo w międzygwiazdny exodus? Czy ten właśnie statek, wkrótce po opuszczeniu Minerwy, doznał awarii w drodze poza Układ Słoneczny? Te pytania i jeszcze tysiąc innych pytań oczekiwały na odpowiedzi. Ale jedno było pewne: jeśli odkrycie Charliego zajęło dwa lata pracy Nawtransowi, tutaj znaleziono dość wiadomości, by zatrudnić połowę świata naukowego na dziesięciolecie, jeśli nie na stulecie.

Grupa z Ziemi spędziła kilka godzin w świeżo wzniesionej kopule laboratoryjnej, oglądając przedmioty wydobyte spod lodu, włącznie z licznymi szkieletami Ganimedan oraz tuzinami ziemskich zwierząt. Ku rozczarowaniu Dancheckera jego szczególny faworyt – antropoidalny małpolud, którego pokazywał przed wielu miesiącami Huntowi i Caldwellowi na ekranie w Houston – nie znajdował się wśród nich. „Cyryla” przewieziono na szczegółowe badania na pokład statku dowodzenia wyprawy Jowisz Cztery. Imię nadane mu przez biologów miało uczcić głównego naukowca wyprawy.

Po lunchu w stołówce bazy wszyscy przeszli do kopuły nakrywającej jeden z wylotów szybów. W kwadrans później stali głęboko pod powierzchnią lodowca, spoglądając ze strachem na statek.

Leżał, odkopany w całości, w potężnej, białej, zalanej światłem jaskini, od spodu jeszcze podtrzymywany resztką swego odlewu w lodzie. Jego kadłub ostro odcinał się pośród lasu masywnych stalowych dźwigarów i lodowych słupów podtrzymujących ciężar stropu. Za krzyżującymi się pochylniami i rusztowaniami, przytulonymi do jego boku, usunięto całe segmenty kadłuba, odsłaniając widok na pomieszczenia wewnętrzne. Wszędzie wokół podłogę jaskini pokrywały części maszynierii, podnoszone suwnicami. Widok ten przypominał Huntowi czasy, gdy on i Borlan odwiedzili potężne zakłady Boeinga, koło Seattle, gdzie montowano płatowce stratosferyczne 1017 – tylko tutaj wszystko rozgrywało się na jeszcze większą skalę.

Siecią kładek i drabin, ułożonych wewnątrz, zrobili obchód statku od pokładu dowodzenia z jego szerokim na cztery i pół metra głównym ekranem, przez pokoje sterowni, kwatery mieszkalne i szpital, aż do ładowni i szeregów kładek, w których znajdowały się zwierzęta. Sekcja głównego konwertera energii i generatora była tak imponująca i

skomplikowana, jak wewnątrz elektrowni termojądrowej. Za nią, po przekroczeniu grodzi, poczuli się jak karzełki w porównaniu z obnażonymi krzywiznami pary gigantycznych toroidów. Oprawdający ich inżynier zwrócił uwagę na potężne, zagięte płaszczyzny metalu.

– Ściany tych zewnętrznych obudów mają szesnaście stóp grubości – poinformował. – Wykonane są ze stopu, którym stal węglkowo-wolframową można ciąć jak masło. Zagęszczenie masy w nich zawartej jest fenomenalne. Sądzymy, że stworzyli oni tory zamknięte, wewnątrz których materia o wysokim stanie skupienia poddawana była wymuszonemu obiegowi lub drganiu rezonansowemu w interakcji z silnymi polami. Nie jest wykluczone, że wywoływane tą metodą wielkie zmiany potencjału grawitacyjnego były w jakiś sposób wykorzystywane do wytwarzania kontrolowanego odkształcenia przestrzeni wokół statku. Innymi słowy, on się poruszał dzięki nieustannemu spadaniu do studni, którą wytwarzał przed sobą, jak coś w rodzaju czterowymiarowego toru rezonansowego.

– Chce pan przez to powiedzieć, że zamykał się w bańce przestrzenno-czasowej, która jakoś tam przemieszczała się przez zwykłą przestrzeń? – podsunął ktoś z obecnych.

– Owszem, jeśli tak pan uważa – potwierdził inżynier. – Jestem zdania, że bańka to tak samo dobra analogia, jak każda inna. Interesujące jest to, że jeśli rzeczywiście tak przebiegało działanie, wówczas każdy atom statku i wszystkiego, co zawierał, byłby poddawany dokładnie takiemu samemu przyspieszeniu. Wobec tego nie następowałby efekt grawitacyjny. Statek mógł być zatrzymany w miejscu w ciągu milisekund przy szybkości, powiedzmy, półtora miliona kilometrów na godzinę, a nikt wewnątrz niego niczego by nie odczuł.

– A jaka była górna granica szybkości? – spytał ktoś inny. – Czy istniałaby bariera relatywistyczna?

– Nie wiem. Chłopcy od teorii, mieszkający na górze, na Jowiszu Cztery, spędzili z tego powodu wiele bezsennych nocy. Mechanika konwencjonalna nie odnosi się w ogóle do ruchów samego statku, ponieważ w lokalnej przestrzeni wewnątrz bańki on się wcale nie porusza. Natomiast kwestia, jak sama bańka przenosi się przez normalną przestrzeń, to już całkiem inna para kaloszy. Trzeba opracować całą nową teorię pól. A może działają tu kompletnie nowe prawa fizyki... Jak już powiedziałem: po prostu nic na ten temat nie wiemy. Tylko to jedno: statki o napędzie fotonowym, które obecnie projektuje się w Kalifornii, mogą okazać się przestarzałe, zanim się je zbuduje. Jeśli potrafimy dowiedzieć się dosyć o tym, jak ten statek działał, ta wiedza może nas popchnąć o sto lat naprzód.

Pod koniec dnia w głowie Hunta myśli wirowały bezładnie. Nowe informacje napływały z tak dużą prędkością, że nie był w stanie ich przetrwać. Pytania mnożyły się tysiącrotnie szybciej, niż zdolny był w ogóle znajdować na nie odpowiedzi. Z każdą kolejną rewelacją zagadka ganimedańskiego statku stawała się bardziej intrygująca, ale za nią tkwił jeszcze nie rozwiązany problem Lunarian. Hunt potrzebował czasu, aby cofnąć się i pomyśleć, uporządkować swój myślowy dom i rozsortować całą tę gmatwaninę na powiązane ze sobą

konceptje, gotowe do poumieszczania w mózgu w szufladkach z etykietkami. Wtedy dopiero będzie mógł dokładniej zorientować się, od czego zależą określone pytania i z którymi należy uporać się najpierw. Ale bałagan narastał szybciej, niż potrafił go rozsegregować.

Żarty i śmiechy, rozlegające się w mesie po wieczornym posiłku, stały się wkrótce nie do zniesienia. Siedząc samotnie w swym pokoju, Hunt poczuł, że ściany przyprawiają go o klaustrofobię. Przez chwilę spacerował bezludnymi korytarzami wśród kopuł i budynków. Okazały się przygnębiające; zbyt długo mieszkał w blaszanych puszkach. Wreszcie dotarł do kopuły wieży sterowania, wpatrując się w płonącą szarą ścianę, którą stworzyły otaczające bazę reflektory, nasycające blaskiem metanowo-amoniakalną mgłę ganimedańskiej nocy. Po chwili nawet obecność dyżurnego kontrolera, którego twarz wydobyło z ciemności światło padające z konsoli, stała się denerwująca. W drodze do klatki schodowej Hunt zatrzymał się przy konsoli.

– Proszę odnotować moje wyjście na powierzchnię.

Dyżurny kontroler spojrział na niego z ukosa.

– Wychodzi pan na zewnątrz?

– Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

Kontroler włączył jeden ze swych ekranów.

– Proszę podać, kim pan jest.

– Hunt. Doktor Victor Hunt.

– Identyfikator?

– 730289 C/EX4.

Dyżurny wgrał te dane, następnie sprawdził czas i dodał go do zapisu.

– Jeśli pan nie powróci za godzinę, proszę zgłosić się przez radio. Kanał odbioru należy mieć stale otwarty na częstotliwości 24, 328 megaherców.

– Zrobi się – potwierdził Hunt. – Dobrej nocy.

– Dobrej.

Kontroler popatrzył za Huntem znikającym w wejściu na dolne piętro, wrzucił sam do siebie ramionami i odruchowo przeleciał wzrokiem po szeregu ekranów przed sobą. Zapowiadała się spokojna noc.

W przedsionku do służby na poziomie parteru Hunt wybrał sobie jeden ze skafandrów wiszących w szafkach po prawej stronie. W parę minut później, ubrany i z przymocowanym hełmem wszedł do służby, wgrał swe nazwisko i kod identyfikacyjny do terminalu przy bramce i czekał przez chwilę, aż rozsunęły się zewnętrzne drzwi służby.

Wynurzył się w wirującej srebrnej mgłę i skręcił na prawo, wzdłuż majaczącego, czarnego metalowego urwiska budynku sterowni. Chrupanie lodowego pyłu pod jego butami wydawało się dolatywać słabo i z daleka. Gdy ściana skończyła się, Hunt poszedł prosto przed siebie, na otwartą przestrzeń w stronę skraju bazy. Widmowe stalowe kształty

wynurzały się i nikły wśród otaczających go milczących cieni. Mrok przed nim zgęstniał, gdy wysepki rozproszonego światła zaczęły zanikać po obu stronach. Lodowe zbocze prowadziło z wolna pod górę. Coraz częściej pojawiały się nieregularne plamy nagich uskoków skalnych. Doktor szedł przed siebie jak w transie.

W jego wyobraźni przewijały się, jeden za drugim, obrazy z przeszłości. Chłopiec czytający książki, odcięty od świata w sypialni na górnym piętrze domu w londyńskich slumsach... Młodzieniec, co rano pedałuje na rowerze przez wąskie uliczki Cambridge... Człowiek, którym był niegdyś, teraz stał się nie bardziej realny niż człowiek, którym będzie. Przez całe życie szedł przed siebie, bez zatrzymania, zawsze zmieniając się z kogoś, kim był, w kogoś, kim będzie. Za granicą każdego nowo odkrytego świata przyzywał go następny. I zawsze otaczały go nieznajome twarze – wpływały w jego życie jak przelotne cienie skał, teraz zbliżające się ku niemu przez mgły. Jak te skały, ludzie zdawali się istnieć przez chwilę, przyjmować kształty i treści, a po chwili rozpadać się, tuż za nim, na strzępy minionej przeszłości, jak gdyby nigdy nie istnieli. Forsyth-Scott, Felix Borlan i Rob Gray już przestali istnieć. Czy Caldwell, Danchecker i cała reszta też wkrótce zblaknie i przyłączy się do nich? A jakie nowe postacie zmaterializują się w nieznanym świecie, ukrytych za zasłoną czasu przyszłego?

Z pewnym zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że otaczające go mgły znowu pojaśniały i że nagle sięga wzrokiem znacznie dalej. Wspiął się do góry po olbrzymim lodowcu, teraz już gładkim i nie poprzecinanym skałami. Światło stało się tajemniczym jednostajnym lśnieniem, przenikającym ze wszystkich stron przez opary, jak gdyby sama mgła zaczęła świecić. Wspiął się wyżej. Za każdym krokiem jego pole widzenia poszerzało się, a lśnienie zanikało w otaczającej mgle, skupiając się w jedną połąć, z sekundy na sekundę jaśniejszą nad jego głową. Aż wreszcie wynurzył się ponad górną granicę ściany mgły. Była tylko zastoiną uwięzioną w wielkim zagłębieniu, w którym wybudowano bazę; niewątpliwie umieszczono ją tutaj, aby skrócić szyb drażony dla osiągnięcia statku Ganimedan. Zbocze nad Huntem kończyło się długą, zaokrągloną granią nie dalej niż o piętnaście metrów od niego. Nieco zmienił kierunek marszu w stronę bardziej stromego skłonu prowadzącego wprost na szczyt grani. Ostatnie czepliwe strzępy bieli znikły w tyle.

Na szczycie noc była przejrzysta jak kryształ. Stał na lodowej plaży, która od jego stóp ciągnęła się w dół, by zniknąć w jeziorze waty. Na jego przeciwległym brzegu wznosiły się szczyty skalnych skarp i lodowych klifów, stojących po drugiej stronie bazy. Na całe mile dokoła w oceanach chmur płynęły widmowe, białe masywy ganimedańskiego lodu, błyszcząc na tle czarnego nieba.

Ale nie było Słońca.

Podniósł wzrok i mimo woli na chwilę stracił oddech. Nad nim, pięć razy większa niż Księżyc oglądany z Ziemi, wisiała tarcza Jowisza. Żadna z kiedykolwiek oglądanych fotografii ani żaden obraz rzucony na ekran nie mogły się równać ze wspaniałością tego

widoku. Blask wypełniał całe niebo. Wszystkie kolory tęczy splecione były w opalizujące wstęgi, ciągnące się warstwa za warstwą od jego równika ku biegunom. Zbliżając się do krawędzi globu blakły i łączyły się z mglistym kołem różowości otaczającym całą planetę. Róż zmieniał się w fiolet i wreszcie w szkarłat zakończony wyraźną, ostrą krawędzią, rysującą na niebie ogromne koło. Niezmienny, nieporuszony, wieczny... najpotężniejszy z bogów – i maleńki, słaby, krótkowieczny człowiek, który przepelzył na liczącą pięć milionów mil pielgrzymkę, by złożyć mu hołd.

Upłynęły może sekundy, może całe godziny. Hunt tego nie wiedział. Przez ułamek wieczności stał nieruchomo, pyłek zagubiony wśród milczących wieżyc skał i lodu. Charlie także stał wśród jałowej pustyni i wpatrywał się w planetę otuloną światłem i barwami – ale były to barwy śmierci.

W tym momencie sceneria oglądana przez Charliego przypominała się Huntowi żywiej niż kiedykolwiek. Widział miasta niszczone kulistymi piorunami dziesięciomilowej wysokości; widział zionące przepaście, osmalony i poczerniały popiół, który niegdyś był dnem oceanów, i jeziora ognia, gdzie kiedyś stały góry. Ujrzał, jak kontynenty wyginają się i rozpadają, a potem topią w furii białego żaru, który wydobywając się z głębi, wybuchał w górę. Tak wyraźnie, jakby to działo się w tej chwili, widział, jak potężny glob nad jego głową puchnie i rozpada się z groteskową a myślącą powolnością potężnych wydarzeń widzianych z wielkiej odległości. Dzień po dniu będzie pędził w przestrzeń, pożerając jeden po drugim swe księżycy w nienasyconej orgii łakomstwa, dopóki nie wyczerpią się jego siły. A wtedy...

Huntem wstrząsnął powrót do rzeczywistości.

Nagle poznał poszukiwaną od tak dawna odpowiedź. Pojawiła się znikąd. Próbował odnaleźć jej źródło, cofając się ku wcześniejszym myślom, ale niczego nie znalazł. Ścieżki głębszych pokładów jego świadomości otworzyły się na chwilę, lecz już były zamknięte. Złudzenie zostało zdemaskowane. Zniknął paradoks. Oczywiście nikt go wcześniej nie dostrzegł. Któż mógł zakwestionować prawdę bezkrytycznie przyjętą za oczywistą i starszą niż sama rasa ludzka?

– Sterownia Wylotu Szybu wzywa doktora Victora Hunta. Doktorze Hunt, proszę się zgłosić.

Zaskoczył go głos, który nagle zabrzmiał wewnątrz hełmu. Nacisnął guzik tablicy kontrolnej na piersi.

– Zgłasza się Hunt – potwierdził wezwanie. – Słyszę cię dobrze.

– Rutynowa kontrola. Spóźnił się pan o pięć minut ze zgłoszeniem. Czy wszystko w porządku?

– Przepraszam, nie zwróciłem uwagi na czas. Tak, wszystko w porządku... w wielkim porządku. Teraz już wracam.

– Dziękuję. – Głos zamilkł wraz z trzaskiem wyłącznika.

Więc bawił tu tak długo? Zdał sobie sprawę, że jest mu zimno. Lodowate palce ganimedańskiej nocy zaczynały przenikać do wnętrza jego skafandra. Podkręcił sterowanie ogrzewaniem o jeden obrót i poruszył rękami. Nim się odwrócił, raz jeszcze podniósł wzrok, by ujrzeć widok gigantycznej planety. Z jakiegoś niejasnego powodu zdawała się uśmiechać.

– Dziękuję, przyjacielu wyszeptał, mrugnawszy. Być może kiedyś będę w stanie coś dla ciebie zrobić.

Z tymi słowami zaczął iść w dół po grani i szybko zniknął w morzu chmur.

Rozdział dwudziesty trzeci

Grupa około trzydziestu osób, głównie naukowców, inżynierów i wyższych urzędników SKNZ weszła gęsiego do audytorium konferencyjnego w budynku centrali Nawtransu. Pomieszczenie wyposażono we wznoszące się stopniami ku górze rzędy foteli stojących przodem do wielkiego, pustego ekranu umieszczonego naprzeciw dwuskrzydłowych drzwi. Przed ekranem stał na podwyższeniu Caldwell patrząc, jak różne grupki i pojedyncze osoby zajmują miejsca. Wkrótce wszyscy już siedzieli, a woźny z głębi zasignalizował, że w korytarzu zewnętrznym nie ma już nikogo. Caldwell przyjął to do wiadomości kiwnięciem głowy, uniósł rękę prosząc o ciszę i zrobił krok do stojącego przed nim mikrofonu.

– Proszę o uwagę, panie i panowie... Czy możemy mieć tu ciszę...?

Barytonowy głos ryknął z głośników rozmieszczonych na ścianach. Szepty ucichły.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie w tak krótkim terminie – podjął. – Wszyscy tu obecni byli od dłuższego już czasu związani z takim czy innym aspektem problemu Lunarian. Od chwili jego pojawienia się było niemało sporów i różnic zdań, o czym zresztą wszyscy wiecie. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, radziliśmy sobie całkiem nieźle. Na początku mieliśmy ciało i parę strzępków papieru, a z tego zrekonstruowaliśmy całą planetę. Lecz do dziś pozostało bez odpowiedzi kilka podstawowych pytań. Pewien jestem, że wszystkim tu obecnym nie muszę ich powtarzać. – Przerwał na chwilę. – Nareszcie jednak, jak się zdaje, mamy odpowiedzi na owe pytania. Nowe wydarzenia, które skłaniają mnie do takiej opinii, są tak niespodziewane, że uznałem za stosowne wezwać tu was wszystkich, abyście obejrzel na własne oczy to, co ja po raz pierwszy ujrzałem ledwie parę godzin temu.

Znów przerwał, aby nastrój zgromadzenia zmienił się z właściwego do słuchania uwag wstępnych na bardziej stosowny do omawiania poważnych spraw.

– Jak wszyscy wiecie, wiele miesięcy temu opuściła nas grupa naukowców, którzy wraz z Wyprawą Jowisz Pięć odlecieli, by zbadać odkrycia na Ganimedesie. Do tej grupy należał Vic Hunt. Dziś rano dostałem jego najnowsze sprawozdanie na temat rozwoju wydarzeń. Teraz wyświetlimy wam jego zapis. Sądzę, że to, co zobaczycie, uznacie za interesujące.

Caldwell rzucił okiem w stronę okienka projekcyjnego i uniósł rękę. Światła zaczęły przygasać. Zszedł z podwyższenia i zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Na chwilę zapanowała ciemność. Następnie rozświetlił się ekran, ukazując nagłówek pliku i jego adres w standardowym formacie SKNZ. Nagłówek widoczny był przez parę sekund, a następnie pojawiła się twarz Hunta spoglądająca na kamerę zza biurka.

– Specjalna Grupa Badawcza Nawtransu na Ganimesie, melduje Victor Hunt, 20 listopada 2029 roku. Standardowy Czas Ziemi – ogłosił. – Temat transmisji: *Hipoteza dotycząca pochodzenia Lunarian*. Nie będzie to jeszcze prezentacja całkowicie udowodnionej teorii. Celem tego komunikatu jest przedstawienie możliwego następstwa wydarzeń, które po raz pierwszy adekwatnie wyjaśnia pochodzenie Lunarian oraz jest w pełni zgodne ze wszystkimi znanymi nam dotychczas faktami.

Hunt przerwał, by zajrzeć do leżących przed nim na biurku notatek. W audytorium konferencyjnym cisza była absolutna. Hunt podniósł wzrok i popatrzył na nich z ekranu.

– Jak do tej chwili skłonny byłem nie wyróżniać w szczególny sposób żadnej z krążących idei na niekorzyść innych, głównie z tego powodu, że nie byłem w pełni przekonany, aby sformułowania którejkolwiek z nich należycie wyjaśniały wszystko, co mogliśmy uznawać za fakty. Ta sytuacja uległa zmianie. Obecnie upewniłem się, że istnieje jedno wytłumaczenie, zdolne udźwignąć ciężar wszystkich dowodów. Oto ono: Układ Słoneczny początkowo składał się z dziewięciu planet, włącznie z Minerwą, i rozciągał się aż do Neptuna. Minerwa, spokrewniona z planetami wewnętrznymi, lecz położona na zewnątrz Marsa, pod wieloma względami przypominała Ziemię. Miała podobną wielkość oraz gęstość i zbudowana była z mieszaniny podobnych pierwiastków. W miarę ochładzania się wytworzyła atmosferę, hydrosferę i rzeźbę powierzchni. Hunt przerwał na chwilę. – To właśnie było źródłem trudności: jak pogodzić warunki panujące na powierzchni planety, która znajduje się w takiej odległości od Słońca, z istnieniem życia w takiej postaci, jaką znamy. Na dowód, że te czynniki dają się pogodzić, odwołam się do prac profesora Fullera, przeprowadzonych w ostatnich miesiącach na Uniwersytecie Londyńskim.

U dołu ekranu pojawił się napis, podający szczegółowo tytuły odpowiednich artykułów Fullera i kody dostępu do nich.

– Krótko mówiąc, Fuller stworzył model stanu równowagi różnych gazów atmosferycznych i wprowadzonej przez wulkanizm pary wodnej, zgodny ze znanymi nam danymi. Aby mógł być podtrzymywany określony stan wolnego atmosferycznego dwutlenku węgla i pary wodnej oraz zachowane istnienie znacznych ilości wody w stanie ciekłym, model wymaga bardzo wysokiego poziomu aktywności wulkanicznej na planecie, w każdym razie w jej wczesnej historii. Że ten wymóg mógł być rzeczywiście spełniony, można wnioskować z faktu, iż w porównaniu z wielkością tej planety, skorupa Minerwy była wyjątkowo cienka i miała niestabilną strukturę. Jest to znaczące, za chwilę stanie się jasne. Model Fullera zgodny jest także z ostatnimi wynikami badań Asteroidów. Cienkość skorupy

może być wynikiem względnie szybkiego stygnięcia powierzchni, co spowodowane było znaczną odległością od Słońca, ale z równoczesnym przedłużeniem płynności jądra w związku ze znajdującymi się pod powierzchnią źródłami ciepła. Badacze Asteroidów donieśli, że wiele ze zbadanych próbek było bogatych w produkujące ciepło substancje radioaktywne.

Tak więc Minerva ostygła do średniej temperatury powierzchniowej niższej niż na Ziemi, ale nie tak niskiej jak można by oczekiwać. Wraz z ochłodzeniem nastąpiło tworzenie się bardziej skomplikowanych molekuł, aż wreszcie pojawiło się życie. Z życiem nadeszło zróżnicowanie, po nim zaś współzawodnictwo, następnie selekcja. Innymi słowy: ewolucja. Po wielu milionach lat ewolucja kulminowała, wydając rasę inteligentnych istot, które zapanowały na planecie. Były to istoty nazwane przez nas Ganimedanami. Wytworzyli oni zaawansowaną cywilizację technologiczną. Następnie, w przybliżeniu dwadzieścia pięć milionów lat temu, osiągnęli poziom, który, według naszej oceny, wyprzedza nas o jakieś sto lat. Ten wniosek wysunęliśmy po zbadaniu budowy statku ganimedańskiego, który tu oglądamy, oraz wyposażenia znalezionej w jego wnętrzu. Mniej więcej w tamtym okresie na Minervie nastąpił poważny kryzys. Coś zakłóciło delikatny mechanizm, sterujący równowagą między ilością dwutlenku węgla związanego w skałach i będącego w stanie wolnym; jego zawartość w atmosferze zaczęła rosnać. Przyczyny tego można się jedynie domyślać. Jedną z możliwości opiera się na przypuszczeniu, że coś wywołało tendencję do wyższej aktywności wulkanicznej tkwiącej w strukturze Minervy, może przyczyny naturalne, może coś, co zrobili Ganimedanie. Istnieje także ewentualność, że Ganimedanie próbowali zrealizować ambitny program kontroli klimatu i wszystko na wielką skalę zoczyło z wytyczonej drogi. W tej chwili nie mamy jeszcze dobrego wytłumaczenia takiego zjawiska. Ale trzeba pamiętać, że badania Ganimedan ledwie się rozpoczęły. Sama zawartość statku będzie wymagała całych lat pracy, ja zaś jestem całkiem pewien, że tu pod lodem czeka nas jeszcze wiele odkryć. W każdym razie jak na dziś główną sprawą jest to, że coś się wydarzyło. Chris Danchecker udowodnił...

U dołu ekranu ukazał się kolejny adres pliku.

– ...że wszystkie wyższe, oddychające powietrzem żywe istoty niemal z pewnością miały tam bardzo niską tolerancję na wzrost stężenia dwutlenku węgla. Wynika to z ich podstawowego systemu reakcji mikrochemicznych, odziedziczonego po najstarszych przodkach. To oczywiście implikuje wniosek, że zmieniające się na powierzchni Minervy warunki stanowiły zagrożenie istnienia większości lądowych istot żywych, z Ganimedanami włącznie. Jeśli założymy, że tak rozwijała się ich sytuacja, będziemy mieli możliwy do przyjęcia powód innej supozycji, opierającej się na przypuszczeniu, że Ganimedanie przez pewien czas na wielką skalę importowali zrównoważoną mieszalinę roślin i zwierząt z Ziemi. Być może z powodu swego położenia w systemie słonecznym na Minervie nie było nic porównywalnego z bogactwem i różnorodnością życia, tak obficie występującego na znacznie cieplejszej planecie, jaką jest Ziemia. Oczywiście jest, że eksperyment się nie powiódł.

Chociaż zaimportowane gatunki znalazły tam warunki wystarczające do tego, by bujnie się rozwijać, nie spowodowały jednak oczekiwanych wyników. Z różnych rozproszonych informacji wnioskujemy, że Ganimedanie dali temu wszystkiemu spokój, uznawszy sprawę za beznadziejną, i ruszyli na poszukiwanie nowego domu, gdzieś poza granicami Układu Słonecznego. Nie wiem, czy udało im się to czy nie, być może dalsze badania znalezisk na statku rzucą więcej światła na tę kwestię.

Hunt przerwał, by wziąć z biurka papierośnicę, i powoli, starannie zapalił papierosa. Przerwa była zapewne wyliczona tak, by publiczność mogła przez chwilę zastanowić się nad tą częścią jego opowieści. Na sali rozszedł się szmer przyciszonych rozmów. Ulegając sugestii płynącej z ekranu, tu i ówdzie rozbłysnął ogieniek. Hunt przemówił ponownie:

– Pozostałe na planecie rodzime gatunki lądowe wkrótce wymarły. Ale imigranci z Ziemi charakteryzowali się wyższą zdolnością adaptacji i przeżyli. Lecz nie tylko: uzyskali możliwość rozprzestrzeniania się bez przeszkód i sprzeciwu po całej powierzchni Minerwy, bo jakakolwiek miejscowa konkurencja przestała istnieć. Nowo przybyli mogli więc nadal ewoluować, kontynuując proces zapoczątkowany milion lat temu w oceanach Ziemi. Lecz oczywiście przez cały ten czas identyczny proces rozwojowy trwał też na samej Ziemi. Dwie grupy gatunków zwierząt, mające to samo dziedzictwo genetyczne po wspólnych przodkach, wyposażone w identyczny potencjał ewolucyjny, rozwijały się na dwóch różnych planetach. A teraz, tym którzy jeszcze nie mieli przyjemności poznać Cyryla, przedstawiam go.

Z ekranu zniknęła twarz Hunta, a zamiast niej pojawił się portret małpoluda odnalezionego na statku Ganimedan. Hunt kontynuował komentarz:

– Zespół Chrisa przeprowadził w laboratoriach Jowisza Cztery gruntowne badanie tej oto osobistości. Streszczenie wyników, dokonane osobiście przez Chrisa, brzmi, cytując: „Uważamy, że osobnik ten co do pochodzenia jest bliższy linii rozwojowej prowadzącej do człowieka współczesnego niż cokolwiek, co dotychczas zostało zbadane. Na Ziemi znaleziono wiele skamieniałości istot, które reprezentują różne stadia rozwojowe, począwszy od wczesnych, znajdujących się na linii wstępującej małp człekokształtnych w ogólnym kierunku człowieka. Ale, jak do dziś, wszystkie te znaleziska zostały zakwalifikowane jako należące do odchyleń od głównej linii; okaz reprezentujący bezpośrednio ogniwo łańcucha prowadzącego do Homo sapiens zawsze nam się wymykał. Tutaj oto mamy takie właśnie ogniwo”. Koniec cytatu.

Znów pojawił się obraz Hunta.

– Wobec tego możemy być całkiem pewni, że wśród istot pochodzenia ziemskiego, które rozwijały się na Minerwie, znajdowało się wiele naczelných bardziej zaawansowanych ewolucyjnie, niż którekolwiek z pozostałych na Ziemi. Charakterystyczny już wcześniej dla Minerwy szybszy rozwój powtórzył się i w tym wypadku, być może spowodowany ostrzejszym klimatem i warunkami naturalnymi. Przeszły miliony lat. Na Ziemi pojawiały się i znikły gatunki istot człekopodobnych, niektóre z nich wstępujące, inne uwstecznione.

Nadeszła epoka lodowa i trwała aż do końcowej fazy zlodowacenia około pięćdziesięciu tysięcy lat temu. W tym czasie na Ziemi szczyt rozwoju reprezentowały prymitywne hominidy: pierwotni jaskiniowcy, myśliwi, wytwórcy prostego uzbrojenia i narzędzi z kamienia łupanego. Ale na Minerwie już wówczas istniała cywilizacja technologiczna: Lunarianie – pochodzący od importowanych istot i od tych samych, co my, pradawnych przodków – ludzie anatomicznie pod każdym względem. Nie mam zamiaru rozwodzić się nad problemami, którym musiała stawić czoło rozwijająca się cywilizacja lunariańska; obecnie są już dobrze znane. Dzieje tego ludu to jedna, długa historia wojen i trudów towarzyszących ich pogoni za możliwością ucieczki z umierającej planety. Te trudności były wielokrotnie spotęgowane chronicznym brakiem surowców mineralnych; być może na planecie od początku występował ich brak, możliwe także, że została dokładnie wyeksploatowana przez Ganimedan. Tak czy inaczej, wojujące ze sobą obozy spolaryzowały się w postaci dwóch supermocarstw, które w ostatecznej rozgrywce zniszczyły siebie i całą planetę.

Hunt przerwał znowu, aby ten szczegół utrwalił się w pamięci słuchaczy. Ale tym razem w audytorium panowała martwa cisza. Nic z tego, co powiedział, nie było nowością, ale Hunt uporządkował dane wybrane z tysiąca i jednej teorii i spekulacji, które wściekle mnożyły się w Nawtransie i okolicy od tak dawna, jak pamiętano. Milczący widzowie w audytorium wyczuwali, że rzeczy naprawdę nowe dopiero usłyszą.

– Zatrzymajmy się na chwilę i zastanówmy, do jakiego stopnia ta relacja zgadza się z posiadanymi przez nas dowodami. Po pierwsze istniał podstawowy problem ludzkich kształtów Charliego. Odpowiedź: był człowiekiem, potomkiem tych samych przodków, co my wszyscy, i nie potrzeba zakładać istnienia żadnej równoległej linii ewolucji, by wytłumaczyć jego istnienie. Po drugie brak jakichkolwiek śladów Lunarian na Ziemi. Tu przyczyna jest całkiem oczywista: nigdy nie było ich na Ziemi. Po trzecie wszystkie wysiłki godzenia geografii planety Charliego z ziemską stają się zbędne, ponieważ, jak z tego wynika, były to naprawdę dwie różne planety. A więc jak dotąd wszystko w porządku. Ale samo w sobie nie wyjaśnia to jeszcze wszystkich faktów. Istnieją pewne dodatkowe dowody, które musi brać pod uwagę każda teoria, jeśli chce twierdzić o sobie, że jest całkowita. Można je streścić w następujących pytaniach:

Pierwsze: jakim sposobem podróż Charliego z Minerwy na nasz Księżyc mogła trwać tylko dwa dni?

Drugie: jak wytłumaczyć istnienie broni, odpowiadającej lunariańskiemu poziomowi techniki, którą można było wycelować dokładnie na dystans od naszego Księżyca do Minerwy?

Trzecie: jak to się stało, że opóźnienie w wymianie wiadomości, dotyczących systemu kierowania ogniem, wynosiło znacznie mniej niż dwadzieścia sześć minut, czyli minimum czasu, jakiego ta odległość wymagała?

Czwarte: jak Charlie mógł, stojąc na naszym Księżycu, widzieć szczegóły na powierzchni Minerwy?

Hunt spojrział z ekranu, pozostawiając słuchaczom mnóstwo czasu na zastanowienie się nad owymi pytaniami. Zdusił papierosa i pochylił się w stronę kamery, opierając łokcie na biurku.

– Otóż, wedle mojej teorii, istnieje tylko jedno wytłumaczenie zdolne pogodzić te na pozór nonsensowne wymagania. Wobec tego przedstawiam je wam. Księżyc, orbitujący wokół Minerwy od niepamiętnych czasów aż do chwili wypadków, które wydarzyły się pięćdziesiąt tysięcy lat temu... i Księżyc, który świeci na niebie dzisiejszej Ziemi... są jednym i tym samym!

Przez jakieś trzy sekundy nic się nie działo.

A potem w przyciemnionym pokoju wybuchło niedowierzenie. Jedni gestykulowali pod adresem swych sąsiadów, inni odwracali się do tylnych rzędów, błagając o komentarze. Nagle całe audytorium wypełniła wrzawa grzmiących sporów.

– Niemożliwe! – Na Boga... on ma rację! – Oczywiście... Oczywiście...!

– Musi tak być...

– Brednie!

Hunt spoglądał z ekranu obojętnym wzrokiem, jak gdyby przyglądał się tej scenie. Czas, który przeznaczył na przewidywaną reakcję sali, był dobrze wyliczony. Przemówił ponownie, gdy zmieszane głosy zaczęły przycichać.

– Wiemy, że Charlie znajdował się na naszym Księżycu, ponieważ tam go znaleźliśmy, ponieważ potrafimy zidentyfikować opisane przez niego tereny, ponieważ mamy obszerne dowody na to, że Lunarianie znajdowali się tam w wielkiej liczbie, i ponieważ dowiedliśmy, że nastąpiła tam gwałtowna wymiana ognia z broni nukleonowej i atomowej. Ale to samo miejsce musiało także być satelitą Minerwy. Znajdował się tylko o dwa dni lotu od planety; Charlie tak mówi, a my jesteśmy pewni, że właściwie interpretujemy jego skalę czasu. Umieszczono tam bronie zdolne trafić w wybrane cele na Minerwie, a obserwacja trafień była niemal natychmiastowa. A jeśli tego nie wystarczy, to Charlie, stojąc w miejscu oddalonym mniej niż dziesięć metrów od tego, w którym znaleźliśmy go, potrafił rozróżnić szczegóły na powierzchni Minerwy. To wszystko może być zgodne z prawdą tylko w tym wypadku, gdy wspomniane miejsce znajdowało się o, powiedzmy, osiemset tysięcy kilometrów od Minerwy. Jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, że oba księżyce były jednym i tym samym. Przez długi czas zapytywaliśmy się, czy cywilizacja lunariańska rozwinęła się na Ziemi, czy też rozwinęła się na Minerwie. Otóż, uwzględniając to, co powiedziałem, oczywiste jest, że idzie o Minerwę. Sądziliśmy, że mamy do czynienia z dwoma sprzecznymi zespołami informacji, z których jeden podawał, że idzie o Ziemię, a drugi, że nie. Ale to my błędnie interpretowaliśmy te dane. Nie mówiły one niczego ani na temat Ziemi, ani Minerwy... mówiły o ziemskim i minerwiańskim księżycu! Pewne fakty

podsuwały nam, że mamy do czynienia z księżycem Ziemi, podczas gdy inne, że z księżycem Minerwy. Tak długo, jak upieraliśmy się przy wprowadzaniu, całkiem nieświadomie, założenia, iż te dwa księżyce są różne, konflikt między oboma zespołami informacji był nierozwiązalny. Ale jeśli, w pełnej zgodzie z logicznymi wymaganiami sytuacji, wprowadzimy postulat, że w obu wypadkach był to ten sam księżyc, w naszych oczach konflikt znika.

Wyraźnie widać było, że słuchaczy ogarnął szok. W pierwszych rzędach ktoś mruczał:

– Oczywiście... Oczywiście – na wpół do siebie i na wpół głośno.

– Pozostaje nam już tylko pogodzić te propozycje z sytuacją, jaką dziś widzimy wokół nas. I znów jest możliwe tylko jedno wytłumaczenie. Minerwa eksplodowała i rozproszyła się, aby stać się Pasem Asteroidów. Jesteśmy nader pewni, że większość jej masy została wyrzucona do zewnętrznych obszarów systemu słonecznego i stała się Plutonem. Natomiast jej księżyc, choć doznał pewnego wstrząsu, pozostał nienaruszony. Podczas przewrotu grawitacyjnego, który nastąpił, gdy macierzysta planeta rozpadła się, jego pęd orbitalny wokół Słońca uległ zmniejszeniu i satelita zaczął spadać do środka układu.

Nie potrafimy powiedzieć, jak długo osierocony księżyc zbliżał się coraz bardziej do Słońca. Może ta podróż trwała miesiące, może lata. A potem stało się coś, co miało jedną szansę na milion, ale takie wydarzenia niekiedy dzieją się w przyrodzie. Trajektoria, po której podążał księżyc, zaprowadziła go w pobliże Ziemi, krążącej samotnie swą ścieżką wokół Słońca od początku czasów!

Hunt przerwał na parę sekund.

– Tak, powtarzam, samotnie! Jeśli bowiem mamy przyjąć to, co uważam za jedyne zadowalające wytłumaczenie, jakie nam pozostało, musimy także przyjąć jego konsekwencje: stwierdzenie, że do tej chwili, około pięćdziesięciu tysięcy lat temu, planeta Ziemia nie miała księżyca! Oba ciała niebieskie zbliżyły się na tyle, że ich pola grawitacyjne zaczęły na siebie oddziaływać, aż do momentu, gdy nastąpiło ich wzajemne pochwycenie. Nowa, wspólna orbita okazała się stabilna, a Ziemia przyjęła podrzutka i zachowała go po dziś dzień.

Jeżeli zgodzimy się z tym wyjaśnieniem, to wiele innych rzeczy, które stwarzały nam problemy, nagle zaczyna nabierać sensu. Weźmy na przykład nadmiarowy materiał pokrywający większość odziemskiej półkuli Księżyca i, jak dowiedziono, pochodzący z niedawnej przeszłości; zestawmy to z datowaniem wszystkich kraterów na tamtej półkuli i niektórych po stronie przyziemskiej na okres zbliżony do omawianego. Teraz mamy już wytłumaczenie owego zjawiska. Gdy Minerwa wybuchła, wówczas to, co teraz jest Księżycem, znalazło się dokładnie na drodze lecących odłamków. Bo takie było źródło huraganu meteorytów. I w ten sposób praktycznie wszystkie dowody obecności Lunarian na Księżycu zostały zmiecione. Prawdopodobnie istnieje niezliczona liczba ich baz, instalacji i pojazdów, ciągle jeszcze oczekujących na odkrycie... trzysta metrów pod powierzchnią strony odziemskiej. Sądzimy, że stanowisko Anihilatora w Seltarze znajdowało się na tamtej stronie.

To sugeruje, że obecna strona dalsza od Ziemi była stroną bliższą dla Minerwy; wobec tego zrozumiałe jest, że większość meteorytów z huraganu wylądowało właśnie tam. Zauważono, że Charlie podaje kompasowe strony świata na powierzchni Księżyca odmiennie od naszych. Wynika z tego, że oś północ-południe przebiegała inaczej. Teraz już wiadomo dlaczego. Niektórzy pytali, czemu jeśli Księżyc podlegał tak intensywnemu bombardowaniu, nie ma z owego okresu żadnych śladów porównywalnego wzrostu aktywności meteorytowej na Ziemi? Teraz i to staje się zrozumiałe: gdy Minerwa wybuchła, Księżyc był w jej bezpośredniej bliskości, ale Ziemia nie. I ostatnia sprawa, dotycząca fizyki Księżyca... Od pół wieku wiedzieliśmy, że Księżyc zbudowany jest z połączenia skalnych składników, odmiennych od znajdujących na Ziemi: mniej w nich pierwiastków lotnych, więcej ogniotrwałych. Naukowcy od dawna zastanawiali się nad tym, czy możliwe jest, że Księżyc utworzony został w innym miejscu systemu słonecznego niż Ziemia. Jeśli wszystko, co powiedziałem, okaże się zgodne z prawdą, to i wynikający z tego wniosek będzie prawdziwy. Pewne wyjaśnienia sugerowały, że Lunarianie utworzyli na Księżycu wysunięte przyczółki. To pozwalało pogodzić ich dowiedzioną obecność w owym miejscu z ewolucyjnym pochodzeniem z Minerwy. Ale wywoływało równocześnie nie mniej trudne pytanie: czemu walczyli o opanowanie techniki lotów kosmicznych, gdy musieli nią już dysponować? Zgodnie z teorią, którą opisałem, ta trudność odpada. Dotarli do własnego księżyca, ale jeszcze nie umieli przemieszczać znacznych grup ludności do miejsc tak odległych, jak Ziemia. Nie ma również potrzeby wprowadzania nie dowiedzionego poglądu o istnieniu kolonii Lunarian na Ziemi, bo i tak wiąże się to z taką samą trudnością. I na koniec, w świetle tego, co powiedziałem, zaczyna nabierać sensu nie rozwiązana dotąd zagadka oceanograficzna. Studium ruchów pływowych dowiodło, że w owym czasie nastąpiły na Ziemi katastrofalne zakłócenia na skalę planetarną. Ich wynikiem był nagły wzrost długości dnia oraz przyrost stopnia, w jakim dzień jest ciągle przedłużany wskutek tarć pływowych. Otóż przybycie księżyca Minerwy z całą pewnością musiało doprowadzić do potężnych zakłóceń grawitacyjnych i pływowych. Choć mechanika tego wydarzenia nie jest jeszcze znana w szczegółach, okazuje się, że energia kinetyczna, nagromadzona przez księżyc Minerwy podczas jego spadania ku Słońcu, została pochłonięta w ten sposób, że zneutralizowała część energii rotacyjnej Ziemi, powodując wydłużenie dnia. Również należy się spodziewać w takim wypadku wzrostu tarcia pływowego. Zanim pojawił się Księżyc, Ziemia podlegała tylko pływom słonecznym, natomiast od tej chwili aż do dziś istnieją zarówno pływy słoneczne, jak księżycowe.

Hunt podniósł obie dłonie na znak zakończenia i odchylił się na oparcie fotela. Wyrównał stos notatek na biurku, zanim zakonkludował:

– To wszystko. Jak już powiedziałem, na tym etapie jest to nie więcej niż hipoteza, która tłumaczy fakty. Ale jesteśmy w stanie coś przedsięwziąć, aby zbadać jej prawdziwość. Możemy zacząć od wielkiej porcji materiału Minerwy, leżącej na tamtej stronie. Badania wykazały, że jest tak podobny do pierwotnego materiału, z którego składa się Księżyc, że

upłynęły lata, nim ktokolwiek zorientował się, iż został tam dopiero niedawno złożony. To jest argument na podtrzymanie tezy, że Księżyc i meteoryty powstały w tej samej okolicy Układu Słonecznego. Chciałbym zaproponować, abyśmy przeprowadzili szczegółowe porównanie danych, uzyskanych na temat materiału ze strony odziemskiej i danych zebranych przy badaniu asteroidów. Jeśli wyniki wskażą, że jest to ten sam materiał i zdaje się pochodzić z tego samego miejsca, cały pomysł uzyska poważne potwierdzenie. Następnie trzeba wykonać dalszą pracę nad modelem matematycznym procesu wzajemnego pochwylenia Ziemi i Księżyca. Wiemy bardzo wiele o warunkach wyjściowych, które musiały istnieć przed tym wydarzeniem, oraz znacznie więcej na temat obecnych. Gdybyśmy się dowiedzieli, że są rozwiązania równań dotyczących tego procesu, pozwalające na przejście od jednej sytuacji do drugiej w ramach zwykłych praw fizyki, rozproszyłoby to wiele wątpliwości. A przynajmniej miło byłoby udowodnić, że cały ten pomysł nie okazuje się niemożliwy. I wreszcie, na koniec, mamy ów statek ganimedański. Nie ulega wątpliwości, że chowa on wiele nowych rzeczy, które czekają na wykrycie; o wiele więcej niż dotychczas ujawniliśmy. Mam nadzieję, że gdzieś we wnętrzu tego statku znajdziemy dane astronomiczne, które nam coś powiedzą o Układzie Słonecznym w czasach Ganimedan. Jeśli, na przykład, będziemy w stanie określić, czy trzecia, licząc od Słońca, planeta układu miała satelitę, czy go nie miała, oraz jeśli zbierzemy tyle informacji na temat ich księżycy, żeby go zidentyfikować jako nasz – być może na podstawie rzeźby terenu strony przyziemskiej – to wówczas cała teoria byłaby całkiem nieźle udowodniona. Koniec sprawozdania. A teraz osobiste postscriptum dla Gregga Caldwell... – Twarz Hunta znikła, a pojawił się widok pustkowia, złożonego z lodu i skał. – To jest miejsce, do którego nas wysłałeś, Gregg... Poczta nie funkcjonuje tu zbyt regularnie, dlatego nie mogę przysłać ci widokówki. Jest ponad sto stopni Celsjusza poniżej zera; o atmosferze nie ma nawet co mówić, bo jeśli jakakolwiek istnieje, to jest trująca. Jediną drogę powrotną zapewnia Vega, a najbliższa Vega znajduje się ponad tysiąc kilometrów stąd. Chciałbym, abyś był tutaj i dzielił z nami radość całej tej zabawy, naprawdę chciałbym! Mówił Victor Hunt z Bazy Wylotu Szybu na Ganimedesie. Koniec transmisji.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dawno oczekiwana wiadomość, że znaleziono odpowiedź na pytania, skąd przybyli Lunarianie i jak dostali się na miejsce, gdzie ich znaleziono, wywołała fale podniecenia w całym świecie naukowym i nową gorączkę aktywności masowych środków przekazu. Wyjaśnienie Hunta wyglądało na całkowite i spójne. Mało było zastrzeżeń i sprzeciwów; sprawozdanie nie pozostawiało dla nich wiele miejsca.

W ten sposób Hunt wywiązał się całkowicie ze swego zadania. Choć jeszcze przez długi czas konieczne będą szczegółowe, interdyscyplinarne prace, formalnie rzecz biorąc udział SKNZ w całej sprawie miał się ku końcowi. Plan Charlie zakończono pomyślnie. Pozostał Plan Ganimedanie, który właśnie się zaczynał. Chociaż Hunt nie otrzymał z Ziemi żadnej wyraźnej dyrektywy na ten temat, przeczuwał, że Caldwell nie zmarnuje okazji, która się nadarzyła dzięki obecności Hunta na Ganimesie właśnie w chwili, gdy centrum zainteresowań zaczęło się przesuwać od Lunarian do Ganimedan. Innymi słowy, upłynie jeszcze sporo czasu, nim będzie mógł spacerować po pokładach liniowca lecącego w stronę Ziemi.

W parę tygodni po opublikowaniu wstępnych wniosków SKNZ, znajdujący się na Ganimesie naukowcy z Nawtransu wydali uroczystą kolację w mesie oficerskiej Wylotu Szybu na cześć pomyślnego zakończenia wielkiej części ich zadań. Wieczór osiągnął ciepłą i dojrzałą fazę, która następuje wówczas, gdy znikają talerze z ostatnim daniem, a pojawiają się cygara i napoje alkoholowe. Wokół stołu i przy barze stały lub siedziały gadatliwe grupy, a piwo, brandy i stary portwein zaczęły płynąć swobodnie. Przy barze Hunt dyskutował z grupą fizyków o najświeższych wiadomościach na temat ganimeskiego napędu pola, a równocześnie za ich plecami inna grupka debatowała nad możliwością ustanowienia rządu światowego za dwadzieścia lat. Natomiast Danchecker przez większą część wieczoru wydawał się niezwykle cichy i zamknięty w sobie.

– Można by pomyśleć, Vic, że na tej podstawie dałoby się wytworzyć ostateczną broń wojny międzyplanetarnej – mówił jeden z fizyków. Opartą na tych samych zasadach, co napęd statku, ale o wiele potężniejszą i powodującą skutki znacznie dotkliwsze i

zlokalizowane. Generowałyby czarną dziurę, która by trwała nawet wtedy, gdy wpadłby w nią sam generator. Pomyśl tylko: sztucznie stworzona czarna dziura. Wystarczyłoby zamontować całe urządzenie na odpowiedniej rakiecie i skierować na planetę, do której czułoby się niechęć. Spadnie to wszystko do jądra planety i pożre ją w całości... i nie będzie sposobu, by to zatrzymać.

Hunt zainteresował się.

– Chcesz powiedzieć, że to może działać?

– To wynika z teorii.

– Chryste, jak długo by to potrwało... zniszczenie całej planety?

– Jeszcze nie wiemy, pracujemy nad tym zagadnieniem. Ale to nie wszystko. Nie ma powodu, aby nie dało się zgasić gwiazdy, stosując tę samą metodę. Pomyśl o takiej broni: jedna bomba czarnej dziury może zniszczyć cały układ gwiazdny. W porównaniu z nią bomby nukleonowe wyglądają jak dziecinne zabawki.

Hunt chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu podniesiony głos ze środka mesy, zagłuszający szmer rozmów. Należał do dowódcy Bazy Wylotu Szybu, honorowego gościa wieczoru.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał. – Proszę o chwilę uwagi.

Hałas przycichł i wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę. Rozglądał się, póki nie stwierdził z zadowoleniem, że uwaga jest powszechna.

– Zaprosiliście mnie na dzisiejszy wieczór, abym wziął udział w obchodach pomyślnego zakończenia, być może, najbardziej prowokującego, najbardziej zadziwiającego i najwdzięczniejszego zadania wśród tych, jakie możecie otrzymać do końca życia. Musieliście walczyć z trudnościami, sprzecznościami i sprzeciwami, ale to już przeszłość. Zadanie jest wykonane. Moje gratulacje. – Popatrzył na zegar nad barem. – Jest północ... pora, jak sądzę, stosowna, aby wnieść toast za istotę, która to wszystko zapoczątkowała, bez względu na to, kim była. – Podniósł kielich. – Za Charliego.

– Za Charliego – powtórzył chór.

– Nie!

Głos rozległ się z końca pomieszczenia. Brzmiał twardo i zdecydowanie. Wszyscy odwrócili się, by w zdumieniu popatrzeć na Danchekkera.

– Nie – powtórzył profesor. – Za to jeszcze nie możemy wypić.

W jego zachowaniu nie było nawet cienia wahania czy prośby o wybaczenie. To co powiedział, było w oczywisty sposób przemyślane i wyliczone.

– W czym problem, Chris? – spytał Hunt, odsuwając się od baru.

– Obawiam się, że to nie koniec tej sprawy.

– Co masz na myśli?

– Całą sprawę Charliego... Kryje się za nią o wiele więcej... Więcej, niż chciałem komukolwiek powiedzieć, ponieważ nie miałem dowodów. Ale z tego, co dotychczas

wydedukowano, wypływa dalszy wniosek, jeszcze o wiele trudniejszy do przyjęcia niż rewelacje z ostatnich paru tygodni.

Świąteczna atmosfera znikła. Nagle znów znaleźli się w samym środku dalszej pracy. Danchecker powoli przeszedł na środek pokoju i zatrzymał się, złożony dłońmi na oparciu jednego z krzeseł. Przez chwilę spoglądał na stół, a potem głęboko zaczerpnął powietrza i podniósł wzrok.

– Problem dotyczący Charliego i całej reszty Lunarian, dotychczas nawet nie poruszony, jest następujący: całkiem po prostu oni byli nazbyt ludzcy.

Tu i ówdzie pojawiły się zdumione spojrzenia. Ktoś odwrócił się do sąsiada i wzruszył ramionami. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w Dancheckera.

– Powtórzmy sobie krótko niektóre z fundamentalnych zasad ewolucji – powiedział. – Jak powstają nowe gatunki zwierząt? Otóż wiadomo nam, że odmiany danego gatunku pojawiają się wskutek mutacji wywołanych różnymi wpływami. Z praw elementarnej genetyki wynika, że w populacji swobodnie mieszającej się i krzyżującej każda nowa cecha ma tendencję do rozplywania się i znikania w ciągu życia względnie niewielu generacji. Ale – głos profesora stał się śmiertelnie poważny – gdy część populacji zaczyna mnożyć się w izolacji od innych, na przykład wskutek oddzielenia geograficznego, przez nabycie odmiennych wzorów zachowań czy z powodu różnic klimatycznych podczas, powiedzmy, pory parzenia się, wówczas rozplywanie się nowych cech wskutek krzyżowania nie następuje. Gdy wśród izolowanej grupy pojawia się nowa cecha, zostaje zachowana i wzmacniana wewnątrz tej grupy. Dlatego z pokolenia na pokolenie grupa zaczyna odchyłać się od wzorca innej grupy czy grup, od których została odizolowana. Wreszcie utrwala się nowy gatunek. Ta zasada jest podstawowa w całej idei ewolucji: przy izolacji muszą się pojawiać odchylenia. Pochodzenie wszystkich gatunków na Ziemi można wywieść z istnienia w pewnym czasie takiego czy innego mechanizmu izolacji między odmianami tego samego gatunku. Na przykład zwierzęta właściwe Australii czy Ameryce Południowej wskazują, jak szybkie są efekty odchylenia, nawet gdy izolacja ma miejsce tylko przez krótki okres. Obecnie wygląda, jak gdyby zadowalało nas całkowicie, że przez większą część dwudziestu pięciu milionów lat dwie grupy zwierząt lądowych, jedna na Ziemi, a druga na Minerwie, mogły ewoluować w całkowitej izolacji. Jako naukowiec w pełni przyjmujący prawomocność zasady, którą właśnie nakreśliłem, stwierdzam bez wahania, że rozbieżności między tymi dwiema grupami musiały nastąpić. To oczywiście odnosi się w równej mierze do grup naczelných, reprezentowanych na obu planetach.

Przerwał, by popatrzeć na swych kolegów, pozostawiając im czas do namysłu i oczekując na reakcję. Reakcja nastąpiła w odległym końcu sali.

– Tak, teraz rozumiem, co pan chce powiedzieć odezwał się ktoś. – Ale po co te spekulacje? Jaki sens w mówieniu, że musiały nabyć cech rozbieżnych, jeśli jasne jest, że tak się nie stało?

Danchecker rozpromienił się i obnażył zęby.

– A z jakiego powodu twierdzi pan, że to nie nastąpiło? – odezwał się wyzywająco.

Zapytany podniósł błagalnie ramiona.

– Ależ to mi mówią moje oczy... Widzę, że to się nie zdarzyło.

– A co pan widzi?

– Widzę Ziemian. Widzę Lunarian. Są jednym i tym samym. Wobec tego nie nastąpiły odchylenia.

– Doprawdy? – Głos Dancheckera przeciął powietrze jak uderzenie biczem. – Czy raczej robi pan to samo nieświadome założenie, co wszyscy? Raz jeszcze przypomnę fakty z czysto obiektywnego punktu widzenia. Po prostu wyliczę to, co obserwujemy, nie przyjmując żadnych założeń, świadomych lub nie, czy pasują one do tego, co jak sądzimy, już nam wiadomo.

Pierwsze: dwie populacje były izolowane. Fakt.

Drugie: dziś, po dwudziestu pięciu milionach lat, obserwujemy dwie grupy osobników, nas i Lunarian. Fakt.

Trzecie: my i Lunarianie jesteśmy identyczni. Fakt.

A teraz, jeśli zastosujemy do tego prawo, że rozbieżność musiała nastąpić, jaki wniosek musimy z tego wyciągnąć? Zapytajcie się sami siebie... Stając w obliczu tych faktów i niczego więcej, co wydedukowałyby którykolwiek naukowiec?

Danchecker stał przed nimi, wydymając wargi i kołysząc się w przód i w tył na obcasach. W pokoju zapanowała cisza, którą po paru sekundach przerwał sam profesor cichym i niemelodyjnym pogwizdywaniem pod nosem.

– Chryste...!

Wykrzyknik pochodził od Hunta. Stał gapiąc się na profesora z nie ukrywanym niedowierzaniem.

– Nie mogli być wzajemnie izolowani – wykrztusił wreszcie powolnym, załamującym się głosem. – Musieli być z tego samego... – Słowa uwięzły mu w gardle.

Danchecker kiwnął głową z wyraźną satysfakcją.

– Vic zrozumiał, o czym mówiłem – poinformował zebranych. – Widzicie, jedynym logicznym wnioskiem, który można wyciągnąć z faktów, wyliczonych przed chwilą, jest następująca konkluzja: jeśli dziś obserwujemy dwie identyczne formy, to obie muszą pochodzić od tej samej izolowanej grupy. Innymi słowy, jeśli dwie linie rozwojowe zostały izolowane i rozgałęziły się, obie formy muszą należeć do tego samego odgałęzienia.

– Jak możesz twierdzić coś takiego, Chris? – nalegał ktoś. – Wiemy, że należały do różnych odgałęzień.

– A skąd to wiesz? – wyszeptał Danchecker.

– No, przecież wiem, że Lunarianie pochodzili od odgałęzienia izolowanego na Minerwie...

– Zgoda.

– ...A także wiem, że człowiek pochodzi od odgałęzienia izolowanego na Ziemi.

– Skąd?

Pytanie odbiło się od ścian echem tak ostrym, jak wystrzał z pistoletu.

– Nooo... Ja... przemawiający zrobił bezradny gest. – Jak można odpowiedzieć na takie pytanie? To jest... jest oczywiste.

– Właśnie! – Danhekker znów wyszczerzył zęby. – Zakładasz to... podobnie jak wszyscy inni! To sprawa uwarunkowania, w którym wyrosłeś. Przez całe dzieje gatunku ludzkiego właśnie to zakładano, aż myśl ta stała się tak naturalna, że nie było powodu, by przypuścić coś innego. – Danhekker wyprostował się i popatrzył na salę nieruchomym wzrokiem. – A teraz być może widzicie sens tego wszystkiego. Oświadczam, opierając się na tym, co właśnie rozpatrzyliśmy, że gatunek ludzki w ogóle nie pochodzi z Ziemi. Ewoluuował na Minerwie!

– Och, Chris, naprawdę...

– To się staje groteskowe...

Danhekker kontynuował niezachwianie:

– Jeśli zgadzamy się, że rozbieżności musiały nastąpić, wobec tego zarówno my, jak i Lunarianie musieliśmy ewoluować w tym samym miejscu, a wiemy już, że oni ewoluowali na Minerwie!

Salę wypełniły pomruki podniecenia, zmieszane z głosami protestu.

– Oświadczam, że Charlie nie jest tylko odległym spokrewnionym kuzynem człowieka. On jest naszym bezpośrednim przodkiem! – Danhekker nie czekał na komentarze, lecz kontynuował tym samym stanowczym tonem. – I jestem przekonany, że potrafię podać wam wyjaśnienie naszego pochodzenia w pełni zgodne z tymi wnioskami.

W pokoju nagle zapadła cisza. Przez parę sekund Danhekker spoglądał na kolegów. Gdy znów się odezwał, jego głos przybrał spokojniejszy i bardziej obiektywny odcień.

– Relacja Charliego dostarcza nam wiadomości o ostatnich dniach jego życia. Gdy walka wygasła, na Księżycu pozostało trochę Lunarian. Charlie też był wśród nich. Sam długo nie przeżył, ale możemy się domyślać, że byli inni, były inne grupy ludzi rozpaczonych jak ci, których opisał, grupki rozrzucone na całej powierzchni Księżyca. Wiele musiało zginąć w huraganie meteorytów na stronie odziemskiej, ale niektóre z nich, podobnie jak grupa Charliego, w chwili eksplozji Minerwy znajdowały się na tej stronie i przetrwały najgorsze bombardowanie. Nawet w długi czas potem, gdy Księżyc ustabilizował się na orbicie okołoziemskiej, była garstka ludzi pozostałych przy życiu, spoglądających na nową planetę wiszącą na ich niebie. Zapewne niektóre z ich statków nadawały się jeszcze do użytku, może tylko jeden, dwa albo kilka. Mieli jedną drogę ucieczki. Ich świat przestał istnieć, weszli więc na jedyną pozostałą im ścieżkę i wyruszyli w ostatniej, desperackiej próbie dotarcia na powierzchnię Ziemi. Drogi do tyłu już nie mieli, bo nie było miejsca, do którego mogliby powrócić. Musimy więc wnioskować, że ich próba powiodła się. Jakie dokładnie wypadki

nastąpiły po ich pojawieniu się w dzikości epoki lodowej, zapewne nigdy się nie dowiemy. Ale możemy się domyślać, że przez całe pokolenia znajdowali się na krawędzi zguby. Utracili swą wiedzę i umiejętności. Stopniowo powrócili do stanu barbarzyństwa i przez czterdzieści tysięcy lat pogrążeni byli w powszechnej walce o przeżycie. Ale przeżyli. Nie tylko przeżyli, umocnili się, rozprzestrzenili i rozkwitli. Dziś ich potomkowie panują nad Ziemią tak jak oni panowali nad Minerwą... wy, ja i cała reszta ludzkiego gatunku.

Panowało długie milczenie, nim ktokolwiek przemówił. Gdy ktoś wreszcie odezwał się, ton jego głosu był poważny.

– Chris, przyjmując chwilowo, że wszystko rozegrało się tak, jak opisałeś, jest coś, co mnie w dalszym ciągu niepokoi. Jeśli my i Lunarianie pochodzimy ze wspólnej, minerwiańskiej linii rozwojowej, to co się stało z inną linią? Co stało się z gałęzią, która rozwijała się na Ziemi?

Danchecker kiwnął głową z aprobatą.

– Dobre pytanie. Z wykopanych na Ziemi skamieniałości wiadomo nam, że po odwiedzinach Ganimedan zaszło wiele zjawisk rozwojowych w ogólnym kierunku człowieczeństwa. Łańcuch dowodów możemy oznaczyć całkiem wyraźnie aż do chwili, o której mowa: pięćdziesiąt tysięcy lat temu. W tym okresie najbardziej zaawansowane stadium rozwojowe na Ziemi reprezentował człowiek neandertalski. Otóż neandertalczykowie zawsze stanowili swego rodzaju zagadkę. Byli odważni, silni, a inteligencją przewyższali wszystko, co ich poprzedzało lub egzystowało równolegle z nimi. Wyglądali na dobrze przystosowanych, w stopniu zapewniającym przeżycie trudności epoki lodowej i zdawałoby się, że w następnej epoce powinni zająć pozycję dominującą. Lecz tak się nie zdarzyło. Dziwnie, nieomal tajemniczo, nagle wymarli w okresie od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy lat temu. Oczywiście jest, że nie potrafili skutecznie konkurować z nową i znacznie bardziej rozwiniętą rasą ludzką, której nagłe pojawienie się, jakby znikąd, zawsze należało do nie wyjaśnionych zagadek nauki: z Homo sapiens – z nami!

Danchecker dobrze odczytał wyraz twarzy stojących przed nim i kiwnął głową na potwierdzenie tego, co myśleli.

– Teraz już oczywiście wiemy, czemu tak się stało. Bo ta rasa rzeczywiście pojawiła się znikąd. Wiemy też, dlaczego nie istnieje w glebie Ziemi wyraźny, skamieniały zapis, pozwalający powiązać Homo sapiens z łańcuchem wcześniejszych ziemskich małpoludów: bo on tu nie ewoluował, i wiemy, co tak bezlitośnie i tak całkowicie wygubiło neandertalczyków. Jak mogli przeciwstawić się zaawansowanej rasie, wychowanej na Minerwie w kulcie wojny?

Danchecker przerwał i powoli przesunął wzrokiem po otaczających go kołem twarzach. Na każdej malował się taki wyraz, jak po ogłuszeniu ciosem pięści.

– Jak już powiedziałem, wszystko to wynika wyłącznie z łańcucha rozumowania na podstawie obserwacji, od których zacząłem. Na poparcie nie mogę przedstawić żadnych dowodów. Jestem jednak przekonany, że takie dowody istnieją. Gdzieś na Ziemi muszą

istnieć resztki statku kosmicznego Lunarian, który odbył swą ostatnią podróż z Księżyca. Może pogrzebane w mule dna morskiego, może pod piaskami jednego z pustynnych regionów. Musza istnieć na Ziemi części wyposażenia i artefakty przywiezione przez maleńką garstkę, która reprezentowała ostatki lunariańskiej cywilizacji. Gdzie znajdują się na Ziemi, trudno zgadywać. Osobiście proponowałbym, jako regiony najprawdopodobniejsze, Bliski Wschód, wschodnią część basenu Morza Śródziemnego lub wschodnie regiony Afryki Północnej. Wierzę, że pewnego dnia pojawi się dowód, iż powiedziałem prawdę. To przepowiadam z całkowitą pewnością.

Profesor obszedł stół i nalał sobie szklankę cokie. Cisza panująca w pokoju powoli utonęła w rosnącym napływie głosów. Jeden po drugim nieruchome posągi, w które zmienili się słuchacze, wracały do życia. Danhekker zaczerpnął długi łyk i przez chwilę stał w milczeniu, przyglądając się swej szklance. Następnie odwrócił się znowu twarzą do sali.

– Nagle wiele rzeczy, które dotychczas uważaliśmy za oczywiste, znajduje właściwe miejsce. – Znowu cała uwaga obecnych skupiła się na nim. – Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, co czyni człowieka tak odmiennym od wszystkich innych zwierząt na Ziemi? Wiem, że mamy większe mózgi, bardziej uniwersalne dłonie i tak dalej; mówię o czymś innym. Większość zwierząt, znalazłszy się w beznadziejnej sytuacji, przyjmuje swój los z rezygnacją i ginie haniebnie. Ale człowiek nie wie, co to znaczy poddać się. Jest zdolny zmobilizować rezerwy uporczywości i odporności bezprzykładne na tej planecie. Jest zdolny zaatakować wszystko, co zagraża zachowaniu przez niego życia, z agresywnością nie znaną nikomu innemu na Ziemi. To pozwoliło mu zmieść wszystko przed sobą, uczyniło go panem wszystkich zwierząt, pomogło mu poskromić wiatry, rzeki, pływy, a nawet siłę samego Słońca. Ten jego upór podbił oceany, niebiosa i wyzwanie rzucone przez przestrzeń kosmiczną; czasami zaś wynikiem były najgwałtowniejsze i najkrwawsze okresy jego historii. Ale nie mając takiej cechy charakteru, człowiek byłby tak bezradny jak bydło na polu.

Danhekker obrzucił twarzę przed sobą wyzywającym spojrzeniem.

– A więc skąd się to wzięło? Jest w oczywistej niezgodzie ze spokojnym i niefrasobliwym wzorcem ewolucyjnym na Ziemi. Teraz już widzimy, skąd się wzięło. Pojawiło się jako mutacja wśród ewoluujących naczelnymi izolowanych na Minerwie. Było przekazywane wśród całej populacji, aż wreszcie stało się cechą gatunkową. Okazało się tak niszczącą bronią w walce o przeżycie, że wszelka skuteczna opozycja przestała istnieć. Wewnętrzna siła napędowa, którą wywołało, była tak potężna, że Lunarianie latali na statkach kosmicznych w czasie, gdy ich współcześni na Ziemi wciąż zabawiali się kawałkami kamienia. Tę samą siłę napędową widzimy w człowieku dzisiejszym. W obliczu wszystkich wyzwań, rzucanych mu przez wszechświat, człowiek okazał się niezwyciężony. Być może ta siła uległa pewnemu osłabieniu w czasie, który upłynął od chwili pierwszego jej pojawienia się na Minerwie. My doszliśmy bowiem do skrajności takiego samego samozniszczenia, ale cofnęliśmy się. A Lunarianie, nie bacząc na nic, rzucili się w przepaść. Być może z tego

właśnie powodu nie poszukiwali rozwiązań we współpracy; wrodzona im skłonność do stosowania przemocy uczyniła ich po prostu niezdolnymi do stworzenia takiej zasady. Ale jest to typowe dla dróg, jakimi zdąża ewolucja. Siły doboru naturalnego zawsze będą działały przez tworzenie i kształtowanie nowej mutacji i zachowywanie takiej jej odmiany, która otwiera najlepsze perspektywy zachowania całego gatunku. Surowość mutacji, która uczyniła Lunarian tym, czym byli, okazała się zbyt skrajna i spowodowała ich upadek. Naprawienie tego przybrało formę jej rozrzedzenia, którego wynikiem jest większa stabilność psychologiczna naszej rasy. Dlatego myśmy przeżyli, a oni wyginęli.

Danchecker przerwał, by dopić swego napoju. Posągi pozostały posągami.

– Jakąż niewiarygodną rasą musieli być – powiedział. – Weźmy szczególnie pod uwagę garstkę, której przeznaczeniem było stać się przodkami ludzkości. Wytrzymali holokaust przekraczający wszystko, co moglibyśmy sobie choć w części wyobrazić. Widzieli, jak ich świat i wszystko, co znajome, eksploduje na niebie nad ich głowami. A potem, porzuceni na bezpowietrznej, bezwodnej, pozbawionej życia, radioaktywnej pustyni, zostali zmasakrowani miliardami ton minerwiańskiego gruzu spadającego z nieba, aby zrujnować wszystkie ich nadzieje i doprowadzić do totalnego zniszczenia tego, co osiągnęli. Niewielu przeżyło, by wynurzyć się po bombardowaniu na powierzchnię. Wiedzieli, że potrafią przeżyć tylko tak długo, jak długo wystarczy im zapasów i przetrwają ich maszyny. Nie mieli gdzie pójść, nie mogli niczego zaplanować. Nie poddali się. Musieli tak przeżyć wiele miesięcy, nim zdali sobie sprawę, że przez kaprys losu pojawiła się wąła szansa przeżycia. Czy możecie sobie wyobrazić uczucia tej ostatniej, szczupłej garstki Lunarian, którzy stali wśród księżycowej pustyni i spoglądali na nową planetę, świecącą na niebie nad ich głowami, i nie mieli wokół siebie niczego żywego, a o ile wiedzieli, niczego żywego w całym wszechświecie? Ile trzeba było, aby podjąć decyzję podróży bez powrotu do nieznanego? Możemy próbować wyobrazić to sobie, ale prawdy nigdy się nie dowiemy. Jakkolwiek było, chwycili się ofiarowanej im słomki i wyruszyli w tę podróż. Ale nawet i to było ledwie początkiem. Gdy wyszli ze swych statków na obcej planecie, znaleźli się w samym środku okresu najbezwzględniejszej walki na śmierć i życie w historii Ziemi. Przyroda rządziła żelazną ręką. Dzikie bestie przemierzały planetę; klimat był w zupełnym zamęciu po przewrocie grawitacyjnym wywołanym pojawieniem się Księżyca; być może nowo przybyłych dziesiątkowały nieznane choroby. Żadne z wcześniejszych doświadczeń nie przygotowało ich do życia w takim środowisku. Ale odmawiali poddania się. Nauczyli się orientować w nowym świecie. Nauczyli się myślistwa i zastawiania pułapek, walczyć na dzidy i maczugi, nauczyli się chronić przed żywiołami, odczytywać i rozumieć język puszczy. A w miarę tego, jak nabywali sprawności w tych nowych sztukach, stawali się coraz silniejsi i zapuszczali się coraz dalej. Iskra, którą ze sobą przynieśli i która pozwoliła im przetrwać na samym skraju zguby, znów się rozżarzyła. Wreszcie rozpalila się w płomień, który niegdyś zmiotł wszystko przed sobą na Minerwie, wynurzyli się z ciemności jako przeciwnicy groźniejsi i straszliwi niż cokolwiek, co Ziemia

znała. Neandertalczycy nie mieli najmniejszych szans; byli skazani już w chwili, gdy pierwszy Lunarianin postawił stopę na ziemskim gruncie. Skutki tego widzicie dziś wokół siebie. Staliśmy się bezspornymi panami Układu Słonecznego i stanęliśmy u wrót przestrzeni międzygwiazdnej, tam gdzie oni stali pięćdziesiąt tysięcy lat temu.

Danchecker ostrożnie postawił szklanę na stole i wolnym krokiem przeszedł na środek sali. Poważnym wzrokiem spoglądał wszystkim kolejno w oczy.

– I tak, panowie, odziedziczyliśmy gwiazdy. A więc wyruszmy przed siebie, by zażądać naszego dziedzictwa. Należymy do tradycji, w której pojęcie klęski nie ma znaczenia. Dziś gwiazdy, a jutro galaktyki. Nie ma w całym wszechświecie siły zdolnej nas zatrzymać.

Epilog

Profesor Hans Jacob Zeiblemann z Wydziału Paleontologii Uniwersytetu Genewskiego zakończył wpisywanie dzisiejszych danych do dziennika, z pomrukiem zamknął książkę i odłożył ją na miejsce w blaszanym pudle pod łóżkiem. Dźwignął na nogi dziewięćdziesięciokilogramowe ciało i wyciągnawszy fajkę z kieszeni na piersiach swej koszuli safari, zrobił krok przed namiot, by wystukać z niej popiół o metalowy słup przy wejściu. Gdy tak stał, nabijając główkę fajki nową porcją tytoniu, popatrzył na zewnątrz, na jałowy krajobraz północnego Sudanu.

Słońce tuż nad horyzontem zmieniło się w głęboką ranę na niebie, brocząca krwawoczerwonymi, płynnymi promieniami, które oblewały nagie skały na całe mile wokoło. Namiot był jednym z trzech, stłoczonych na wąskiej piaszczystej półce. Półka ta utworzyła się blisko dna stromej doliny skalnej usianej kępami szorstkich krzewów i karłowatych drzew pustynnych, tulących się do siebie wzdłuż dna doliny i szybko znikających, nie zdoławszy wspiąć się na zbocza po obu stronach. Poniżej, na szerszej półce, stały liczniejsze namioty miejscowych robotników. Bijące w górę zapachy zwiastowały, że zaczęto przygotowywać wieczorny posiłek. Z dołu i z większego oddalenia dochodził nie milknący głos strumienia, z niecierpliwym łoskotem śpieszącego, by połączyć się z wodami dalekiego Nilu.

W pobliżu rozległ się chrzęst butów na zwirze. W parę sekund później ukazał się asystent Zeiblemanna, Jorg Hutfauer, w koszuli w smugach potu i brudu.

– Fuj! – Nowo przybyły zatrzymał się, by otrzeć czoło czymś, co niegdyś było chusteczką. – Jestem wykończony. Piwo, kąpiel, kolacja, a potem do łóżka... taki mam program na dziś wieczór.

Zeiblemann uśmiechnął się.

– Pracowity dzień?

– Bez przerwy. Poszerzyliśmy piąty sektor aż do dolnej terasy. W dole jest coś więcej, ale może poczekać, aż sam się jutro pojawi.

Hutfauer podał profesorowi przyniesione przedmioty i wszedł głębiej do namiotu, by wyciągnąć puszkę piwa spośród stosu pudeł i kartonów pod stołem.

– Mmm... – Zeiblemann obracał kość w rękach. – Ludzka kość udowa... gruba. – Przyjrzał się niezwykłej krzywiźnie i zmierzył wzrokiem proporcje. – Powiedziałbym neandertalska... albo bardzo blisko spokrewniona.

– Ja też tak myślałem.

Profesor ostrożnie położył skamielinę na tacy, przykrył kawałkiem materiału, a tacę postawił na skrzyni tuż przy wyjściu z namiotu. Podniósł krzemienne ostrze wielkości dłoni, prosto, lecz skutecznie wytworzone usuwaniem cienkich, długich odłupków.

– A co byś o tym powiedział? – zapytał. Hutfauer wyszedł z cienia i zatrzymał się, by z zadowoleniem pociągnąć długi łyk z puszki.

– No, pokład chyba pochodzi z późnego pleistocenu, więc spodziewałbym się śladów późnopaleolitycznych... co zgadzałyby się ze sposobem, w jaki zostało wytworzone. Zapewne skrobacz do skór. Na ręczce i blisko końca są strefy mikrolitów. Biorąc pod uwagę miejsce znaleziska, uznałbym to za coś blisko spokrewnionego z kulturą kapsyjską. – Opuścił rękę z puszką i rzucił Zeiblemannowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Nieźle – ocenił profesor, kiwając głową. – Położył krzemień na tacy obok pierwszego znaleziska i dodał arkusz identyfikacyjny, wypełniony przez Hutfauera. – Obejrzymy to sobie dokładniej jutro, przy lepszym oświetleniu.

Hutfauer stanął przy nim koło wejścia do namiotu. Odgłosy trajkotania i wykrzykiwań, dobiegające z dolnego poziomu, powiadomiły ich, że z jakiejś przyczyny wybuchła kolejna z nie kończących się wśród krajowców małych sprzeczek domowych.

– Herbata wkrótce, jeśli są zainteresowani – rozległ się głos zza sąsiedniego namiotu.

Zeiblemann uniósł brwi i obliznął wargi.

– Co za cudowny pomysł – powiedział. – Chodź, Jorg.

Poszli w stronę improwizowanej kuchni, gdzie na kamieniu siedział Ruddi Magendorf, przesypując łyżeczką listki herbaciane ze stojącego przy nim blaszanego pudełka do wielkiego, bulgoczącego kociołka z wodą.

– Cześć, profesoro... Cześć, Jorg – powitał ich, gdy do niego podeszli. – Naciągnie za minutę czy dwie.

Zeiblemann otarł dłonie o przód swej koszuli.

– Dobrze. Właśnie to, co by mi się przydało. Rozejrzał się odruchowo i zauważył tace przykryte materiałem, ustawione na składanym stoliku obok namiotu Magendorfa.

– Aha, widzę, że ty też popracowałeś – zauważył. – Co my tutaj mamy?

Magendorf podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Jomatto przyniósł to jakieś pół godziny temu. Pochodzi z górnej terasy drugiego sektora, wschodni kraniec. Obejrzyj.

Zeiblemann podszedł do stołu i odsłonił jedną z tac, aby popatrzeć na starannie ułożoną kolekcję, równocześnie z roztargnieniem mamrocząc do siebie.

– Dalsze skrobacze krzemienne, rozumiem... Mmm... To może być toporek. Tak, sądzę, że tak jest... Odłamki żuchwy, ludzkiej... Wygląda na to, że będą do siebie pasowały. Kość ciemieniowa... Kościany grot dzidy... Mmm. – Podniósł materiał z drugiej tacy i zaczął niedbale przebiegać wzrokiem jej zawartość. Nagle jego głowa znieruchomiała; zaczął się uparcie przyglądać czemuś na jej skraju. Jego twarz wykrzywił grymas niedowierzania.

– A co to, u diabła, ma być?! – ryknął. Wyprostował się i podszedł do piecyka, trzymając przed sobą przedmiot, który go zgorszył.

Magendorf wzruszył ramionami i skrzywił się.

– Uważałem, że lepiej będzie, jeśli to obejrzysz – zauważył, a potem dodał: – Jomatto mówi, że to znajdowało się wraz z całą resztą.

– Jomatto mówi, że co? – Głos Zeiblemanna wzniósł się wyżej, gdy profesor popatrzył najpierw na Magendorfa, a potem znów na trzymany w ręku przedmiot. – Och, na litość boską! Ten człowiek powinien mieć odrobinę rozsądku. To jest poważna ekspedycja naukowa... – Znów popatrzył na przedmiot, nozdrza drżały mu z oburzenia. – Oczywiście któryś z chłopców chciał zrobić głupi kawał czy coś podobnego.

Przedmiot miał rozmiary dużej paczki papierosów, nie licząc bransolety, a na swej górnej powierzchni miał cztery okienka, które mogły być przeznaczone na miniaturowe ekraniki elektroniczne. Wyglądał na chronometr lub kalkulator, a może na obie te rzeczy naraz. Tylnej ścianki i zawartości brakowało, pozostała tylko metalowa obudowa, nieco zniszczona i powyginana, ale zaskakująco mało naruszona przez korozję.

– Jest zabawny napis na bransolecie – powiedział Magendorf, drapiąc się w nos z powątpiewaniem. – Nigdy w życiu nie widziałem takiego alfabetu.

Zeiblemann prychnął i przelotnie rzucił okiem na napis.

– Phi! Rosyjski czy coś podobnego. – Na jego twarzy pojawił się odcień jeszcze różowszy niż wywołany sudańskim słońcem. – Marnować cenny czas na... na groszowe świecidelka!

Zamachnął się do tyłu i cisnął urządzenie naręczne wysoko nad strumieniem. Na moment błysnęło w słońcu, a potem spadło do błota na brzegu wody. Profesor patrzył za nim przez chwilę, a później zwrócił się do Magendorfa, oddychając już spokojniej. Magendorf podał mu kubek pełen parującego, brązowego płynu.

– Ach, wspaniale – powiedział Zeiblemann miłym nagle głosem. – To jest to. – Ulokował się na składanym płóciennym krześle i z ochotą przyjął podawany kubek. – Powiem ci, co wygląda interesująco, Ruddi – kontynuował, kiwając głową w kierunku stołu. – Ten kawałek czaszki na pierwszej tacy... numer dziewiętnaście. Czy zwróciłeś uwagę na budowę łuków brwiowych? No, więc to może być przykładem...

W błocie, na brzegu strumienia pod nimi, urządzenie naręczne kołysało się w takt zmarszczek na wodzie, które co parę sekund tworzyły się, naruszając nietrwałą równowagę

pozycji, w jakiej się znalazło. Po chwili skiba piasku pod nim została wymyta, więc wpadło do zagłębienia, gdzie ugrzęzło w wirującej, błotnistej wodzie. Gdy zapadła noc, dolna część obudowy już się zagłębiła w mule. Następnego dnia zagłębienie znikło. Został tylko jeden segment bransolety, wystający z piasku pod zmarszczoną powierzchnią wody. Na segmencie znajdował się napis, który po przetłumaczeniu brzmiałby: KORIEL.